ANGLIA DZIŚ I DZIESIĘĆ LAT TEMU.

ANGLIA DZIŚ I DZIESIĘĆ LAT TEMU.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY

PO ANGLII

PRZEZ

AUTORA PODRÓŻY

PO DANII, SZWECYI, NORWEGII

I. T. D.

WARSZAWA.

NAKŁADEM GUSTAWA LEONA GLÜCKSBERGA,
przy ulicy Miodowéj pod filarami.

1851.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

W Warszawie dnia 24 Maja (5 Czerwca) 1851 roku.

Starszy Cenzor,

L. T. Tripplin.

Druk St. Strąbskiego.

WSTĘP.

Z upływem czasu i z zmianą jego, wspomnienia me niegdyś świéże i kwitnące postradały ten kwiat, który mu może jedyną nadawał wartość. Ale w owocu późnym i niedoskonałym jaki dojrzéć zdołał w szorstkiéj jesieni, czytelnik byleby zechciał, przypomni sobie zapach opadłego kwiatka. Co kwiat obiecywał, to owoc starał się dotrzymać.

Nie wypieram się tedy mego utworu, poddaję go pod sąd publiczności, która nie wzgardziła wyjątkami z mych podróży umieszczonemi tu i owdzie (w Bibliotece warszawskiéj, w Przeglądzie dwóch światów, w Księdze świata) w ciągu roku ubiegłego, a wprzódy jeszcze w wielu zagranicznych czasopismach, ufny, że pozorna lekkość kształtu, styl mój prosty i dostępny, brak chęci popisywania się z erudycyą, nie będą mi służyły na potępienie u tych czytelników, którzy wiedzą, że zbytnia nadętość, wymuszona kwiecistość stylu służy prawie zawsze tylko na ubranie lichéj, niepłodnéj myśli.

Nie myślę ja zaciemniać prawdy stylem umyślnie zawikłanym, i korzystając z nieuwagi czytelników zado-

walniających się brzmieniem wyrazów, a niezgłębiających prawie nigdy ich znaczenia, tworzyć sobie sławy autorskiéj, opartéj na szerokiéj a płytkiéj podstawie łatwowierności ludzkiéj.

Malarz, gdy ani jest w stanie oddać natury, ani nadać utworowi swemu tyle życia, żeby wyglądał jak natura, gdy i chybi w rysunku, i brak myśli w składzie wyjawi, ucieka się do najłatwiejszych zasobów sztuki, świetnością kolorytu durzy widza, i pracowitém wykończeniem dziecinnych szczegółów stara się omamić jego niewyćwiczone oczy.

Wielu takich malarzy pomiędzy pisarzami. Odmęt niezwykłych w zbutwiałych szpargałach lub wilgotnych jeszcze świstkach pozbieranych wyrazów, wzdymający się, burzący i kipiący w ciemnéj otchłani bezmyślności, sztuczny chaos czczéj, niezrozumiałéj lub do myśli żle dopasowanéj frazeologii, urządzony tak starannie, wylizany tak harmonijnie, żeby dźwiękiem swym i kolorytem oczarował, zadziwił, olśnił czytelnika, żeby w niego wparł, że to co tak szumno i pięknie brzmi, co tak zawikłane, ciemne i niewyraźne brzemiennem jest w głębokie i szczytne myśli, a dostępne tylko wybranym gieniuszom; potwory nowéj terminologii filozoficznéj rzucone tu i owdzie żeby straszyły czytelniczki ważnością przedmiotu, a strasząc je przyciągały; dla ciągle czuwających, ciągle spragnionych wyobraźni poetyckich kiedyniekiedy upiorki jakieś i czepieradełka, nasuwające prawdopodobieństwo jakiéjś głębokiéj myśli, tak jak porozrywane burzą obłoki nasuwają dziwnemi bezforemnemi ogromami podobieństwo kształtów pewnych, którym myśl nasza nadaje życie i siłę metamorfozy; nakoniec dla owych mistycznych

dusz którym jasne myśli, jasne prawdy nie nastręczają żadnych pojęć uroczych, kilka z owych modnych podrzutków rozumu których mniemanym ojcem jest gieniusz przyszłości, a matką natura przeszłości: oto koloryt pisarza, oto niewyczerpane jak barwy tęczy zasoby i fortele autorów liczących na łatwowierność, spekulujących na siłę wyobraźni swych czytelników!

Czytelniku! jeśli z takich książek chcesz odnieść pożytek, wówczas bądź zręcznym i zwinnym, chwytaj za skrzydła myśl która czasem wyrodzić się może z tych stosunków twéj wyobraźni z tłem autora, ale się nie wyrzekaj twego dziecka, bo jesteś jego ojcem, jeśli nie z prawa to z czynu. Jeśliś zaś nic nie zrozumiał z takiéj książki, nic z nią nie spłodził, wówczas niech cię fałszywy wstyd nie wstrzymuje od wyznania prawdy; powiédz wręcz, żeś nic nie zrozumiał, nie wzdragaj się wyznać, że nadal nie chcesz być spólnikiem i ofiarą autora chełpiącego się, że go publiczność tém wyżéj ceni, im mniéj go pojęła.

Tak ci radzę czytelniku, jestem bowiem pewnym, że każda myśl zrodzona w zdrowéj głowie ludzkiéj, żeby nawet w spirytualności przechodziła Kantowską filozofię, może być wyrażoną w sposób każdéj zdrowéj głowie zrozumiały. Jestem bowiem pewnym, że ów język konwencyonalny, który sobie uczeni tworzą dla łatwiejszego porozumienia się pomiędzy sobą, może być zastąpiony naszą zwykłą mową tak prostą a tak bogatą jednakże, gdy kto zna wszystkie jéj źródła. Kochanowski, Skarga, Krasicki dla wyrażenia swych jędrnych, płodnych myśli, nie uciekali się ani do obczyzny, ani do owych sztucznych zwrotów i wyszukanych terminów, któremi niejeden z nowożytnych au-

torów utrudnić usiłuje pojęcie prawdy, mianowicie gdy mówi o rzeczach które sam niebardzo wyraźnie pojmuje.

Ale może mi kto zarzuci że od czasów Kochanowskiego, Skargi i Krasickiego rozprzestrzeniło się znacznie pole myśli ludzkiéj, że się wzbił w wyższe, jeszcze nieznane sfery gieniusz filozofii, że tedy język który niegdyś wystarczał na wyrażenie tego nielicznego pocztu myśli, którym władaliśmy, nim światło słońca Kanta, Szellinga i Hegla na nas spadło, dziś nam już nie wystarcza, *dziś* kiedy Trentowski i Cieszkowski naszemu przyświecają widnokręgowi.

O zaślepienie zarozumiałości! Kochanowski, Skarga i Krasicki znali Platona, Arystotelesa i szkołę Sofistów greckich, znali wszystkich szermierzy myśli, aż do swoich czasów, a proszę mi wskazać ową nową kopalnię myśli którą nowożytni odkryli, proszę mi wskazać choć jednę myśl którąby starożytni pośrednio lub bezpośrednio nie byli dotknęli?

Łatwo rozprawiać o teraźniejszości, łatwo nawet budować nową przyszłość, kiedy się nie zna przeszłości, a jeszcze łatwiéj pogardzić tą ostatnią, kiedy się zaczyna swą nauką od tego co ma być dopiero, a co wcale jeszcze nie jest.

Poznanie praw mechanizmu myślenia, poznanie bliższe władz wchodzących w skład pełnéj istności ludzkiéj mogło zyskać wiele od pewnych czasów, wyznajemy to chętnie i tém chętniéj, że zdobycz tę po części własnym winniśmy ziomkom. Ale przecież i autor Ojcze-nasz'a, który filozofią krajową do najwyższych posunął granic pojęcia, wystarczył językiem nam znanym i nie uciekał się do tych kuźni, które wynalazły spo-

sób zabicia myśli wyrazami żadnych cieni pojęcia nie nasuwającemi.

Wbrew zdaniu Talleyranda utrzymujemy że mowa nie na to dana, żeby myśl zakrywała; a tam gdzie jeden nie wystarczy wyraz na oddanie myśli; tam lepiéj się uciec do określeń znanemi słowami, jak do terminów technicznych nowo wynalezionych, swojsko brzmiących, a żadnego nienasuwających pojęcia.

Wprawdzie, wiém o tém, że kto naprzód nie idzie, ten się w tył cofać musi, że postęp jest warunkiem życia i bytu, że język niekształcący się, niebogacący ciągle, możebyć zapomnianym. Nie gniewam się tedy na nowe wyrazy, które sobie własną zasługą prawa obywatelstwa w naszym języku zdobyły, które się wśliznęły w naszą mowę tak zręcznie i nieznacznie, że nikt nie jest w stanie powiedzieć zkąd się wzięły i kto jest ich twórcą. Ale te wyrazy tak szczęśliwie znaczenie swe wyjawiają, że żadnego do nich niepotrzeba słownika; zdaje się, że wpotrzebie ogółu znalazły matkę, a w gieniuszu języka—ojca; w natychmiastowém użyciu prawo bytu i rękojmią przyszłości. Takiego przyjęcia nie doświadczyły owe wymęczone nazwy, pokutujące jak widma w naszém dźwięczném narzeczu, usiłujące skonfiskować pojęcie najprostszych myśli na rzecz *wybranych*. Takiego odstąpienia od praw równości wszystkim myślącym służących, dozwolić nie mogę; i wolę znieść zarzut potoczności, jak obciążać się swawolnie wyrzutem wyszukanéj wykwintności.

„*Speak of me, as I am*“ mówił Otello do swego powiernika wyprawiając go do Desdemony; i ja także toż samo polecam memu stylowi wyprawiając tę książ-

kę do czytelnika. Niech styl mój o mnie mówi, tak jakim jestem; myśli mych w teatralne maski i koturny przybierać nie będę, owszem, niejedne z nich do mikroskopowych rozmiarów, do cienia saméj siebie zmniejszyć zniewolony, zostawiam uwadze czytelnika niejedno do odgadnięcia.

„*Le style c'est l'homme*" mówi Francuz, indywidualność autora wielkie rzuca światło na ocenienie wartości dzieła zawierającego jego własne wrażenia. A jakże sądzić o indywidualności autora, gdy ta maskuje, zatraca się za niepotrzebną gmatwaniną wyrazów i frazesów?

Tyle co do mego stylu. Co zaś do erudycyi, do popisywania się z uczonością, w dziełku przeznaczoném przedewszystkiém do użytku publiczności spragnionéj podróży, zdaje mi się, że takowe dziełko powinno być wiernym obrazem stanu rozumu i duszy podróżnika, a nie zbieraniną tego wszystkiego, co tam ktoś w podobnych okolicznościach spostrzegł lub pomyślał. Nękać własny swój umysł zbytnią żądzą wyszukiwania podobieństw i analogij, ścigać za cytacyami, jestto wywłaszczać siebie samego z wielkiéj części inicyatywy rozumu, z mimowolności zdania.

Wyznam tu szczerze, że się niechętnie wyrzekam własnego mego upoważnienia w rzeczach które sam spostrzedz, pojąć i sprawdzić mogłem.

Niechętnie *juro in verba Magistri*, niechętnie zatapiam własne me wrażenia w chaosie wrażeń przez innych otrzymanych lub téż opisanych. Z wstrętem tylko czytam opisy podróży nieznanych mi doskonale autorów, wiem bowiem że dla niektórych autorów nic łatwiejszego jak podróżować po świecie, nie oddalając

się ani na cal od zielonego stolika, a wyrzekać się własnych swych, nieraz niesłychanemi znojami zdobytych wrażeń, dla widzimisię autora urojonych podróży, byłoby istotnie dowodem smutnéj nieufności w własne moje siły. W miejscach jednakże, gdzie znajomość historyi, polityki, nauk przyrodzonych przyłożyć się może do oświetlenia jakiegoś faktum, gdzie cytacya jaka nietrudna do sprawdzenia może ułatwić pojęcie jakiéjś myśli, a nastręczy się w przelocie,—w takich miejscach nie wacham się udawać do obcych źródeł, poprzéć moje własne spostrzeżenia zdaniem znanych światu uczonych, a częściéj jeszcze wykazać błędy w które wpaść mogą podróżni na jednę tylko stronę rzeczy spoglądający, oddający nam nie naturę rzeczywistą przedmiotów, lecz ducha własnego swego usposobienia bardzo zmiennego, a najczęściéj z okoliczności wyjątkowych pochodzącego.

Co do reszty, do celu tego dziełka, do sposobów któremi go dopiąć zamyślam:

Nie należałem do rzędu podróżnych obnoszących swe nudy po obszarze świata od źródła do krynicy, od rulety do rużnoaru; ani do rzędu turystów oprowadzających swe żołądki od hotelu do hotelu, a sprzedających na wiersze i zgłoski fikcyjne wrażenia które ich wyobraźnia na urojonych przygodach odbierała; ani też miałem zaszczyt należéć do rzędu dostojnych podróżników, którym na świat wolno tylko przez szyby karet i pałaców spoglądać; ani nawet do liczby uczonych wysyłanych z poręki wielkich panów lub towarzystw naukowych na zwiedzenie i opisanie ludów i bibliotek, ducha czasu, i menażeryj, galeryj obrazów i więzień.

Nie! ja zwiedziłem świat ten piękny, który mi tyle uroczych, niczém niezatartych wspomnień zostawił, jako pielgrzym pędzony burzą losu. Niechętnie, bardzo niechętnie stawiałem kroki oddalające mnie od rodzinnego kraju, tęsknota rosła w mém sercu w miarę odległości.

Lecz dusza ratuje się póki trwa życie i w miarę doświadczanych cierpień, wydobywa z siebie zasoby ocalające, byle tylko myśl czuwała, i pojmowała swe własne potrzeby. Świecie nieznany!—rzekłem do obszaru rozwijającego się przed memi oczyma—świecie nieznany! zwiedzić cię nie pragnąłem, ani miałem nadzieję zwiedzić; ale gdy mnie do siebie powołujesz, gdy otwierasz przedemną twe wielkie bramy, gdy mimowolnie biedz ku nim muszę, bądź mi świecie wielką, niewyczerpaną, żywą księgą nauki, nastręczaj moim myślom zatrudnienia, moim rękom pracy; nie lękaj się znękać mnie trudnościami, zastraszyć mnie niebezpieczeństwy, gdyż moje siły są wielkie, tak wielkie jak badawcze uczucie, które mi ciągle towarzyszy.

Z płodnych myśli rodzą się mocne postanowienia, gdy wola nie drzémie w człowieku, gdy dusza wzbudzona do samoistności uczuciem własnéj swéj godności.

Wyczytałem, będąc jeszcze dziecięciem, w dobréj jakiéjś książce, że człowiek im więcéj do zwierzęcia podobny, tém częściéj pragnie pozostawać w postaci pozioméj, tojest leżącéj.

Zdanie to, aczkolwiek zanadto bezwzględne, wielkie na mnie niegdyś wywarło wrażenie. Rozbierałem je ciągle wmyśli i stosowałem do wszystkich znanych mi ludzi, i do wszystkich znanych mi okoliczności ży-

cia; nareszcie przyjąłem je za godło godne wpłynąć sprężyście na me postępowanie; unikałem postawy poziomej jak najwięcej mogłem, tojest unikałem próżniactwa i gnusności, tak lubych naszej młodzieży.

Czynność stała się dla mnie wkrótce najusilniejszą potrzebą mego umysłu, a praca największą przyjemnością życia; minęło lat kilka, wielkie zaszły i nieprzewidziane w mym losie zmiany: ujrzałem się samym w tym wieku w którym człowiek jeszcze opieki rodziców potrzebuje, ale czynność, przyzwyczajenie do pracy, rzeźwość umysłu, uwaga ciągle czuwająca, ciągle napięta pozostały zemną. Oto były jedyne zasoby, z któremi się na świat wybrałem.

Żadnej nigdy nie zaniedbywałem sposobności ćwiczenia mego umysłu, wszystkich mych sił choć w szczupłym obrębie mych zdolności, choć nieraz w najciaśniejszym obrębie przechodnich sposobności. Z obawy żebym nie odwykł od czynności i pracy, oddawałem się częstokroć naukom, które napozór żadnego nie miały z mém powołaniem związku. Obcych języków nauczyłem się bez nauczyciela z książek najczęściej pożyczanych. I naukę tę nie uważałem nawet za pracę tylko za wypoczęcie z pracy, za miłą pożyteczną rozrywkę. Pojąć nie mogłem ludzi, którzy dlatego próżnowali, że im się żadna nie nastręczała praca doprowadzająca do pewnego zamierzonego celu; a cóż dopiero ludzi pędzących życie w gnusności, bez wiedzy celu, bez chęci obrania go sobie. Takich istot unikałem jak zarazy, jeszcze w wieku w którym zdać sobie nie mogłem wyraźnego rachunku z mych uczuć i myśli; lękałem się instynktownie podobnych pasożytników, nie wierzyłem ani w ich szlachetne uczucia.

ani w owe poetyczne myśli, ktoremi pospolicie szafować lubią ludzie do żadnéj pracy nieprzywykli; jakieś przeczucie wyraźne jak proroctwo mówiło mi, że na takie w sokole pióra przybrane sroki, w niczém liczyć nie można; że ludzie pracowici, rzetelni, będą zawsze ofiarami owych poetycznych gnuśników, owych niezadowolonych ospalców, że intryga będzie zawsze ich bronią, a łatwowierność ich ciągłą spólniczką.

Praca jakakolwiekbądź, byleby była rzetelną, jeśli człowieka nie zawsze doprowadzi do szczęścia, zawsze go doprowadzi do tego, co jest podstawą szczęścia, do poszanowania samego siebie, do tego błogiego uczucia, bez którego żadne życie wartości miéć nie może. Gdyż to jest prawdą nad prawdami, że człowiek sam siebie ceni nietyle w stosunku swych zdolności, ile w stosunku pracy, jaką wywarł na ich zdobycie. Znaczenie, majątek, inne dary przyrody lub trafu usposabiają nas do pychy i próżności i najczęściéj w nie wpadamy; talentowi wielkiemu grozi zarozumiałość, ale pracą zdobywamy prawie niechybnie ową spokojną i zacną dumę, która człowieka tak zdobi, która mu tak potrzebna do poznania wartości swego życia. I tu jest tryumf usiłowań ludzkich, daleko piękniejszy i większy, jak wszystkie tryumfy spadające na nas ślepym trafem.

Czytelnik raczy wybaczyć ten ustęp, którym, w chęci wyłuszczenia do jakiego należę rzędu podróżnych, oddaliłem się cokolwiek od głównego przedmiotu.

Jak zadanie me pojąłem? to inne pytanie, godne nas tu zatrzymać na chwilę.

Każdy z krajów przezemnie zwiedzonych przedstawiał mi osobną indywidualność: jeden był mi mniéj

więcéj znany z opisów, z historyi i z geografii (jak Anglia, Szkocya i Hiszpania), drugi mniéj więcéj nieznany (jak Dania, Norwegia i Portugalia) a był i taki; w liczbie, do którego nawet dźwięk cywilizacyi z naszego świata nie doszedł, jak naprzykład państwo Marokańskie.

Każda tedy indywidualność krajowa przedstawić mi się musiała pod dwiema postaciami: pod postacią bezwzględną i względną, czyli jako kraj i naród nam zupełnie obcy, lub jako kraj i naród o których już się rozeszły mniéj więcéj prawdziwe lub mylne wyobrażenia między światem czytającym.

Z tego stanowiska spoglądając na kraje i narody zastosować musiałem system opisowy i system rozumujący w bardzo nierównéj mierze i w bardzo różnych odcieniach do każdego kraju.

Anglia naprzykład znana czytelnikom z tylu opisów podróży, opisana tak szczegółowo i starannie przez naszego ziomka pana Lacha Szyrmy, nie potrzebowała żebym ją traktował jako kraj nowo odkryty lub zupełnie nieznany, żebym po raz setny wdawał się w opisy jéj obyczajów, budynków, okolic, zabaw, jéj oryginalności, słowem wszystkiego co w tym wielkim kraju podpaść może pod oczy spostrzegacza. W Anglii mniéj się zajmowałem opisywaniem osobliwości i pamiątek znanych już bezemnie, jak ocenieniem ducha i myśli tych pamiątek, jak ludźmi, ich pojęciami i cywilizacyą, które w kraju tak potężnym są wymowniejsze i więcéj nauczające od wszystkich zabytków starożytności. W opisie Anglii ludzi szczególnie miałem na celu, i oddawałem się ich odmalowaniu w wszystkich odcieniach z całym zapałem człowieka umiejącego oce-

nić w swym bliźnim skutki przyrodzonego usposobienia, oddziaływanie na przechodnie wpływy i wynik wychowania. Tę część opisu pan Lach Szyrma lubo tak sumiennie detaliczny, całkiem prawie pozostawił innemu spostrzegaczowi, innemu pióru. Zajmowały go przedewszystkiém i wyłącznie prawie rzeczy widzialne oczami ciała; oczarowany, widział wszędzie cuda i dobrodziejstwa, chwalił bezwzględnie wszystko co tylko ujrzéć zdołał; nie zajmowała go ani idea przeszłości tych cudów, ani ich obecna wartość, ani ten duch różnych instytucyj, który przejść musi w przyszłość i na świat cały pewien wpływ wywrzéć. Nic go także nie zajmowały przyczyny, które tym lub owym zakładom musiały nadać pewien charakter wielkości, mniéj więcéj odpowiedniéj potrzebom z miejsca lub czasu wynikającym.

Moim było celem wykazać, o ile Anglik hołduje duchowi ogólnego postępu, o ile wrodzone mu samolubstwo pozwoli mu wpływać na cywilizacyą téj massy narodu, którą nazywamy ludem, a która jakoś potrafiła ujść uwagi mego poprzednika w podróżopisarstwie.

Nie mówię już o świecie całym, który koniecznie musi odnieść w swym bycie lub w swych pojęciach pewne korzyści lub straty z wygórowania systematu, jakim się rządzi Anglia. Na te odległe skutki nasz podróżnik ani razu nie zwracał uwagi; zaślepiony w Anglii, sądził może jak Anglik, że świat cały znaléźć może swe szczęście w bezwzględném naśladowaniu instytucyj wielkiéj Brytanii.

Tutaj jest miejsce przystąpić do ważnéj bardzo części méj przedmowy, i obznajmić czytelnika z przyczy-

nami które mnie skłoniły do wydawania opisu podróży odbytéj temu już lat kilka.

Opisywać kraj który zwiedziłem temu lat kilka, kraj w którego stolicy przybywa corocznie pięćdziesiąt ulic, a ludności dwa tysiące razy tyle, to anachronizm! krzyknie niejeden z mych czytelników i gotów tę książkę z ręki wypuścić. „Częstować mnie podróżą starą jak świat, w chwili kiedy mi wnoszą codziennie do domu ułamek podróży pana Lamartina odbytéj w bieżącym roku, to rzecz niesłychana!

Powściągnij twój święty gniéw szanowny czytelniku! przewidywałem że mi ten zarzut zrobisz; w szczerości z jaką się przyznaję do winy, któréjbyś może bez mego wyznania nie był odkrył, czerp względy dla autora. Obznajmię cię w kilku stronnicach sumiennie i szczegółowo z wszystkiemi prawie zmianami zaszłemi w charakterze kraju, przekonam cię, że duch téj cywilizacyi nie przeistoczył się wcale, że takim pobiegł torem, jaki sam przepowiedziałem. A wszakżeż tu idzie przedewszystko o postęp i cywilizacyą, cóż nas w takiéj odległości zajmować może czy Tunel lub pałac parlamentowy za moich czasów jeszcze niezupełnie wykończony, został wykończonym; że rzucono most piszczałkowy z jednéj wyspy na drugą, że przybyło kilku królewiczów i tyleż tysięcy mil kolei żelaznéj. Wiem że się spaliła od tego czasu katedra w Yorku, Bursa londyńska i część Toweru z swą menażeryą, ale korony wielkiéj Brytanii wraz z klejnotami pozostały nienaruszone, sterczą zawsze wieże Westminsteru i wzdyma się kopuła Śgo Pawła, i zawsze jeszcze pokazują za pieniądze groby wielkich ludzi pod niemi pochowanych, co przecież jasno dowodzi, że się

cywilizacya wcale nie zwichnęła w ubóstwianéj Anglii.

Niémasz pod słońcem kraju, o którymby tyle dobrego i tyle złego pisano, jak o Anglii. Sami Anglicy nie oszczędzali częstokroć siebie samych, i z zastanawiającą szczerością wytykali błędy i śmieszności swych rodaków, częstokroć nawet błachość podstaw na których opiera się przyszłość kraju. Wiemy przecież co Byron, Shelley i Bulwer pisali o swéj ojczyznie.

Niémasz znów, kraju którego wielcy ludzie więcéj wypsuli słów, atramentu i farby drukarskiéj na pochwałę i na wyniesienie pod niebiosa Anglii, jak Francya; takjest, Francya, naturalna instynktowna nieprzyjaciółka Anglii. Nie tak dawno pewien dostojny Francuz którego nie wymieniam nazwiska dlatego, że świeży jeszcze jest grób pokrywający jego błędy i nieszczęścia, nie tak dawno pewien dostojny Francuz rozmawiając z księciem Wellington, i słysząc od niego, że się urodził r. 1769, w tym samym, który wydał na świat Napoleona, miał odwagę wyrzec: „*Dieu a voulu nous ménager cette compensation.*“ A pan Guizot będąc jeszcze piérwszym ministrem królestwa Francyi oświadczył publicznie na trybunie ówczesnéj izby poselskiéj: „gdybym nie był Francuzem, chciałbym być Anglikiem.“

„Ma słuszność mój szanowny kolega francuzki — rzekł słysząc to lord Palmerston — bo i ja, gdybym nie był Anglikiem, chciałbym być Anglikiem.“

W téj odpowiedzi tak trafnéj, naturalnéj, choć niespodziewanéj, skupiona jest cała charakterystyka Anglików, owa duma bez granic, która im pozwala ganić własną ojczyznę, urągać się z śmieszności swych rodaków, a wyznać naiwnie na końcu dzieła, tak jak

zrobił Byron, Shelley i Bulwer, że ztémwszystkiém jeśli są kraje piękniejsze jak Anglia, to na całym obszarze świata niémasz prócz Anglików mężów z którymiby było warto żyć; że Anglicy jedynie mają prawdziwe wyobrażenie o honorze i o godności życia.

Sprzeczności sądów wydanych o Anglii i Anglikach, bardziéj jeszcze biją w oczy gdy je spostrzegamy w jedném i tém samém dziele. I tak naprzykład uczony Piotr Rou w swém dziele: „Hygiène pure et nouvelle, ou le miroir de la societé" powiedział na jednéj stronnicy (p. 361): „Chez les Anglais la partie de la physionomie entre le sourcil et le menton, est aussi longue et avancée en *museau*, que chez les peuples les plus barbares.

„Le visage Anglais peut se classer en quatre ou cinq coupes peu differentes les unes des autres. Cette uniformité provient du genre de vie uniforme, des mets peu variés dont ils se nourrissent, des habitudes et des coutumes singiformes, tout cela soumis à une étiquette semblable et pareille dans tous les rangs de la société. L'étiquette est si forte en Angleterre, que grâce à elle, la nation est tout un. Victoria lève le bras, et toute la nation, du prince à la balayeuse de rue, lève le bras également. Victoria se mouche en baissant le coude, 22 millions d'âmes baissent le coude. Donc des êtres dont la vie est toute pareille, ne peuvent que demeurer ou devenir pareils en formes. *Les formes sont soumises aux habitudes*, c'est à dire le spirituel au materiel, car les formes sont guidées par l'esprit ordonnateur."

Daléj zaś, na stronnicy 391 mówi:

„Paris fabrique le beau, Londres la vérité. Paris est inondé de futilités, l'on y voit un plus grand nombre de magasins d'objets de fantaisie qu'à Londres. Mais ces deux villes ont chacune leur spécialité. Paris est la fabrique du beau, et c'est à Londres que les humains fabriquent la raison, c'est à dire la vérité. Lorsque vous aurez appris à connaitre les vérités dans les mystères, rappelez vous, que la plupart vous auront été enseignées par les auteurs anglais.“

Raz tedy Anglicy mają *mordy* zamiast twarzy, są barbarzyńcami, małpami; drugi raz fabrykantami rozumu, professorami najszczytniejszéj, najspirytualniejszéj nauki.

Sto mógłbym przytoczyć autorów twierdzących, że angielski naród jest przeczeniem wszystkiego, co jest szlachetném, piękném, dobrém i wielkiém; i sto innych utrzymujących zdanie przeciwne.

Wyprośmy jeszcze raz na scenę owego sławnego poetę, którego proza tak jest zdradliwą, szczególnie kiedy wieszcz nią przemawia jako mąż stanu.

Pan Lamartine zwiedził Anglią w 1830 roku i odkrył że Londyn był wówczas nowym Babilonem, stekiem brutalstwa i zepsucia, jaskinią najohydniejszych łotrów i szalbierzy, niegodziwém siedliskiem pysznego zatwardziałego w samolubstwie bogactwa i podłego znikczemniałego ubóstwa.

Wieszcz do rozpaczy przywiedziony brzydkim widokiem, uniesiony świętym gniewem, ściąga swe kapitały które miał w Londynie, opuszcza Anglią i wzywa fale dwóch oceanów, by się połączyły nad wyspami Wielkiéj Brytanii i pochłonęły w swych nurtach

swą przeklętą ziemię, która gorszy świat cały i grozi mu zniszczeniem.

Pan Alfons rzuciwszy swe anatema wrócił do Francyi. Oceany tą razą głosu poety nie usłuchały, mniéj były grzeczne jak ośmnaście lat póżniéj w paryzkim Hotel de Vilu zburzone fale oceanu ludowego. Anglia tymczasem organizowała się i porządkowała, zapewnie w skutek deklamacyj pana Lamartina, a może téż w skutek własnych potrzeb. Dwadzieścia lat mija. Wieszcz błądzi jak widmo po tym świecie, którego miał losy w ręku, i w podróży zsiada na chwilę w Anglii. Ale tu już nie znajduje Babylonu: na jego miejsce wykwitł Eden jakiś. Brutalstwo i zepsucie ustąpiło czułéj dobroci, dziewiczéj czystości; w Anglii już nie ujrzysz ani łotra, ani szalbierza, nawet za pieniądze: wszystko tchnie miłością, wszystko ściga za sposobnością wspierania bliźnich radą i czynem; dla zakładów dobroczynnych zabrakło ubogich i chorych— to jedyne nieszczęście w Anglii, zresztą wszystko co żyje stowarzysza się tutaj w imieniu religii; wszystkie klassy narodu bratają się konserwatycznie dla odwrócenia wybuchów, przez usunięcie przyczyn, które je rodzą.

Rozczulił się nasz poeta do rzewnego na widok tego Eldorado, i wyznał z pewną rozkoszą serca, że nieskończona liczba pięknych i prawdziwie chrześciańskich czynów nadaje Anglii niezaprzeczone pierwszeństwo nad innemi krajami, nawet nad Francyą; potém zaś wieszcz Hotel de Vilu wrócił do swéj ojczyzny, cofnął rozkaz dany lat temu dwadzieścia oceanom, zlitował się nad zdradzieckim Albionem i poprosił słońca, żeby skupiło całe swe światło i rozlać je raczyło na

tę cnotliwą ziemię angielską, której dotychczas tylko gazowe światło i to nocną porą przyświeca.

Taka jest zmienność zdań poetów! czytelnik bowiem niech uwierzy, że dwadzieścia lat temu, Anglia nie była tak nikczemną, jak ją okrzyczano, a dziś nie jest tak dobrą jak ją sławią poeci. Nie koniec na tém.

Pan L. B. przybył do Londynu w kika miesięcy po rewolucyi lutowéj, w czasie, kiedy ludzie których na wierzch wyniosły wypadki owéj epoki byli jeszcze zupełnie nieznanemi w Anglii, kiedy cały Albion pałał ciekawością poznania zblizka owych aktorów tak wielkiéj katastrofy politycznéj. Pan L. B... przybył do Anglii jako tułacz, nazajutrz po najokropniejszéj walce, o jakiéj historya wzmiankuje, po straszném powstaniu któreby było dało panu L. B. dyktaturę, gdyby się było powiodło. Publiczność angielska osądzała zawsze z nieugiętą srogością czyny stronnictwa rewolucyjnego Francyi, i nigdy nie okazywała współczucia przewódcom rewolucyjnym którzy w Anglii szukali schronienia. Jednakże niezaprzeczoną jest rzeczą, że przybycie pana B. pewną spowodowało sensacyą w Londynie. Orator luxemburski zabierający się do zmienienia kilku dekretami całego kształtu towarzystwa, niszczący w imieniu rzeczypolitéj wolność pracy, wolność handlu, wolność tranzakcyi, porwany loiką swego systemu aż do uznania potrzeby zniweczenia wolności osobistéj, taki apostoł był dla arystokracyi angielskiéj, zawsze znudzonéj i ciekawéj, rzeczą bardzo pożądaną do zbadania, do zgłębienia. Dzięki nadzwyczajności swych doktryn i swego losu, pan L. B. stał się na czas niejaki człowiekiem bardzo modnym w salonach, do których tylko wielki majątek lub wielkie

znaczenie przystęp dają. Nie oparła się urokowi takiego przyjęcia dusza pana L. B., i w kilka zaledwie tygodni po jego przybyciu do Londynu widzieliśmy z wielkiém zadziwieniem, że niémasz nic więcéj usposobionego do uznania prawd socyalizmu jak arystokracya angielska, że nic nie dowodzi jaśniéj słabości podstaw Anglii jak jéj własne filary.

I na jakim dowodzie oparte to śmiałe, to zastanawiające zdanie? Oto na spostrzeżeniu że wartość włóki gruntu angielskiego od zniesienia praw zbożowych spadła od 35 na 15, że właściciele gruntowi są zrujnowani, że rolnictwo Anglii upaść musi w skutek wolnéj konkurencyi jéj płodów z płodami zagranicznemi. A kto posiada grunt Anglii? Arystokracya. Czy arystokracya może wrócić do dawnych przywilejów bez krwawéj jéj życiu grożącéj rewolucyi? Nie może.— Czy ocalić się nie zdoła od ruiny i zagłady wzięciem inicyatywy w reformie przez lud pożądanéj, a przez szlachtę samą niestety za nieodzowną uważanéj? Zdoła.—W jaki sposób ma się odbyć ta reforma? Podziałem gruntów na małe części, oczynszowaniem, słowem gotowym już systemem O'Connora, o którym późniéj będzie mowa. A czy podział na małe części nada gruntowi większą wartość? Niechybnie, bez żadnéj wątpliwości; przecież to nam już znane z systemu Józefa Millera, z doświadczeń dokonanych w Belgii. Sterkoryzacya gruntów *en famille* wszystko dokaże, grunta podniosą się w wartości o trzydzieści razy. Zmieni się system agronomii ze szczętem.

Olbrzymi to błąd doprawdy. W kilku tygodniach najlepsza nawet głowa nie zdoła obznajmić się z obyczajami i instytucyami narodu tak niedostępnego jak

angielski. Ale téż nikt nikogo nie wzywa do opisywania ich po tak krótkim czasie. Ludzie z tak wielkim talentem jak autor „Historyi dziesięciu lat” a nadewszystko z tak znaną sumiennością, powinni mieć wiedzę granic do której intujcia sądu dojść może. Prawdy nie improwizują się, lecz zbierają na rzeczywistości. Jeszcze tylko o jedném pomówić muszę dziele, nim przystąpię do opisania przyczyn wyradzających tak dziwne, sprzeczne i niezgodne sądy o narodzie angielskim.

Pan Ledru-Rollin opuszcza swą ojczyznę w skutku rozruchu będącego tylko płochym harmidrem w porównaniu z wypadkami czerwcowemi i przybywa do Londynu w chwili, kiedy rozprawy prasy i dyskussye na trybunie od roku w Paryżu trwające obznajmiły były Anglią dostatecznie z postępkami, z wartością intellektualną i moralną członków rządu tymczasowego. Cała ciekawość Anglików wyczerpaną była. Zresztą, odegrana rola przez pana Ledru-Rollin w sprawach Francyi, nie miała dla Anglików ani tego powabu, ani téj nowości co rola pana Ludwika-Blanc. Anglicy nie widzieli w panu Ledru-Rollin jak trybuna, deklamatora brzmiącemi szafującego peryodami; klubistę zapalonego na zimno, przewódcę klubów i stronnictw ulicznych, rzuconego do Anglii śmieszném nic nieznaczącém zaburzeniem. Takich ludzi Anglia sama posiada, i u siebie na trybunie widuje. Wszakżeż tam jest Feargus O'Connor, Jan Frost, Meagher i O'Brien, godni także iść w zawody z panem Ledru-Rollinem. Przybycie jego prawie nie zostało spostrzeżoném.

Ale miała się Anglia z pyszna za to przyjęcie tak niegodne znaczenia naczelnika nowéj góry (de la nou-

velle montagne). Już miesięcy kilka jak wyszły na świat dwa spore tomy pod tytułem: „Upadek Anglii (la décadence de l'Angleterre) w których pan Ledru Rollin dowiódł jasno jak eter: że wielkie państwo królestw zjednoczonych Wielkiéj Brytanii stoi na schyłku swéj potęgi; że upaść musi bezzwłocznie, za najmniejszém wstrząśnieniem; że gangrena ubóstwa, bankructwa i demoralizacyi, roztacza wszystkie części tego ogromnego ciała. Jedna myśl wyjęta z Montesquiusza: szczęście państw morskich nie jest długotrwałém (la fortune des empires maritimes ne saurait être longue), pokutuje jak widmo zastraszające na całém tle wielkiego, pracowitego dzieła, a słowa Adama Smith: „pod wpływem wolności, pracy i konkurencyi handlowéj przyjdzie dzień, w którym postęp zatrzyma się odrazu, a rozpocznie szybki upadek“ wplatane są w całą osnowę złowróżbnéj księgi.

Dziwna rzecz! prasa angielska ani się nawet wzruszyła na te przepowiednie; zachowała pogardliwe milczenie. Dziennik radykalny „Daily news”, powiedział tylko: „że ta księga jest stosem największéj liczby błędów, jakie się komukolwiekbądź udało zgromadzić w jednéj księdze; a Times widział w *Upadku Anglii* próbę nowego sposobu pisania książek, i żądał dla owéj księgi osobnego miejsca w przyszłéj wystawie utworów przemysłu.

Ale mniejsza o zdanie gazet angielskich; idzie tutaj więcéj o nasze własne mniemanie. Lecz cóż powiedzieć o dziele którego ostateczna konkluzya jest: „que la population de l'Angleterre a toujours été en s'apauvrissant et en se degradant, jusqu'a ce qu'elle soit devenue mûre pour une crise revolutionnaire épouvantable,

sans exemple dans l'histoire, et qu'aucune prudence humaine ne peut éviter.“

Na znikczemnieniu tedy i na zubożeniu ludu angielskiego, na dwóch smutnych ostatecznościach *dziś* daleko mniéj niż kiedykolwiek w narodzie tym widocznych, prorok nasz opiera nadzieję urzeczywistnienia swych niezawodnych teoryj, i to nazywa postępem.

Trzeba przyznać, że autor takiego zdania, jeżeli nie zna prawdy bezwzględnéj, to przynajmniéj głęboko przeniknął instynkta ludzi powierzchownych, do żadnéj pracy nieudolnych, a chciwych, a szczęścia pragnących. Jakto, w znikczemnieniu i zubożeniu narodu upatrywać jego odrodzenie się? To teorya zanadto mało zgadzająca się z zdrowemi wyobrażeniami o godności człowieka; w takiéj olbrzymiéj mierze złe nigdy na dobre służyć nie może. Zresztą, przywykliśmy aż zanadto często upatrywać kolebkę dobrego w dokonaném złem, i to nam zagradza drogę do dobrego; to w nas zobojętnia wszystkie siły jakie wywrzéć powinniśmy na doskonalenie się ciągłe w jakiéjkolwiekbądź mierze, w jakimkolwiekbądź czasie lub położeniu.

Wprawdzie, nie tu jest miejsce rozprawiać o wartości teoryj, które stają się modnemi dlatego tylko, że są nowemi, ale nie można pominąć téj sposobności przekonania czytelnika, że i ludzie głośną otoczeni sławą, mylić się mogą najokropniéj, skoro sądzą o krajach i ludach nieznanych im dostatecznie. I tak się mylił pan Ledru Rollin prawie na każdéj stronnicy mówiąc o Anglii, o jéj arystokracyi, mieszczaństwie, ludzie, o jéj religii, zakładach naukowych, magistraturze i przemyśle. Anglią całą poznał z listów „o pracy i o ubogich“ ogłoszonych już dziesięć lat temu przez dziennik zwany „Morning Chronicle.“

Listom tym nadał wartość autentyczną, pomimo reklamacyi saméj redakcyi dziennika, nazwał je „enquête“ *śledztwem*, zupełnie samowolnie, wybrał je pracowicie, obciął i zakroił w sposób zgryźliwemu usposobieniu swego humoru i swéj teoryi najlepiéj odpowiadający. Taka jest różność zdań ludzkich, nawet pomiędzy autorami zaszczytnie światu znanemi z potęgi słów i pióra!

W narodzie, w którym jeden pojmuje wielkość i czerpie w stałości jego instytucyj nadzieje nieskończonych dobrodziejstw dla całego rodu ludzkiego, w narodzie w którego arystokracyi drugi upatruje rozum tak przewidujący, tak silny, że się chętnie gotów wyrzec świetności swego teraźniejszego położenia dla przyjemności zastosowania modnych teoryj do swego kraju, w tym samym narodzie trzeci nie widzi jak nieład, nikczemność i ruinę, i rokuje nam, że z tego błota wyrodzi się Fenix tak upragniony! Jeden optymista, drugi eklektyk, trzeci pessymista, ale wszyscy chcą szczęścia ludzkości, wszyscy wynaleźli jego możliwość w tym samym kraju, na tym samym gruncie, choć wcale innemi środkami. Każdy przybiegł do nieznanego mu kraju ze swą teoryjką szczęścia, wnet ją dopasował i niebawem téż ogłosił światu, że wszystko dobrze, że nowo odkryta ziemia służy tylko na dowód nieomylności jego teoryjki, i na tém koniec. Podobni systematycy wywłaszczają się niejako z wszelkich praw i przywilejów służących światu, z przywilejów korzystania z nowo nabytych doświadczeń, gdyż wszystko co nie wchodzi w formę raz obraną, odrzucają jako niepotrzebne, jako bezrozumne, albo je téż w taki sposób przykroją, że dawnego nie rozpoznasz kształtu.

Nie mam ja wcale na celu szarpaniem wszystkich systematów, uwłaczać rozumom które z surowego zasobu spostrzeżeń wyrwały kształty pewne i w nich odgadły prawa dające się zastosować do rzeczy nowo odkrytych a dawniéj nieznanych. Nie mam nawet na celu oceniać żadnego z tu przytoczonych systematów i rokować każdemu z nich taką lub inną przyszłość; powiem tylko w ogólności, że wszelkie naciąganie systemu do rzeczywistości, wszelkie przykrawanie rzeczywistości do kształtu systematu, budzi zawsze w zdrowym rozumie pewien niezwalczony wstręt i służyć nie może swobodnemu rozwojowi umysłu.

Wróćmy teraz do głównéj kwestyi:

Niéma zaiste dla filozofa nic bardziéj powabnego, dla człowieka myślącego, nic bardziéj nauczającego, jak sumienne badanie osobliwości i obyczajów owego stowarzyszenia ludzkiego, które nazywamy narodem. Wbrew mniemaniu ludzi tak szczęśliwym udarowanych wzrokiem, że nigdzie nie spostrzegają różnic, jeden kraj różni się od drugiego pod bardzo wielu względami w swym charakterze, w swych instytucyach i w swych dążnościach; a w ogóle powiedzieć można, że różnica zachodząca pomiędzy jednym narodem a drugim, przechodzi stosunek różnicy ich języków.

Anglia przedstawia w tym względzie obszerne, ze wszystkich krajów może najobszerniejsze pole do badań człowieka chciwego owéj żywotnéj nauki, którą zbieramy na gruncie obcych krajów. Prócz chińskiego niéma na kuli ziemskiéj narodu tak charakterystycznego jak angielski. Czy to wynika z położenia geograficznego kraju, czy ze stosunków społecznych narodu lub téż z indywidualnego usposobienia samego ludu, to poznamy

później. Dość że w Europie niémasz narodu tak charakterystycznego, do każdego innego tak niepodobnego jak angielski. Wszystkie właściwości narodowe jawiące się w innych krajach w niewyraźnych lub zamazanych zarysach, wybite są na Anglii jasno i oczywiście, często nawet rażąco. Tętna życia narodowego biją tu silnie i mocno, oddech polityczny, żadném uczuciem trwogi lub obawy nie tłumiony, rozlega się tak głośno w powietrzu, że swą własną wzrusza atmosferę; myśl ciągle obecna czuwa nad wszystkiemi i nad każdym jak ów szyldwach, który zmarznie pod bronią, ale jéj z rąk nie wypuści; takjest, wszystkie źródła i potęgi życia filozoficznego jednostek, czute i pojęte przez miliony, skupione do jedności wolą ogólną tętnią i dyszą i czuwają wszędzie, w każdym Angliku i w każdéj chwili, i w każdém miejscu, gdzie krew angielska, lub téż tylko jego mowa dosięgnie.

Istnieć, z wiedzą sił i wartości istnienia, w centrum takiego życia, pewno nie jest rzeczą bez powabu, gdyż i najgnuśniejszy umysł, byleby nie był odarty z tego, co przecież każdemu prawie stworzeniu nadane, byleby nie był odarty z zmysłów, znajdzie w Anglii niezliczone powody zastanowień tak silnych, że się musi stać myślącym, chociażby dotychczas nigdy téj doskonałości nie był ani świadom, ani właścicielem.

Istnieć w centrum, nie powiem już życia umysłowego, lecz czynności fizycznéj na potrzebie życia umysłowego i materyalnego świata całego opartéj; żyć w takiém centrum życia, jest zaiste wielkim powabem; ale zgłębić je, ocenić należycie, skorzystać z niego wszechstronnie w sposób całéj wartości rozumu, umysłu człowieka odpowiadający, w sposób godny filozofa

oto trudność, którą nie wszyscy uczują i pojmą, a jeśli uczuli i pojęli, nie mają ani sił, ani sposobności zwalczyć.

Droga do Londynu tak łatwa, wszystko już goni do tego olbrzymiego miasta. Jednym powoduje moda, drugim chęć korzyści, trzeciego pędzi konieczność, ale wszyscy powracając mówią z uniesieniem: „I ja byłem w Londynie, i ja piłem porter z browaru Barkleya i Perkina, tak ulubiony w Europie, a zatém mam prawo sądzić o Anglii.“

I tak naprzykład kupiec, dla którego pieniądz jest prawdziwym celem życia, niech jedzie do Anglii. Zastanowią go i ogromne składy, niesłychanie głębokie i wielkie doki, czyli warsztaty okrętowe, do których najcięższe statki z łatwością wprowadzić i w parę chwil upuściwszy wodę w suchości umieścić można, w banku angielskim oczarują go stosy złota rozchodzące się całemi szuflami po kraju, ujmie go niewymowną miłością ów ciągle czujny handel, który do jednego kraju ściągnął dawne skarby Golkondy i Potozy, a dziś jeszcze sprowadza złoto Uralu i Kalifornii. Zresztą w stycznościach swoich z ludźmi, nasz podróżnik widzi, albo też pozna tylko kupców bogatych, przedsiębierczych, rzetelnych, i nie pragnąc widzieć więcéj, niewiele się zajmuje wyśledzeniem przyczyn i skutków rzeczy, powraca do swego kraju i rozsiewa niesłychane wieści o szczęściu narodu, który tyle ma złota, tylu kupców, tyle rzetelności, co jest najlepszym dowodem jego wartości moralnéj i umysłowéj.

Ktokolwiek przyjdzie do Anglii, jako chciwy wrażeń turysta, zaślepiony jest, odurzony tym ogromem rzeczy wielkich i olbrzymich, który się rozwija przed

jego oczyma jak urzeczywistnienie jakiego snu gorączkowego.

Rozległość stolicy mieszczącéj w swych murach ludność wystarczającą na całe królestwo, drogi podrzeczne i nadpowietrzne, zakłady dobroczynne wielkie jak stolice innych królestw, więzienia ocienione drzewami i bluszczem, poważne i tchnące pokojem jak święte jakie klasztory, tysiące i tysiące pałacyków letnich i ogrodów uśmiechających się jak kwiaty pośród hałaśliwego gwaru życia milionów, pośród łoskotu fabryk, turkotu i świstu wozów parowych przekraczających miasto i państwo we wszystkich kierunkach, głęboko pod stopami, pod ziemią, nurtami Tamizy i wysoko nad dachami domów, świetność sklepów zawierających najcelniejsze towary świata, nieprzejrzały las masztów kołysanych na falach szerokiego i głębokiego strumienia, a nadewszystko ruch życia tak żwawy, tak jednoczesny, a samoistny, wyjawiający się ciągłém dążeniem wszystkich do jednego celu, ta rozwaga i niecierpliwość ożywiająca wszystkie twarze, ten porządek niestrzeżony napozór żadną władzą policyjną, — oto widok ujmujący, wspaniały, wielkością prawie zastraszający, który przedstawia Londyn wrażeń chciwemu podróżnikowi.

Trudno oprzeć się i najsilniejszéj duszy wpływowi tylu niewidzianych, niespodziewanych wielkości. Pod tym względem Londyn jest jedyném miejscem w świecie; nigdzie nie znajdziesz pod gołém niebem, na jednym punkcie zgromadzonych tyle olbrzymich dowodów przedsiębierstwa i pracy ludzkiéj.

Jesteś literatem lub artystą i przybywasz do Londynu po nowe zasoby dla twych nauk, po nowe barwy

dla twych ideałów? Źleś trafił podróżniku, nie znajdziesz tutaj ani posągów, ani fresków godnych ubóstwienia pod tém dżdżystém niebem, nie znajdziesz braterskiego przyjęcia u twych współzawodników w nauce lub sztuce, nie znajdziesz tu nic z tego co cię we Włoszech, we Francyi, albo też nawet w Niemczech sztuką lub nauką czarowało. Są i tu arcydzieła sztuki, księgi i rękopisma, starożytności egipskie, greckie, hetruskie i indyjskie, ale to wszystko rzadko rozsiane w trudnodostępnych pałacach magnatów lub w bibliotekach i muzeach za pieniądze otwieranych zawarte; są i tu kursa wykładane w publicznych audytoryach, lecz tylko pieniądz otworzy ci do nich podwoje. Tutaj każda osobliwość musi służyć za środek do spekulacyi, umarłych królów i poetów puszczono w entrepryzę; topory, któremi niegdyś skrócono życie pięknym królowym, muszą dziś wyżywić ceną swego widoku owych opasłych trubantów; krwawe dzieje przeszłości wskrzeszane przez niemiłosiernych cyceronów pracują, aby wydać dla nich bifsztyki.

Nie! w téj atmosferze żyć nie mogą ni lube muzy, ni też piękne gracye.

Lecz skoro przybywasz do Anglii, nie pędzony chęcią zysku kupieckiego, ani też żądzą wrażeń lub nauki, skoro tu przybywasz jako rozbitek unoszący swe życie po doznanéj burzy, tak jak ja przybyłem; skoro nie wiész kiedy do swéj wrócisz ojczyzny, wówczas zanurzony odrazu w owym odmęcie wielkości i czynności, w którym żadnéj nie ujrzysz przyjaznéj twarzy, ani uczciwego spojrzenia, wówczas truchlejesz, choćbyś miał najodważniejsze serce, i cała wielkość dumnych budowli, cała czynność sobą jedynie zatrudnio-

nego tłumu, służy jedynie na pogrążenie cię w myślach tęsknych, pełnych smutku i goryczy; wówczas podziwienie wielkości znajdzie swe granice w obrębach nieczułéj oziębłości, wybitéj tak wyraźnie na fizyognomii tych ludzi, którzy nie chcą cię uznać za swego bliźniego. Serce twe krzepnie, nieufność wstępuje w twego ducha, myślisz, rozbierasz i sądzisz, mylisz się często, ale nawet myląc się bliższym jesteś prawdy jak ów kupiec, który tu przybył po zysk, jak ów turysta, którego tu zapędziły żądze wrażeń. Mylisz się, zanadto jesteś surowym, niesprawiedliwym sędzią, ale i wówczas sąd twój jest prawdziwszym jak sąd owych płochych ludzi, co za drogie pieniądze w towarzystwie cyceronów hotelu lub interesowanych przyjaciół zdobywają swe wrażenia.

Być widzem lub aktorem zmuszonym pracować na téj wielkiéj widowni życia, to rzecz wcale inna. Oko najczujniejszego spostrzegacza nie odkryje tych tajnych sprężyn obcego życia, które na serce człowieka potykającego się z smutną jego rzeczywistością tak boleśnie działają, zresztą, nie jestto w interesie podróżnika silić się na odkrycie cieniów *tam*, gdzie tyle wydaje pieniędzy na podziwienie światła. On na to przyjechał, by sobie okupić przyjemne, żadnym kłopotem nieprzyćmione wrażenia, ale nie na to, żeby z sobą wywiózł nagą, nieubłaganą prawdę.

Nie można sądzić o Anglii z znajomością rzeczy, nie przeżywszy długiego czasu z Anglikami, nie zmierzywszy własnych swych sił z niemi, nie zgłębiwszy owych stosunków społecznych, któremi przelotny podróżnik nigdy nie zostanie ujętym.

Człowiek praktyczny, czerpiący swe myśli i zdania raczéj w żyjącym człowieku jak w niemych pomnikach przeszłości, filozof zdolny uważać i sądzić siebie samego, jako przedmiot, gdy się znajdzie w stosunkach z innemi ludźmi tak wyraźnie i wiele działającemi jak Anglicy, i tak *osobliwie* myślącemi jak oni; jedném słowem człowiek przywykły żyć wszystkiemi siłami ducha i umysłu znajdzie w Anglii niezmierną, obszerną widownią dla swéj nauki, ale powinien umiéć czuwać nad sobą samym, biedz w zawody razem z krajowcami do pożytecznego celu, a nie dać się zarazić tą wygodną, krótkowidzącą filozofią, która prawie zawsze jest podstawą i zasłoną tak nazwanych *ludzi praktycznych.*

Pobyt mój w Anglii głęboki, niezatarty wpływ na mój umysł wywarł; sam to przyznam, w Anglii dopiero poznałem do jakiéj wartości wznieść się może siła życia, w objawie swym, i w swéj działalności żadną nie hamowana zewnętrzną lub wewnętrzną, fizyczną lub moralną zawadą; w Anglii dopiero poznałem do jakiego stopnia doskonałości doprowadzić można pracą i czynnością naród i kraj *miernemi* przez Opatrzność wyposażone darami; ale z tego wcale nie wynika, żebym w podziwieniu bezwzględném zatracił wiedzę lub sumienie własnego mego sądu, żebym w wielkości Anglii upatrywał znamiona wielkości jéj ducha, lub téż w poniżeniu jéj ubogich przepowiednią blizkiego upadku tego kraju.

Nie chciałbym żeby cywilizacya świata na tych samych lub podobnych wzrastała podstawach; nie życzyłbym ludzkości, żeby się jéj część mała bogaciła kosztem tylu bliźnich, żeby sobie kraj jakikolwiek miał okupywać swój byt i swą wielkość kosztem uczuć tak

potrzebnych, jak *litość* i *względność* dla człowieczeństwa.

Zresztą to jest niemożebném, i nie z téj strony pochodzi niebezpieczeństwo; krew i złoto świata całego nie wystarczyłyby dla małéj Europy, gdyby ona tylko tym samym chciała żyć systemem co Anglia.

Niech mi nikt tu nie zarzuca deklamatorstwa, tojest chęci wywoływania dawno znanemi, dawno oklepanemi myślami, uczuć jakich potępiających na korzyść mego własnego dowodzenia. Są prawdy, które nie zatracają wartości dlatego tylko, że są dawno znanemi, idzie tylko o zastosowanie tych prawd zgodnie z rzeczywistością i w właściwych jéj obrębach.

Jakie jest zadanie polityki Wielkiéj Brytanii? Utrzymać przy bycie, a zatém w ciągłym postępie naród 22 milionowy, skupiony na obszarze ziemi, który zaledwie z największém wytężeniem sił, maszyn, ludzi i przyrody połowę jego wyżywić może.

Jakiemi środkami polityka Anglii dąży do odpowiedzenia temu trudnemu, olbrzymiemu zadaniu?

Wydoskonaleniem rolnictwa i przemysłu, rozciągnieniem swego handlu na obszar całego świata, a przedewszystkiém utrzymaniem prawa w tak wielkiém poszanowaniu, żeby i nieszczęśliwy nie znajdujący kawałka chleba dla siebie i swéj rodziny, nie wykraczał przeciw prawu, ustanowionemu z woli szczęśliwszych.

To jest, nikt nie zaprzeczy, zadaniem polityki angielskiéj; miecz Damoklesa w postaci głodu i anarchii ciągle nad jéj zawieszony głową, oceany ciągle huczą i oddzielają jéj ziemię od serc reszty świata, sztuczna jest i na konwencyonalnych abstrakcyjnych podstawach

oparta budowa jéj stosunków społecznych, a patrz jednakże, jak jest silna i potężna! jak mężnie przetrwała wszystkie klęski wojny, głodu i rozruchów, i niedawno jeszcze, kiedy cała Europa w swych zadrżała podstawach, kiedy się chwiały państwa napozór najsilniejsze, Anglia pozostała cichą i spokojną, a jedyny zamach zrobiony na zakłócenie jéj spokojności skończył się najzupełniejszém niepowodzeniem.

Anglia wzmaga się nawet ciągle, rozciąga swe panowanie coraz daléj, w coraz obszerniejszych zakresach, wpływ jéj kupieckiego ducha krąży, i tak potrafi kierować swym sterem, nadstawiać swe boki, że klęski reszty świata i postęp reszty świata służą zarówno biegowi téj olbrzymiéj nawy, na któréj tronuje Brytania. I zaledwie błyśnie w jakimkolwiekbądź zakątku ziemi jakiś listek dotąd nieznany złota, Anglia posiądzie część jego większą; i zaledwie się zjawi gdziekolwiek myśl jaka płodna w materyalne wyniki, Anglia ją pojmie, porwie i do własnego użytku przed wszystkiemi innemi krajami zastosuje; i tak: masz parę, masz elektroplastykę, masz olbrzymią wystawę, która tysiące milionów do Anglii przyciąga, i jestem pewnym, że Anglia najpiérwsza wyprawiać będzie towary nadobłoczną drogą, choć ci tam Francuz obiecuje, że za parę godzin staniesz balonem u twych antypodów.

I to wszystko robi Anglia *swym gieniuszem?* nie, gieniuszu tam niéma, gdzie tylu biedaków rok rocznie własnéj wyrzeka się ojczyzny dla szukania szczęścia w odległych, nieznanych sferach; tam niéma gieniuszu, gdzie taki brak umysłowego życia, gdzie sztuki piękne więdnieją, gdzie schnie serce, a ludzkość tylko w materyi, i tylko w materyi, w posiadaniu i w spożywaniu, całe swe ostateczne znajduje szczęście.

Gieniuszu tam niéma, gdzie tyle jest samolubstwa i bezwzględności; ale tam jest talent, czynność i wola. Anglia bowiem żyjąc samolubstwem, i nie pojmując szczęścia jak w materyi, nie wiedziona żadnemi wyższemi, szlachetniejszemi pobudkami, mogącemi jéj nadać prawo do sympatyi narodów, wygórowała jednakże z tak pośledniemi sprężynami życia, jakie od kilkuset lat naciąga, do wysokiego zdumiewającego stopnia siły i potęgi.

I tu jest tryumf czynności i woli, bez któréj i najpiękniejsze postanowienia, wynik wysokiego ducha żadnéj nie mając wartości, znowu się płonnemi okażą.

Anglia żyje samolubstwem, i nie pojmuje szczęścia jak w materyi jeszcze. Ale dziś stoi nieskończenie wyżéj od narodów, które hojniéj od przyrody wyposażone, wyższą potęgę ducha i uczucia posiadające, upadają dlatego, że poszanować nie umiały ani sił woli, ani skuteczności czynu.

Ale jeśli gnusność umysłowa i fizyczna stać się może przyczyną upadku narodów i znikczemnienia ludzi, to i nizkość polotu ducha i serca nie zabezpieczają narodom długowiecznego życia. Rozwój w człowieku, a jeszcze więcéj w narodzie powinien odbywać się jednocześnie, jednostajnie. Istność potrzeby i siły stanowi jéj prawo, a powinnością każdéj jest szanować drugą, nie szkodzić ani uchybić drugiéj przez zbytnie rozwinięcie, lub przez zaniedbanie się w czynności, gdyż wszelki rozwój jednostronny nie prowadzi do długiego życia, ani do szczęścia.

To jest widocznem dla każdego, który przeżył czas długi w Anglii, który zgłębił jéj filozofię, ocenił jéj uczucia religijne, poznał jéj cywilizacyę i doświadczył

jéj moralności. To jest widzialném dla każdego, który sam żyjąc wszystkiemi siłami życia, nie znajduje pomiędzy Anglikami odgłosu na uczucia mu najdroższe.

Filozofia Anglików drobnostkowo wyrobiona, mechanicznie dopuszczana do krótkich i materyalnych pojęć narodu wystarczała Anglikom przez wieków półtora. Niedawno dopiéro, za wpływem szkockiéj filozofii, za wpływem spiritualniejszych teoryj Kanta, Anglicy wyższego polotu ducha, poznali, że dawna filozofia ciasna i materyalna, jest dla umysłu narodowego raczéj chińskiém obuwiem jak płodnym w ellektualne wyniki gruntem. Ale massa narodu zawsze jest obojętną na wszelkie wdanie się jakiéjkolwiek nauki abstrakcyjnéj do wychowania publicznego. A pomiędzy uczonemi największa część obawia się dziś jeszcze spirytualizmu rozumującego, jako wpływu mogącego ich zawieść w labirynt myśli bardzo nawet niebezpieczny dla ich krótkiéj loiki. Część duchową człowieka Anglik zostawia ze wszystkiém panowaniu teologii, i choć protestant, dla własnéj wygody chętnie się zrzeka wszelkiéj dyskussyi o rzeczach przechodzących szczupły zakres w którym krążą idee Lockego.

W ciągu tego dzieła wejdziemy głębiéj w tę materyą, i stając się wiernym tłumaczem najcelniejszych myśli filozoficznych, pojętych przez Anglików i w ich życie weszłych, przeświadczymy czytelnika o prawdziwości naszego twierdzenia.

Religia Anglików, właściwie nie jest religią, gdyż ona nie wiąże, nie skupia, nie jednoczy, ale owszem oddziela massę od massy, rodzinę od rodziny, człowieka od człowieka. Religia Anglików nie jest wiarą, tylko systematem w który wierzyć przykazano, wyznaniem

improwizowaném przez namiętnego, miłosnéj wzajemności spragnionego króla, wyrzekającego się dla krótkotrwałego zadowolnienia téj religii, któréj był dotychczas najgorliwszym obrońcą,—króla, któremu płochości życia zostawiły jeszcze siłę wpłynięcia tak potężnie na wybór swego ludu, że naród angielski, tak poważny i rozsądny, jednogłośném prawie odstąpieniem dawnéj religii uświęcił najopłakańsze płochości i czyny swego monarchy.

Prawda, że nowa wiara Anglików wygodną była dla samolubnych instynktów tego narodu, niemało się ona przyłożyła do rozwoju tego ducha materyalizmu, który dziś przybrany w wykwintne szaty cywilizacyi i obłudnéj religii, świeci nad widnokręgiem świata w barwach tak świecących, że najrozumniejszego gotów swym blichtrem olśnić człowieka.

Ale nas nie omamiły, nas, cośmy zrodzeni w kraju, gdzie mniéj piszą, mniéj mówią, a może i myślą o wierze, ale gdzie uczucie religii tkwi w sercu ludzi, i objawia się tak czule tém ogólném usposobieniem braterskiém, tą prawdziwą serdecznością, któréj ani śladu nawet w angielskim nie znajdziesz narodzie. Mnie nie omamiły owe meetingi, konwentykle, zbory, towarzystwa biblijne, ani stowarzyszenia wspierające kaznodziei ulicznych i polowych; mnie nie omami, ani missyonaryusz z czeredą dzieci wysłany na rozpowszechnienie *wiary* w odległe kraje, ani pastor uczący się sztuki położniczéj dlatego, żeby mu to ułatwiło sposobność wpłynięcia na przekonanie królowéj Otaickich wysep. Wszystko to prawdziwéj wierze służyć nie może, wszystko to bowiem z prawdziwéj gorliwości religijnéj nie wyszło.

I Anglik umié być szarlatanem, choć nigdy tak śmiesznym, ani tak zabawnym jak Francuz. U Anglików wszystko nosi cechę powagi i przyzwoitości, szarlataneryа ich objawia się w kolosalnych postaciach, i dlatego u człowieka powierzchownego wzbudza poszanowanie. Anglicy radziby weprzéć w świat, że oni są prawdziwemi filarami wiary, i ztąd owe stowarzyszenia religijne, rozciągające swe wpływy na wszystkie kraje; ztąd owe biblie i traktaty duchowne, tak gęsto wszędzie rozsiane, tak rozpowszechnione. Ale zaraz za temi bibliami, za owém słowem Bożém ciągną wozy kotonnad angielskich, porter londyński, brzytwy z Liverpool, broń z Birmingham i igły z Sheffield. Często nawet ten sam wiezie je kontrabandyer. Nie widziałżem przykładów tego na brzegach Portugalii, Hiszpanii, Francyi i Afryki? Nie byłżem świadkiem, w jaki sposób rujnowano handel tych krajów *bibliami?*

Wiele jest bardzo obłudy w owych staraniach o rozkrzewienie chrystyanizmu, każdy o tém przekonać się może. Ten sam rząd który zakazuje katolikom zwoływać swych wiernych dzwonami na nabożeństwo, nakazuje załogom w Madras, Bombay, Calcutta i w innych miastach indyjskich, występować przy processyi Brahminów i oddawać zaszczyty wojskowe przy odgłosie armat i powiewaniu sztandarów, komu? drewnianym bożyszczom wyobrażającym Brahmę, Sziwę i Wisznu.

Że religia bardzo zatrudnia umysły wielu Anglików, że w niéj Anglia przeczuwa mniéj więcéj wyraźnie odrodzenie się do godniejszego, wyższego życia, to rzecz niewątpliwa. Że od mego pobytu w Anglii rozpowszechniły się mniemania o potrzebie wiary, serca i umysły więcéj kojarzącéj, że przedświt prawdy który

się za moich czasów objawił, dziś już wyraźnym występuje czynem, to rzecz dla mnie bardzo oczywista, a bardzo pocieszająca w dwojakim względzie: raz jako poczynający się tryumf prawdy, drugi raz jako dowód trafności mych przepowiedni. Te bowiem oddawna przewidziałem postępy, mianowicie w poetyckiéj, serdecznéj Szkocyi. Lecz wiele jeszcze Tamiza nurtów przetoczy, może nawet i niejedna kropla krwi ją zafarbuje, nim się to odstanie w imieniu wiary, co się niegdyś stało w owéj dumnéj Anglii tak łatwo, na jeden rozkaz królewski.

Emancypacya katolików w Irlandyi, aczkolwiek niezupełna, i zbytniemi określona zastrzeżeniami, zawsze jest ważném wyswobodzeniem, wyznaniem, że protestanci angielscy wzdrygać się zaczynają na widok nielitościwéj niższości, w któréj dotychczas trzymano ich katolickich współziomków.

Krok ten płodnym będzie w owoce.

I cywilizacya także postąpiła naprzód, choć nie przestała jeszcze być więcéj wynikiem płochéj mody lub nieubłaganéj potrzeby w klassach średnich, a rezultatem prywatnych i niedoskonałych starań w klassach ludu. Rząd jeszcze mało swym własnym kosztem szkół utrzymuje, wydaje na nie rok rocznie tylko 18,000 funt. szter. (tojest 756,000 złp.), (co jest prawdziwie summą bardzo skromną w porównaniu dochodów przywiązanych do biskupstw anglikańskich). Wszyscy się na to zgadzają znawcy, że lud angielski stracił już ów złowrogi wyraz twarzy, który mnie tak raził, prawie przestraszał, dziesięć lat temu. Na miejscu obdartych tłumów żebraczych, i zgłodniałych dzieci, które niegdyś zalegały ulice miasta, widzisz robotników dość

porządnie ubranych, ze zdrową cerą i silném ramieniem. Dzieci zdają się zdrowe, mniéj więcéj w dobrym bycie chowane, umiejące czytać, pisać i rachować, co przedtém nader rzadkiém było zjawiskiem.

Ztémwszystkiém Londyn jeszcze się nie przemienił w Ateny, ani téż Oxford i Cambridge. Zawsze jeszcze dawny scholastyczno-pedantyczny system naukowy ciąży na młodzieży pobierającéj wychowanie w owych uniwersytetach arystokratycznych, które Anglicy nazywają wysokiemi szkołami *highscools;* zawsze jeszcze czysta klassyczność jest uważana za podstawę wyższego wychowania, czysta praktyczność za podstawę wychowania fachowego, tojest lekarskiego, matematycznego, fizycznego, chemicznego etc. Anglicy pojąć nie chcą jeszcze, że jest jakiś tajemny węzeł pomiędzy wszystkiemi naukami, i zawsze się obawiają przeładować sobie głowę rzeczami do ich specyalnego zawodu niepotrzebnemi, a zatém szkodliwemi. Pod tym względem Anglia od swych przesądów nie odstępuje, zbytnie ubieganie się za specyalnością robi ich jednostronnemi, i rzeczywiście uwłacza ich umysłowemu wykształceniu.

Mało nam pozostaje powiedziéć o moralności Anglików. Trzy są rodzaje moralności, któreby właściwie powinny wypływać z spólnego źródła, z źródła religijnego, a jednakże często bardzo istnieją w niezależności jedno od drugiego.

Moralność policyjna za moich czasów w smutnym była stanie w Londynie, popsucie i zbydlęcenie massy proletaryuszów skutkiem nędzy i ciemnoty było okropne. Więcéj we mnie obrzydzenia jak litości wzbudzały rozpasanie i rozpusta u mężczyzn, przedwczesne

zepsucie u dziewczyn, i brzydki cynizm u matek. Bezecne tłumy w błotnistych zaułkach Londynu, wychodzące jako robactwo grzać się na słońcu, wydające dzikie, szatańskie jęki, wycia i śmiechy; owe dotychczas przezemnie nigdzie niewidziane, niespodziewane zbestwienie człowieka wywarło na mą duszę niezatarte niczém wrażenie, i mało mnie usposabiało do szanowania ludzi bogatych, którzy znieść mogą widok podobnego poniżenia w własnych rodakach, w bliźnich.

Istotnie szlachta i bogaci właściciele Anglii zdawali się być nieczułemi na tę okropną, serce zakrwawiającą nędzę, i gorszyli mnie swym niesłychanym zbytkiem.

Od tego czasu pojęcie poszanowania godności ludzkiéj wiele zyskało w Anglii, a z nim i owa moralność ludu, którą nazwaliśmy policyjną. Oględna i rozumna społeczność angielska, czując nareszcie całe niebezpieczeństwo swego położenia, zaczęła myśléć o lekarstwie na tak wielkie boleści. Bogaci, poruszeni uczuciem własnego dobra, a może téż jakim odcieniem litości, poczęli działać sprężyście, nie oglądając się czy rząd idzie im z pomocą, pewni, że go wciągną swym przykładem na drogę zbawienia. I tak się téż stało w istocie. Ludzie stanu przyszli nareszcie w pomoc bogaczom, i wydźwignęli siebie samych, i ludzkość upośledzoną na ciele i duszy z okropnéj otchłani, grożącéj upadkiem całemu państwu angielskiemu.

Dziś ulice Londynu prawie oczyszczone z występku i nędzy, tyle jéj tylko widać, ile koniecznie w tak ogromnéj ludności znaléźć się musi.

I tu jest znów tryumf woli i czynu, a jeszcze nie chrześciaństwa, gdyż moralność polityczna Anglików nic na tych zmianach nie zyskała, owszem może jeszcze

straciła przez ciągłe wysilenia pieniężne, które rząd i bogaci musieli ponosić dla przywrócenia porządku wewnątrz kraju. Żaden Anglik nie potępi niesprawiedliwych wojen, które Anglia prowadzi ciągle w Indyach wschodnich, ani téż nie będzie bronił Chińczyków, których całym grzechem było, że się nie chcieli dać wytruć; żaden się nie zlituje nad Grekami ciemiężonemi za długi, ani nad Portugalczykami wysysanemi jak cytryny. Sumienny Anglik nie rumienił się ze wstydu, wysyłając działa i ammunicyą Abdelkaderowi, albo wprowadzając zbrojną ręką towary do Hiszpanii, wichrząc spokojność świata, gdzie tylko mógł dla odwrócenia od siebie oka, lub dla sprzedania broni, obiecując powstającym protekcyę, wiedząc że téj obietnicy ani może, ani chce dotrzymać.

W tym względzie wszystko pozostało przy dawném, sumienie polityczne Anglii śpi pod grubém niebem samolubstwa.

Co do moralności familijnéj, towarzyskiéj, w téj Anglia zawsze celowała i zawsze jeszcze świetnieje, może ponad wszystkie inne narody europejskie. Anglik z przyrody swéj lubi wygodę ciała i umysłu, i dlatego téż otwartym jest nieprzyjacielem owych domowych fałszów, nierzetelności, zdrad i intryg, które w innych narodach, a mianowicie w francuzkim, nietylko są bardzo częstemi, ale nawet w pewnym względzie stanowią źródło niezbędnie potrzebnych przyjemności zycia. Zresztą, Angielka jest sentymentalną, Anglik zimnym, dopóki są wolnemi; po ślubie zaś stają się dbałemi o honor domu, egoistami i bardzo materyalnemi ludźmi. Z takiém usposobieniem łatwo być i pozostać moralnym, w pewnym względzie przynajmniéj.

PODRÓŻE PO ANGLII

PRZEZ

Doktora T. Tripplina.

ROZDZIAŁ I.

Wyjazd z Norwegii—Scena na pokładzie—Pan d'Elcourt—Pilot angielski—Niestałość powietrza—Kapitan Jensen—Orlando furioso—Niedźwiedź lapoński i Koza z Dalekarlii —Wpływ ciekawości na zdolności—Ujście Tamizy—Latarnia magiczna—Córki Albionu—Urzędnicy celni—Bifsztyk koczujący—Woolwich—Artyllerya angielska—Zabawa narodowa—Prawo—Londyn—Spleen—Komora celna—Tower of London—Trabanty—Skarbiec królewski—Arsenał—Muzeum narzędzi torturycznych—Menażerya—Duch kupiecki.

Żal rozstawania się z krajem w którym tyle pozostawiłem przyjaciół a żadnych nie doświadczałem prześladowań, żal wzmocniony jeszcze niepewnością przyszłości, ściskał mi serce niewymownym bolem; — tęsknota do rodzinnnego kraju, przyduszana ciągłą walką z trudnościami, jakie klimat i sposób życia tak zupełnie odmienny od dotychczas doświadczanego wyma-

gały, odezwała się odrazu skorom się znów ujrzał samotnym. Cierpiałem wiele, ale nietyle ilebym był cierpiał, gdybym już wtenczas miał był choć najlżejsze wyobrażenie o życiu tułacza. Dotychczas przyczyna cierpień mych była tęsknota do wszystkiego tego. co młodzieńcowi żyjącemu prawie wyłącznie uczuciem było nieskończenie drogiém, niezbędném prawie do życia szczęśliwego; nie wiedziałem że do tych przyczyn przyłączą się jeszcze inne daleko dotkliwszego rodzaju bo mniéj szlachetne, jakoto: nędza materyalna, choroby, i ten chaos myśli, nieład uczuć wyradzający się w najlepszych głowach i sercach, na widok ludzi ścierających się bez litości, a utrzymujących że choć różnemi drogami, do jednego szlachetnego celu zdążają.

Ale nie odsłaniajmy jeszcze przyszłości, nie zatrudniajmy się obrazem chwil błogich pędzonych w niewiadomości jéj goryczy.

Wszyscy jakoś w solenném byliśmy usposobieniu na pokładzie. Kapitan nieznający jeszcze swoich ludzi, a ostrożniejszy niż kiedykolwiek od utraty okrętu, na którym z Kopenhagi wypłynęliśmy do Anglii a rozbili się tysiącznych doświadczywszy przygód na brzegach Norwegii, nie spuszczał oka z żagli, steru, bussoli i pompy; oko jego krążyło wszędzie. On sam stał na miejscu najwznioślejszém, wtyle okrętu, oparty o galeryę, i czasem tylko donośnym głosem zbliżywszy do ust w kształcie trąbki stuloną rękę, wydawał rozkazy. Majtkowie zebrani na przodzie śledzili w wyrazie twarzy swego kapitana każde jéj poruszenie z dziwną i badawczą ciekawością, po największéj bowiem części jeszcze go nie znali, i radzi byli przy téj pierwszéj

sposobności wyczytać mu z oblicza, czy należy do rodzaju wilków morskich, lub téż cieląt wodnych, tojest: czy się zna lub nie zna na swéj rzeczy. Kucharz téż wmilczeniu warzył coś w swéj kuchni niewiele większéj jak szyldhaus, i tylko kiedyniekiedy, korzystając z swego położenia wyjątkowego, łajał chłopaka z kajuty swego pomocnika, gdy bawił się z uszami Holdfasta. Byłoto imię poważnego brytana, którego powołaniem było strzedz nas kiedyśmy byli w porcie i służyć nam jako rozrywka kiedyśmy nie mieli nic lepszego do roboty. Pilot zaś angielski, którego na naszym okręcie burza zaniosła od brzegów swéj ojczyzny, od rodzinnéj zagrody, od żony i dzieci opłakujących go już zapewnie za straconego na norwegskich skałach, stał blizko kuchni pogrążony w zwyczajnéj mu gniewliwéj flegmie. Spoglądał często na chorągiewkę która na szczycie masztu raźnie furczała, niekiedy wesoło błysnął okiem, wpatrywał się długo w widokrąg zachodni, i nozdrzami rozwartemi zdawał się wciągać w siebie powietrze rodzinne. Czasem także rzucił rozgniewanym wzrokiem na kucharza i spluwał w morze z obrzydzeniem: widać że mu spieszno było do ojczyzny, że go zalatywał zdaleka zapach rostbifu, a strawa okrętowa mierziła.

Wszyscy tedy w solennem byliśmy usposobieniu Wtém wypada z głównéj kajuty na pokład, jakby z procy wyrzucony, w jaskrawe kolory przybrany, z wyszwarcowaną brodą i wąsami, nasz Francuz. Jako zupełnie czytelnikom nieznanego, nie od rzeczy będzie przedstawić go w kilku słowach.

Pan Delcourt który się chętnie podpisywał d'Elcourt, bo mu się zdawało że trąci cokolwiek markizem,

był jednym z wychodźców którzy po wypadkach 15 roku opuścili piękne brzegi Loary, i rozjechali się po świecie uszczęśliwiać odległe kraje lekcyami języków, tańców, fechtowania, naprawianiem zegarków, wykładaniem magii, buchhalteryi, klassyków i romantyków, teoretycznie i praktycznie. Pan Delcourt miał lat 52 rano wstawszy, póki miał fularem związaną głowę; 43 skoro się ogolił, wsadził perukę, wyszwarcował i wyszczypał; 36 zaś najwięcéj kiedy się znajdował w towarzystwie dam i mógł należycie swą wymowę rozwinąć. W Chrystyanii ożenił się z podeszłą już a dość majętną damą, przełożoną pensyi, wywiózł ją do Drontheimu gdzie założył dom handlowy i został vice-konsulem jakiéjś mitologicznéj rzeczypospolitéj, leżącéj niedaleko równika na tamtém półkolu ziemi. Długo handlował czém tylko handlować można było, i poszło mu szczęśliwie, bo był czynnym, obrotnym i uczciwym. Żona uległa srogości klimatu i wiekowi. Ujrzawszy się wdowcem samotnym (dzieci bowiem nie miał), wypłakawszy się przyzwoicie, przypomniał sobie że mu już nic nie wzbrania wrócić do drogiéj ojczyzny i żyć z mozolnie zebranego majątku. Sprzedał tedy dom i firmę, zabrał na nasz statek towary pozostałe, które w Anglii dobrze sprzedać zamyślał, i puścił się w podróż, korzystając z naszego miłego towarzystwa, jak się grzecznie wysłowić nie omieszkał. Grzecznym bowiem był przedewszystkiém, grzecznym jak Francuz przechowujący tradycyonalnie grzeczność, ów przymiot znamionujący niegdyś naród francuzki, mówię niegdyś!

Wyskoczył tedy na pokład wtenczas, kiedyśmy wszyscy mniéj więcéj w myślach pogrążeni byli, i nie

dbając o to co się w naszych działo sercach, pytał prawie jednocześnie kapitana jaki wiatr, mnie która godzina, sternika czy prędko bieżymy, majtków in corpore jak się ci panowie mają, Holdfasta pogłaskał, chłopaka za nos szczypnął, aż nareszcie wywijając laską jak tamburmażor trafił na Pilota i uderzył w niego pytaniem, czy ma dobry apetyt. Anglik i tak już zagniewany na kucharza gotującego się oszukać sztokfiszem żołądek jego marzący o całym firmamencie pachnących rostbifów, źle wcale przyjął zapytanie i w odpowiedzi nie omieszkał nadmienić o żabach, któremi podług wyobrażenia prostego ludu w Anglii, Francuzi żyją jedynie. „Racz pan darować," odrzekł Francuz, wykręcając się na pięcie i mrucząc sobie pod nosem, „sam masz głowę jak żaba, a nogi jak pająk; nie bój „się; nikt ci ich nie zjé. Patrz pan jakie dziwne zwie„rzę, zdawało mi się że mu pochlebię pytając go się „o to co każdemu synowi Albionu najdroższe." Tak się zakończyła scena i podobnych było mnóztwo podczas trzech tygodni, tak długo bowiem trwała ta podróż.

Wiatr zmienił kierunek.

Wkrótce po wypłynięciu pędził nas ku północy, tam znów ustał zupełnie, potém dął z zachodu, wrócił nas ku Norwergii; nareszcie tułając się po całym oceanie Północnym, przekraczając często dyrekcyą którąśmy wprzódy biegli, nieraz znosiliśmy burze nietrwożące mnie już wcale i niewiele mnie gniewające, tylem się wdrożył w życie zależące od wybryków przyczyn, od woli ludzkiéj niezawisłych. Dobra ta szkoła była dla mnie niecierpliwego z natury, lubiącego prędko osięgać cel mych dążności. Czasu nie traciłem: z prze-

zorności zabrałem z sobą wszystkie książki jakie niewielkim kosztem nabyć można było w Norwegii, ćwiczyłem się szczególniéj w języku angielskim, poznałem że łatwiéj nim mówić jak go zrozumiéć z ust Anglików, którzy wyrobili sobie na dziwne jakieś kopyto organ mowy tak, że głos w nich nie z piersi ale z jamy jakiéjś w głowie wydrążonéj zdaje się pochodzić. Nie jestto porównanie przesadzone wcale, choć tak nizkie; niedość jest mówić po angielsku, trzeba jeszcze angielskim sposobem umiéć głos wydobyć.

Mówiąc o wokalizacyi muszę kilkoma słowami wspomniéć o młodym niedźwiedziu któregom wiózł z sobą z Laponii. Koza dalekarlijska nabyta w Drontheim karmiła go swém mlékiem, sternik zaś okrętowy który nie pojmował istności bez spirytualizmu, poił go rumem przepalanym z miodem. Młody Marcin przepadał się za tym rodzajem krupniku, który go widocznie rozweselał i do najśmieszniejszych czynów i tonów pobudzał. Mruczał z rozkoszy tarzając się po ziemi, lub też świstał z wesołości gestykulując z zręcznością kota swemi przedniemi łapami. Potém zaś wypijał rum smażony i chrapał jak człowiek. Poczciwa mamka (natrafiłem jakoś na bardzo dobre stworzenie) polubiła swego wychowańca, nie odstępowała go ani chwilę. Niepokoił ją zawsze długi sen Marcina następujący po użyciu krupniku. Koza beczała litośnie aby przebudzić niedźwiedzia, a ten czuły syn północy ocknąwszy się ze snu, bił swą mamkę po pysku, mruczał groźnie, i ułożywszy się wygodnie spał daléj aż do zupełnego wytrzeźwienia się. Poznałem że nie nadaremnie nazywają pewnych ludzi niedźwiedziami.

Z kapitanem ciągle w najlepszéj żyliśmy harmonii: często po kilka godzin przesiadywał przy mym stoliku i udział brał serdeczny w mych pracach. Prosta ta ale szlachetna i poczciwa dusza, pojmowała z bystrością godną zastanowienia wszystko co było piękném i pożyteczném. Pomiędzy książkami memi był jeden exemplarz wybornego wydania włoskiego „Orlando furioso.“ Text był przeplatany winietami i wizerunkami na miedzi odbitemi, rysunek ich poprawny, cieniowanie naturalne wpadły zaraz w oczy naszemu żeglarzowi. Odpatrzéć się nie mógł, a textu włoskiego nie rozumiejąc, prosił abym mu wytłumaczył co wystawiają sceny nieraz bardzo ślizkie poematu. Nie sposób było odmówić, tłumaczyłem mu prawie dosłownie część dzieła na niemiecki język. Kapitan spisywał wszystko z największą uwagą po duńsku, ale niedość na tém, wziął się nie znając nic rysunku do kopiowania wizerunków. Zrazu nie udawały się kopie, ale to nie zrażało cierpliwości, powtarzał swą pracę 10, 20, 30 razy, trawił na nie godziny przeznaczone do spoczynku, nic usilności jego pokonać nie było w stanie, próbował tak długo aż istotnie osiągnął owoce godne największego zadziwienia, kopie wyrównywały oryginałom.

Ileżto razy w mém życiu widząc tylko exystencyi trawiących się bez powołania, niszczących się bez pracy, psujących się w tym niegodziwym labiryncie myśli galwanizowanych nienawiścią, w którym nieochybnie istota ludzka nieumiejąca sobie stworzyć zatrudnienia, zabłąkać się musi; ileżto razy mówię w mém życiu miałem sposobność przypomniéć sobie twoje rysunki poczciwy kapitanie, i ileżto razy mu-

siałem wyznać z rozrzewnieniem w sercu, że jest w siłach ludzkich skupionych w jedno ognisko moc niezmierna, a w dopięciu do celu niemi takie zadowolenie, że go żadnym pieniądzem kupić nie można.

Tyle żywiołów do szczęścia, tyle zasobów do spokojnéj przyszłości posiadamy w młodym wieku, a użyć ich nie umiemy; owszem wyrzekamy się ich swawolnie, a przyszłość naszą, szczęście i honor lat podeszłych wolimy powierzać rachubom jakimś sztucznym, wymyślonym przez marzycieli. Powierzamy się jak ślepi, dumie i uporowi półbożków prowadzących nas w przepaść i sami niejednego co pracował całe życie w zawodzie światu pożytecznym, w nie wciągamy.

Nareszcie brzegi Anglii zaczęły się wydobywać z poza mgły gęstéj, już i zapach węgli zalatywał powiewem. Pilot czuwający przy ujściu do Tamizy już dobiega, już jest na pokładzie, wita się z kolegą z radością bardzo umiarkowaną: „Żyjecie przecież, my was za straconego mieli! Zdaje mi się że żyję istotnie, a dzieci me i żona? Dzieci zdrowe, bąki zbijają, a żona pociesza się jak może.“ „Pociesza? czém do djabła?“ „Dżinem naturalnie i wiskim (1).“ Tegom się najwięcéj lękał w istocie, znam jéj dobre skłonności, odrzekł zimno nasz Anglik, kiwnął do nas głową, powiedział *Good byej*, i wskoczył w odbijającą łódź.

Na tém się skończyła nasza znajomość.

Przypływem morskim krążyliśmy szybko ku ujściu Tamizy, wymijali biegle mielizny, skały, statki krążące, na kotwicy stojące, na piaskach osiadłe i w mo-

(1) Rodzaje wódek angielskich.

rzu pogrążone, wskazywane wierzchołkami masztów ponad fale wystającemi.

Coraz to nowe sceny, coraz nowe zjawiska, których opisaniem nie będę męczył cierpliwości czytelników, w tym względzie odsyłam ich do opisów podróży odbywanych systematycznie, ja tylko wrażenia me tu oddaję w przelocie nieprzewidzianym częstokroć nabyte, ważne dla mnie, bo z nich czerpałem filozofią własnego życia, nie bez wagi może dla innych czerpiących je jedynie z martwéj litery pisanéj. Przesuwały się przed zdumiałemi oczyma jak w latarni magicznéj pyszne miasta i wsie, piękne pałace, nadobne domy wiejskie, łąki jaskrem umajone, nieprzejrzane lasy masztów, okręty wojenne na straży stojące, groźne w swéj spokojności marsowéj, w swéj powadze, wiedzą nieprzezwyciężoności nabytéj, nareszcie statki parowe pląsające z fali na falę przy odgłosie orkiestry umieszczonéj na pokładzie, z damami eleganckiemi na wzniesionéj jego części.

Ach nadobne córki Albionu, jakże piękna czarująca płeć lica waszego i kolor loków unoszonych powiewem wiatru! wdzięczny uśmiech zdobjący usta wasze niewinne, a jednakże pełne duszy, serdeczne znajdował we mnie echo, wyznam że już mniéj tęskniłem do scen dzikiéj natury; już mnie łudzić zaczął przedsmak rozkoszy życia cywilizowanego. Ale sobie wybaczam niestałość gustu, byłem wtenczas młodym, od widoku dam europejskich przez tyle miesięcy odwykłym, a Angielki istotnie tak urocze! Zresztą w każdém położeniu życia szukać i wynajdywać jego rozkosze, to przecież mądrość prawdziwa!

W tém wołają na nas „*stop*“ co znaczy *stój* po polsku. Dobiega długa łódź, a na niéj do dziesięciu osób

jednostajnie przybranych w granatowe surduty i okrągłe kapelusze czarném woskowaném płótnem pokryte ; wskakując na pokład, nic nie mówiąc rozbiegają się po nim, zapadają się jak nurki we wszystkie otwory prowadzące do kajut i spodu okrętu, otwierają wszystkie kryjówki: bylito urzędnicy celni Wielkiéj Brytanii, która handlem swym silnie się opiekuje i kontrabandy nienawidzi. Nie znalazłszy żadnego towaru nieobjętego świadectwem konsula, odbiegli zostawiwszy dwóch urzędników do pilnowania w kajucie. Ci wydobyli z tłómoczków swych sprzęty jakieś blaszane i lampkę spirytusową i wzięli się do sporządzania narodowego bifsztyku, bez którego niéma dla Anglika ani szczęścia ani przyjemności na lądzie i na morzu, w dzień i w nocy, teraz i w godzinę śmierci.

Jednakże przypływ morza niosący nas na swych wodach słabnął ciągle i ustał nareszcie zupełnie, kiedyśmy się znaleźli na wysokości miasta Woolwich. Rzuciliśmy kotwicę, inaczéj bowiem pęd odpływających wód byłby nas zaniósł napowrót. Tak blizko będąc lądu życzyłem sobie wysiąść na brzeg jego.

„Właściwie to niewolno mówił mi kapitan, urzędnicy celni zabronić nam mogą, ale ja wyślę do nich sternika z rozkazem żeby ich upoił i spodziewam się że wkrótce będziemy mogli ujść baczności argusów.“ Tak się też stało, wódka duńska pokonała Anglią, a my daléj do Woolwich już zmierzchem. P. Delcourt nam towarzyszył w najpiękniejszym stroju.

Miasto Woolwich założone kiedyś od kogoś liczy tyle mieszkanców, ulic, placów, kościołów, wsławiło się w dziejach świata czynami i wypadkami temi a temi, ważne swą artylleryą i artyllerzystami, któ-

rych jeszcze po dziś dzień, wiem o tém bardzo dobrze, nielitościwą karzą chłostą za najmniejsze przekroczenie przeciw subordynacyi, pomimo „Magna charta“ „Habeas corpus“ i innych w muzeach przechowanych ciekawych pargaminów. Dla mnie Woolwich bardzo ważny, w nim bowiem po piérwszy raz noga moja stąpała po ziemi angielskiéj. W nim po piérwszy raz piłem porter angielski gorszy od tego którym kosztował w najnędzniejszych knajpach polskich, w nim także po piérwszy raz ujrzałem oświetlenie gazowe, aż do chwili kiedy zasmolony jakiś jegomość przyszedł o saméj jedenastéj godzinie do Tawerny z kruczkiem w ręku, zakręcił nim zamek umieszczony w rurce i pogrążył nas nagle w ciemności życząc dobréj nocy wszystkim gentlemanom. Wyszliśmy na ulicę, i tu dopiero rozpoczęła się scena dająca miastu Woolwich prawo do figurowania w mych wspomnieniach. Dwóch Anglików pijących z sobą razem cały wieczór poczęło się boxować najserdeczniéj, wyszedłszy z Tawerny. Całe towarzystwo obstąpiło w milczeniu bawiących się sposobem narodowym przyjaciół. Ale czuwała Opatrzność; przybiegła w postaci stróża nocnego bardzo małego wzrostu z pałeczką w ręku, i poprosiła niespokojnych do kozy. Z razu opierali się zaproszeni, ale widzowie przypatrzywszy się pałeczce zblizka i ujrzawszy herb Wielkiéj Brytanii na niéj wymalowany, pomogli stróżowi, wzięli pod pachy zapaśników i zaprowadzili do szeryfa. Takie jest poszanowanie prawa u Anglików! Rozumni ludzie, wiedzą oni dobrze, że im więcéj powołanych tém mniéj wybranych, im więcéj obywateli gotowych iść w pomoc władzy w razie potrzeby, tém mniéj urzędników poli-

cyjnych i wojskowych wiele kraj kosztujących. Zbudowani widokiem tego zdarzenia świadczącego o wybornem pojęciu swego interesu przez obywateli miasta Woolwich powróciliśmy na okręt.

Nazajutrz rano budzi mnie łoskot na pokładzie, wybiegam czémprędzéj, właśnie spuszczają kotwicę, jesteśmy na przedmieściu Londynu w ściśnioném korycie Tamizy bijącém swemi mętnemi wodami o brudne brzegi obudowane wysokiemi domami noszącemi sążniste czarne napisy nazwisk domów handlowych, magazynów i fabryk...

Nieznośne wyziewy węgla kamiennego wstrzymane mgłą w atmosferze, blade jak szmata słońce, nierzucające żadnych promieni, turkot maszyn parowych wyrabiających Bóg wié jakie towary, zgiełk i wrzawa uderza mnie nieprzyjemnie. Nieprzygotowanemu na to wrażenie spleen wtargnął całą swą siłą w serce i ogarnął duszę grubym kirem smutku. Pojąłem że się skończył ustęp najpiękniejszy życia mego, że po walce z przyrodą nastąpi walka z cywilizacyą, uczułem trwogę, zadrżałem. Kapitan choć zatrudniony, choć go pełno było wszędzie, spostrzegł mnie skulonego w miejscu gdzie najmniéj mogłem zawadzać, przyszedł do mnie i spojrzawszy w twarz powiedział: „Nie obawiaj się pan, znajdziesz wszędzie przyjaciół.“ „Nie-„wiem czy ich tak łatwo znajdę tutaj, odpowiedziałem,“ „tu w tym Londynie wszystko zdaje się tak czynne, „wszystko korzystaniem z każdéj chwili życia tak „skwapliwie zatrudnione, że trudno żeby człowiek „nieodznaczający się osobistością znaleźć mógł świad-„ka ciekawego zbadać go! przewiduję ja dobrze przy-„jacielu że mi nieraz będzie tęskno do Norwegii i do „ciebie, synu niepopsutéj natury.“

Żem się niewiele mylił wykaże się późniéj. Aby wysiąść na ląd z rzeczami trzeba było przewieźć się w towarzystwie urzędnika celnego przez komorę o milę prawie od miejsca w którém okręt stał na kotwicy oddalonéj; puściliśmy się z panem Delcourt w tę podróż. Naczelnik komory odmówił przejścia książkom moim, nawet i lekarskim jako niedrukowanym w Anglii, ale natomiast, aby mnie pocieszyć zapewnie, umiał mi wpakować exemplarz oprowadziciela po Londynie kosztujący złp. 12. Pan Delcourt mający czynność w inném biurze powrócił z niego także tym nabytkiem opatrzony. Pokazuje się że i komory celne umieją wspierać autorów w potrzebie. Bodajto oświata! Teraz już jesteśmy nareszcie na bruku londyńskim, składamy tymczasowo rzeczy w hotelu małym pod kotwicą i podkową leżącym pod cytadellą, zwaną: „Tower of London.“ Spieszymy przypatrzéć się zblizka temu interesującemu pomnikowi czasów odległych, dawnéj siedzibie królów, w któréj niejeden krwawy był odegrany dramat. Zewnątrz nic okazałego, kilka nieregularnych kazamat z różnych czasów, kilkanaście domów, tu i owdzie baszty, dwie wyższe wieże, wszystkie otoczone murem niewysokim (na nim działa do salwy) i rowem niegłębokim. Spodziewając się znaleźć wewnątrz coś ciekawego, weszliśmy po zwiedzionym moście do bramy któréj pilnowała warta. Nikt nam tego nie bronił, w bramie dopiero wyszedł na nasze spotkanie odźwierny i spytał czy pragniemy zwiedzić ciekawość *Toweru.* „Właśnie przyszliśmy po to.” „Bardzo dobrze, służę panom, tylko pójdę po klucze. Przyszedł w istocie i oprowadził po pokojach, salach dawniéj zamieszkałych przez panujących, po archiwach, biblio-

tekach. Dziwiło mnie że więcéj w tych miejscach nie znalazłem zabytków historycznych. Cicerone nasz nie umiał nam powiedzieć gdzie dzieci Edwarda śmierć przedwczesną znalazły, ale nie zapomniał żądać od każdego z nas po szylingu za tę piérwszą stacyę. „Wypadałoby panom zwiedzić skarbiec królewski: jest w nim jeszcze korona Wilhelma zwycięzcy, berło Roberta Bruce, miecz Hengista.“ „Dobrze, idźmy do skarbcu.“ „Zaraz panom służę, tylko pójdę po dwóch gentlemanów którzy będą mieli szczęście towarzyszyć panom. Wrócił niebawem nasz cicerone wiodąc za sobą dwóch Ichmości grubych i tłustych, uzbrojonych w halabardy i przybranych na sposób waleta czerwiennego w barety z galonami, w krochmalone fryzy, w heroldowskie jakieś opończe z herbami niezmiernemi, haftowanemi na piersiach i plecach, w trykoty obcisłe i nizkie ciżmy. Tym rycerzom z czasów przedpotopowych powierzona jest straż Toweru zapewne dla wzbudzenia większéj ciekawości zwiedzenia go. Trabanci nie spuszczali nas ani na chwilę z oka podczas naszéj wizyty w skarbcu, w którym większa część kosztowności leżała za kratami, dlatego mówią żeby publiczność nie poznała się na prawdziwéj wartości pewnych brylantów i szmaragdów bajecznéj ceny. Nieprzeczę żeby było tam mnóstwo ładnych antyków, ale najstarsze nie sięgały więcéj jak 4 wieki. Korona Wilhelma zwycięzcy, berło Roberta Bruce i miecz Hengista jakoś przypadkiem nie znajdowały się w skarbcu. Cicerone zapomniał był że były u złotnika w reparacyi, ale sobie przypomniał żądać od nas za tę drugą stacyę po 2 szylingi, dodał nawet że ci Gentlemani mają prawo do pewnego duseru z naszéj

strony. „Jakto, do tysiąca kaduków! krzyknął p. Delcourt, płacić im za to żeśmy ich widzieli? Do tego stopnia znowu nie są ani zabawni, ani ciekawi ci panowie.“ „Nie za to panie, tylko za to że panów pilnowali podczas wizyty w skarbcu; gdzie tyle jest bogactw, tam łatwo wpaść w pokuszenie, a pan wié że w Anglii za kradzież wieszają“ odpowiedział cicerone z najzimniejszą krwią w świecie. Pan Delcourt nie dowierzał swym uszom, kazał sobie powtórzyć odpowiedź. Widziałem jak zbladł ze złości, i nie chcąc aby do scen jakich nieprzyjemnych przyszło, spytałem się: „Zapewne za tak ważną usługę nam oddaną nagroda powinna być w stosunku wartości życia naszego?“ „Oczywiście takby powinno być, ale szyling każdemu z panów wystarczy.“ Zapłaciwszy za to żeśmy nie zasłużyli na powieszenie, uciekaliśmy czémprędzéj z kosztownéj cytadelli, gdy nam zastępuje drogę jakiś inny jegomość i zaprasza do otwartego już arsenału. Zwabieni widokiem niezmiernego składu broni zaczepnéj i odpornéj jakiemi od niepamiętnych czasów ludzie starali ujść śmierci lub zadać ją, weszliśmy do arsenału. Zbroje i rynsztunki wojenne wielkich wojowników wsławionych w dziejach Anglii i Szkocyi, królów, bohaterów, były tu przechowane w największym porządku. Było nawet kilkanaście koni drewnianych wielkości naturalnéj, pokrytych zbroją i rynsztunkiem, na nich rycerze cali żelazem okryci. Mnóstwo dział niezmiernego kalibru najpiękniéj dłutowanych, chorągwi, proporców, i tysiące innych trofeów zdobytych na różnych punktach ziemi, na Indyanach i Francuzach, na Tippoo-Saibie i Napoleonie; widok ten kosztował szylinga.

„Panowie jeszcze nie byli w krwawém muzeum? to nie można przepuścić; nigdzie panowie nie zobaczycie nic podobnego.“ Prowadzą nas do sali któréj wszystkie ściany okryte były sprzętami jakie w różnych częściach świata cywilizacya wymyśliła na zadawanie tortur i śmierci. Od najmniejszych szczypczyków wyrywających najdokładniéj paznogcie, aż do koła łamiącego brutalsko kości pacyenta. wszystko było w najprzykładniejszym najlogiczniejszym porządku. Tu można łatwo było śledzić postęp w jakim się rozwijał rozum ludzki.

Na jednym końcu sali stało arcydzieło sztuki torturycznéj, maszyna niezmierna, którą Filip II, dbały o świętość religii, wysłał z Armadą na zwalczenie Anglii i nawrócenie jéj do katolicyzmu, a która wraz z Armadą dostała się w ręce Anglików. Maszyna ta niezmiernie skomplikowana, naszpikowana szczypczykami, kruczkami, śrubami, kleszczami, halsztukami żelaznemi, kolcami i nożyczkami tak była urządzona, że jedną obracając korbą, można było najwygodniéj bez męczenia się szczypać, kąsać, krajać, śrubować, rwać, łamać, wyciągać, dusić, parzyć, palić, kłóć i mordować dwunastu heretyków odrazu.

Bóg nie dozwolił aby ten wymysł fanatyzmu skalał dzieje świata tego swym użytkiem.

Część ostatnia muzeum składała się z gabinetu gdzie przechowują instrumenta, które już praktyczność swą wykazały, tojest z kilkunastu mieczy i toporów któremi ludzie znakomici w dziejach świata traceni byli. W miejscu oświeconém skąpo światłem przez niebieskie gotyckie okna przedzierającém się stał kirem okryty stół, na nim trzy pnie czarném su-

knem powleczone, na każdym pniu topór z ostrzem rdzą okrytém, nad niemi na murze trzy napisy: Mary Stuart,—Ann Boleyn,—Jane Grey. — Okropny, smutny, serce rozrywający widok! Tyle piękności, młodości i rozumu nie mogło się oprzéć konieczności przedwczesnego gwałtownego zgonu! Losie! nic że cię przebłagać nie potrafi? Żal mi serce ściskał, wybiegłem zapłaciwszy niezbytego szylinga. Myślałem że na tém koniec, ale jeszcze nie; jeszcze nam pozostawała do zwiedzenia menażerya Toweru, godła, jak się wyraził oprowadzający nas Anglik, potęgi Wielkiéj Brytanii, kilka lwów hektycznych, kilka wychudłych tygrysów i lampartów, i długi wąż z rodzaju Boa constrictor: leżał reprezentując mądrość, zwinięty bez ruchu i zdrętwiały. Oto cała pompatyczném nazwiskiem przechwalona menażerya. „Jakoś chude i mizerne wasze godła, nieodpowiadające potędze i wielkości waszego kraju,“ mówię do cicerona. „Prawda, że niekoniecznie dobrze wyglądają, ale same sobie winny, czemu nie przyciągają liczniejszéj publiczności; one z tego tylko żyją co sobie same zarobią.“ „Wypadałoby obrócić na ich wyżywienie dochody pochodzące z owego muzeum któreśmy właśnie odwiedzali; naturalna rzecz żeby drapieżne zwierzęta żywiły się wspomnieniami krwawemi ubiegłych czasów,“ rzekłem daléj. „Wiele pan ma dowcipu, istotnie, tyle ile tygodniowy satyryk *I dare say*; ale bądźcie panowie łaskawi zapłacić po szylingu.“

Nasyciwszy się widokiem ciekawych rzeczy byliśmy radzi resztę szylingów pozostałych w kieszeni unieść i biegliśmy szybko ku bramie. Tu jeszcze wypada na nasze spotkanie odźwierny i prosi grze-

cznie abyśmy raczyli wpisać nasze nazwiska do księgi sporządzonéj dla gości odwiedzających Tower. Pan Delcourt przeczuwając że rzecz może się zakończyć tragicznie stratą jeszcze jednego szylinga, udał że nie słyszy i poszedł daléj, ja zaś jeszcze zanadto nieśmiały, nie oparłem się grzecznym zaprosinom, wpisałem me nazwisko w poczet dostojnych podróżujących, i za ten zaszczyt w przygotowaną na to wyraźnie rękę odźwiernego wścisnąłem szylinga, ale téż za to pozwoliłem sobie zrobić następujące pytanie: wielki naród angielski, który posiada tyle bogactw i dumy, czemu nie pojmuje że frymarczenie widokiem zabytków narodowych, spekulacya wrażeniami krwawych przygód jest prawdziwém poniżeniem historyi, niegodném jego wspaniałości i szlachetności? Na to pytanie odpowiedziałem sobie sam w dziesięć miesięcy późniéj, kiedym nabrał pewnego wyobrażenia o przyczynie potęgi Anglii; odpowiedziałem sobie że pewna arystokracya wszystko wié i wszystko czuje, tylko jednéj rzeczy nie pojmuje, a to téj: że duch kupiecki jest jak ów wiatr szorstki, który powiewa na drzewa dojrzałemi owocami pokryte, koloru ich nie zmieni, smaku nie popsuje, tylko pozbawi tego delikatnego pyłku, téj barwy niewinności, któréj sprzedawać nie można na funty.

ROZDZIAŁ II.

Duma narodowa Anglików —Ambassadorowie—Ubóstwo w Londynie—Co jest nędza u Anglików?—Drabina towarzystwa sztucznego — Hegel — Niémasz lekarstwa na pauperyzm angielski? — Mile-end — Arethuza—Jens Jensen — Przemycarze— Jak cię widzą, tak cię piszą —Przywileje dla dobrego ubioru — Człowiek — Osoba i gentleman —Panny N. . . protektorki Marcina z Laponii i mamki jego — Niedźwiedź jako godło narodowe — Cholera — Marcin staje się Anglikiem — Pożegnanie — Mowa— Installacya — Wycieczka—Park Regenta— Colosseum—Pagórek pierwiosnku. — Wpływ czynności, dobroci i godności na prostych ludzi—Ubieganie się za popularnością— Widok ze szczytu pagórka—Latarnik—Sterne—Policeman — Heraldyka — Prawodawcy stęplowani — Rozpędzanie meetingów — Restauracya uczniów uniwersytetu londyńskiego — Burszowie niemieccy — *The brittish Lancet*, czasopismo lekarskie — Dr Dieffenbach — Chirurgia, nowe dla niéj otworzyło się pole — Postanowienie.

Anglik jest dumnym z swego kraju, dumnym nie w sposób niektórych Francuzów, którzy ojczyznę nad wszystko przekładają, lecz wolą żyć tam gdziekolwiek więcéj zarobić są w stanie; lecz w sposób spokojny, szczery i prawie zanadto wyłączny, a może nawet cokolwiek obrażający dla innych narodowości.

Lecz któż Anglikowi weźmie za złe zbytek dumy narodowéj, kiedy ją wybaczamy Portugalczykowi dumnemu z tego, że sobie jeszcze nie dał wydrzeć promie-

ni słonecznych ogrzewających kraj jego niegdyś tak piękny, a dziś nędzny i obcym kompaniom kupieckim służący; kiedy ją wybaczamy Lapończykowi dumnemu z tego, że kraj jego ma podostatkiem śniegu i reniferów; kiedy ją, mówię dumę narodową, wybaczamy nawet szwajcarskiemu Wallizyjczykowi dumnemu z tego, że kraj jego wydaje kobiety opatrzone ogromnemi gardzielami, jak owe gołębie zwane garłaczami.

Chętnie tedy wybaczamy Anglikowi jego dumę narodową i pojmujemy, że syn Albionu musiał nabrać wysokiego wyobrażenia o swéj narodowéj wartości już dlatego samego, że podróżując za granicą w jakimkolwiekbądź kraju, jest szanowanym i oszczędzanym przez władze cywilne i wojskowe przed wszystkiemi innemi narodowcami, a mianowicie przed wiecznemi rywalami Anglików, przed Francuzami, których jakoś bardzo mało cenią władze zagraniczne, pomimo wszystkich rodomontad, groźb, odwoływań się do ambassadorów i konsulów. Dygnitarze ci nie wywierają bardzo dobroczynnego wpływu na losy podróżującego Francuza, dlatego że sami najczęściéj są w podróży z jednéj stolicy do drugiéj, i że ambassadorami owemi, koczującemi najczęściéj, zostają wielcy ludzie do innych tylko rzeczy przezdatni, zdatni lub niezdatni. Znane są koleje i losy owego wielkiego professora retoryki, ktory zostawszy ambassadorem w Wielkiéj Brytanii i postępując za przyjętém godłem „recta linea brevissima“ dał, nie wiedząc o tém, czterem narodom sprzymierzyć się przeciw swemu krajowi. Odwołują go i za karę robią go piérwszym ministrem,

a on się mści wynajduiąc system: „enrichissez-vous“ o którym inną razą powiemy.

Innego zrobili ambassadorem dlatego, że zanadto miał talentów na dyrektora poczty.

Niedawno jeszcze innego wielkiego człowieka zrobili ambassadorem dlatego, że nie był zdatnym na podoficera huzarów; tak przynajmniéj utrzymywał mój przyjaciel T. K., który był jego kapitanem.

Z tego wszystkiego wypada, że Anglik ma prawo być dumnym z swéj narodowości zewnątrz kraju, gdzie go nie dochodzą jęki rozpaczy zgłodniałych jego rodaków; lecz niech nim nie będzie tak w własnym kraju a szczególniéj w Londynie, gdzie nędza jest tak okropną i tém więcéj rażącą swym widokiem, im bliżéj się znajduje umieszczoną obok najwyuzdańszego zbytku.

Takie przynajmniéj były me uczucia, kiedym się po raz piérwszy w mém życiu ujrzał w niektórych pobocznych ulicach Londynu, w tych strasznych siedliskach nędzy, nieczystości i zepsucia, o których wyobrażenia nie miałem; uważałem bowiem za przesadzone wszystkie owe opisy nędzy londyńskiéj; serce me jeszcze nie przypuszczało żeby człowiek był w stanie znieść tak ohydną, poniżającą nędzę bez zbrzydzenia i wydarcia sobie życia; żeby człowiek był w stanie znieść widok takiéj nędzy w swym bliźnim bez wyzucia się z ostatniego grosza dla ulżenia jéj choć chwilowego i choć jednemu tylko jestestwu.

Nędza nie była dla mnie, przyzwyczajonego, jako lekarz wstępować do najbiedniejszych chat chorego, niezwykłym widokiem. We własnym nawet kraju: nieurodzaje, długie i ciężkie mrozy, raz nawet

przechód szarańczy sprowadzały przechodnią biedę dotkliwą bardzo dla ludzi, ale téż ustępującą szybko rozporządzeniom władz i dobroczynności prywatnéj zawsze tak żywéj i szczodréj w naszym kraju.

W Prusach wschodnich w roku 1835 głód sprowadzonym został nieurodzajami i doszedł tego stopnia, że ludzie żyli chlebem z otrąb i miałko tartéj kory olszowéj. Dobroczynność prywatna pozostawiła rządowi prawie całą zasługę w ulżeniu potrzebom.

Wiemy o tém że Niemcy w ogólności, a Prusacy w szczególności tak szczere i tkliwe mają przywiązanie do swéj posiadłości, że niełatwo im się rozstać, bez wielkiéj boleści serca, choć z najmniejszą jéj cząstką.

W Królewcu odwiedzałem jako praktykant kliniczny wiele biednych, których choroba ojca rodziny lub najczynniejszego jéj członka pozbawiała chwilowo sposobu do życia; w takim razie udawano się do zakładów publicznéj dobroczynności, do polikliniki po lekarzy i lekarstwa, do innych zakładów po rosół, cierpiano lecz znajdowano ulgę; słowem, rażącéj nędzy nie widziałem w Prusach, ani w Danii, ani nawet w biednéj Norwegii, tak ubogiéj w grunta do uprawy zdolne.

Lecz w dumnym Albionie którego okręta krążą po wszystkich morzach z towarami własnego kraju, a złotem obcych, którego magnaci po części bogatsi jak sama królowa silą się na wynajdywanie sobie potrzeb coraz nowych dla strwonienia dochodów, którego grunt tak dobrze uprawny i żyzny,—lecz w dumnym Albionie mówię nędza doszła do tego stopnia wydoskonalenia w licznéj klassie towarzystwa, do

jakiego tylko dojść może w człowieku zatruwszy w nim wszystko, prócz resztek życia potrzebnych mu do przedstawienia na sobie tego żywego obrazu nędzy zaczynającéj się już z życiem, kończącéj się dopiero z życiem—nędzy bez początku i końca, bez litości i bez lekarstwa.

Tu, w tych ciasnych ulicach, nieopodal od kościoła Świętego Pawła, od Temple-Bar, od Westminstru, od rezydencyj królewskich, a nawet od pyszniejszych daleko pałaców szlachty angielskiéj, mieszkają ludzie którzy szczęścia i radości nigdy nie znali nawet z podania od własnych rodzin, ludzie bledzi, z dzikiém spojrzeniem przesuwający się w milczeniu jak cienie; młode dziewczyny często ładne ale niewiedzące nawet o tém i wlekące się z zasępionéém czołem i ciałem zaledwie pokrytém łachmanami; dzieci nigdy nieigrające, niegaworzące nigdy pomiędzy sobą, gdyż wielka bieda zabija w samym zarodzie nawet radość dziecinnego wieku. Nie, to nie są dzieci, to są drobni ludzie którzy już doświadczyli wszystkich skutków braku, głodu, zimna i znękania!

Przestańmy na tych kilku zarysach. Nie chciéjmy ubijać się o chwałę Vellasqueza i przedstawiać w całéj prawdziwości i nagości ohydnego obrazu nędzy ludzkiéj, jaka toczy najludniejszą, najdumniejszą stolicę Europy.

Nie winię ja ani arystokracyi angielskiéj ani żadnego Anglika w szczególności o stan ten smutny ich kraju. Lecz także z drugiéj strony pojąć nie mogę jak ludzie prawiący tyle o religii i moralności zadzierać mogą tak wysoko nosa, znając co się u nich dzieje, i wiedząc że nic podobnego w żadnym innym nie znaj-

dują kraju. Oni płacą nałożone na nich *poor taxes* (podatki dla ubogich), dość już uciążliwe, i nie dbają o to czy one wystarczają lub nie na zagładę gangreny nurtującéj stopy tego pysznego, złotego, laurem uwieńczonego posągu, który zowią Brytania.

Ja w położeniu Anglika mniéj byłbym dumnym z posiadania Indyów, z zwycięztw Malbruga, Nelsona i Wellingtona, z dzieł Szekspira i Miltona; z poprawności rasy końskiéj, z rezultatów towarzystwa biblijnego i z płodności domu panującego; a większegobym zdaje mi się doznawał upokorzenia z stanu tak opłakanego rodaków-bliźnich.

Ale Anglik inaczéj czuje i rozumuje. „Stan ten, mówi on, jest koniecznie potrzebnym do uzupełnienia stopni téj ogromnéj drabiny towarzyskiéj, która prowadzi z nicości powoli i stopniowo aż do najwyższego szczebla arystokracyi. Nie nasza w tém wina, że istnieją jestestwa organiczne nieposiadające ani głowy, ani nóg, ani innych nam ludziom potrzebnych organów. Nie nasza w tém wina że są ludzie nieposiadający ani wielkich sił, ani zdolności, ani pieniędzy, ani szczęścia. Uśmierzać ich niedolę jest w naszéj mocy i to czynimy. Wykorzenić ją lub zapobiedz jéj tworzeniu, to przechodzi nasze siły. Porywać się do tego byłoby szaleństwem, myśléć o tém, niedorzecznością.“

I tak Anglicy znajdują dla sumienia swego przytułek w hegeliańskiém „was ist, ist vernünftig,“ i nikt im nie zabroni być dumnym z tego co w ich kraju jest świetném, piękném i dobrém, a tego jest jednakże bardzo wiele jak zobaczymy późniéj.

Opuścimy smutne te sceny, lecz nie nazawsze. Pauperyzm w Anglii jest rzeczą tak ważną jako zjawisko i przyczyna innych, nasuwającą filozofowi i filantropowi tyle myśli i uczuć rozmaitych i głębokich, że trudno pominąć go lub lekceważyć w opisie téj silnéj potęgi, któraby może zanadto wielką przewagę na losy i wolę świata wzięła, gdyby w nim, tojest pauperyzmie nie znajdowała hamulca. Idąc porządkiem wrażeń a nie rzeczy, poprzedziłem tu kilkoma rysami mniéj nadobnemi wielki obraz Brytanii; niech one służą za granicę zapału mego dla całości!

Rozpatrzywszy się w mieście dla ukształcenia sobie ogólnego z niego obrazu, dla obeznania się z osobliwościami obyczajów i przesądów krajowych, co jest potrzebném koniecznie dla cudzoziemca nielubiącego razić oczu krajowców przywyknieniami pochodzącemi albo z własnéj narodowości albo téż z własnéj osobistości; postanowiłem nareszcie wstąpić odważnie i czynnie w to społeczeństwo angielskie i odnowić znajomości z dawnemi przyjaciołmi, których przeczuwałem że tu mieć muszę, lubo nie znałem ich ani z nazwiska ani z mieszkania. Z pism tylko publicznych czytanych tu i owdzie w Norwegii, wprzódy jeszcze w Prusach, wiedziałem że świeże wypadki zgromadziły w Anglii w różnych czasach wiele bardzo dawnych towarzyszów, pomiędzy któremi spodziewałem się znaleźć znajomych.

Przez wszystkie te dni nie widziałem ani kapitana Jensen ani żadnego z mych towarzyszów przygód norwegskich. Już mię tęsknota do nich ogarnęła. Jednego rana przy pogodniejszém niebie pojechałem omnibusem aż do Mile-end, gdzie w blizkości kołysała się

na falach Tamizy nasza fregata. Już była wyładowaną z towaru, korpus jéj wystawał wysoko nad powierzchnią wody, a koło niego na linach pozawieszani majtkowie zatykali rozpadliny zgrzebiami i młotkowali je przy odgłosie swych mi tak miłych marynarskich tonów. *Ohé! Aretuza, Ohé!*“ krzyknąłem: *Kapitain an boord*? (czy kapitan obecny?) Wszystkie głowy zwróciły się ku mnie. *An boord, an boord!* krzyknęli wszyscy radośnie i jak pająki windując się po linie wskoczyli na pokład, z pokładu na łódź, którą ledwie nie zatopili, i dalejże po doktora. „Jeszcze jeden dzień, rzecze mi markotno Jensen, a byłbym mniemał żeś pan zapomniał swych przyjaciół.“ „Ani dziś, ani nigdy ciebie nie zapomnę, poczciwy przyjacielu. Korzystałem z piérwszéj chwili zapału ciekawości dla zoryentowania się w nowym Babilonie. Jutro wyprowadzam się z City na West-end (zachodnią część miasta) o milę jeszcze daléj. Dziś przybyłem pożegnać się z tobą i twemi ludźmi i przepędzić dzień cały z wami. Tymczasem pozwól mi rozdać pomiędzy majtków małe upominki zawarte w téj pace.“ Dla każdego było coś do gustu i potrzeby: szarfy z wełny czerwonéj, chustki na szyję podobne, kapelusze nizkie lakierowane z szerokiemi skrzydłami, para tuzinów wyzłacanych guzików; dla sternika dwie srebrne kotwice do przypięcia na kołniérz spancerka mundurowego; dla kapitana bardzo ładna srébrna piszczałka z napisem wspominającym burzę, w któréj zatonął Twende Brödere i wychwalającym przytomność umysłu i męztwo kapitana. Do tego dołączyłem dobrze zrobioną sylwetkę własnéj osoby.

Serdeczne radosne przyjęcie małych mych upominków hojnie mi zapłaciło wydatek poniesiony. Kapitan szczególniéj był dumnym z swéj piszczałki, która tyle dla niego warta, zaręczał mi, jak order. Nie mogąc się posiąść z radości nakazał ogólną fetę, wydał potrójną racyę wódki. W mgnieniu oka okręt ubrał się we wszystkie flagi, majtkowie się umyli i w świąteczne ubiory przybrali, kapitanowie znajomi zostali zaproszeni, nawet i damy jakieś znajome kapitana zjawiły się. Byłyto trzy córki dawnego kapitana marynarki osiadłego w Londynie dla służenia swym rodakom jako agent kupiecki, i jak się późniéj przekonałem, jako także umieszczający kontrabandę. Przemycanie bowiem, choć tak srogo zakazane w Anglii przez ten sam rząd który ją zbrojną ręką w sposób oczywisty i prawa narodów kaleczący w Hiszpanii popiera, było i będzie nazawsze w modzie pomimo wszelkich praw, ustaw i celników. Rzadko który kapitan wybiera się w drogę żeby gdzie w kryjówce jakiéjś, jemu tylko i budowniczemu okrętu znanéj, nie przechował jakiegoś artykułu srogo zakazanego, którego sprzedażą może sobie zapłacić kosztu paru dni wesoło spędzonych. Przemycanie tytuniu jest bardzo korzystne, tytuń w Anglii niezmiernie drogi z przyczyny cła na nim ciążącego. Ten sam hamburski kanaster który kosztuje w Anglii w handlu 16 zł. pol. funt, można dostać u przemycaczy za 6 złp., a przy tak wielkiéj różnicy w cenie, pomimo trudności niesłychanéj przemycania jeszcze kontrabandziści dobrze wychodzą.

Prawo nie pozwala rewidować żadnéj osoby płci żeńskiéj jeżeli jest *gentlewoman-like* (tojest w sposób damy) ubraną. Tak tedy ubiór jest w Anglii wiel-

kim tytułem do szacunku publicznego, tytułem przez prawo zagwarantowanym. Francuz mówi: *le style fait l'homme*, a Anglik: *the dress makes the man*, ubiór robi człowieka.

Żaden odźwierny angielski otwierając drzwi pukającemu gościowi nie spojrzy się w twarz jego, lecz raczéj na suknie, a szczególniéj buty, i wtenczas dopiero annonsuje do parlouru, tojest do pokoju konwersacyjnego umieszczonego w domach angielskich w parterze: *there is a man* (tu jest człowiek), jeśli mu się ubiór nie podoba; lub: *there is a person* (tu jest osoba), jeśli mu się ubiór niezupełnie podoba; lub: *there is a gentleman* (tu jest kawaler), jeśli ubiorowi nic nie ma do zarzucenia. Francuzki *gentil-homme* nie odpowiada angielskiemu *gentleman*. Słyszałem raz Anglika sprzeczającego się z pewnym lordem i zarzucającego mu: *you are a nobleman, but not a gentleman*; w tym sensie znaczyło: jesteś szlachcicem lecz nie człowiekiem honoru.

Na drzwiach u jednego sławnego doktora znalazłem napis następujący: *No entrance unless for gentleman*, co znaczy tyle: nie wchodź jeżeliś nie gentleman, czyli jeżeli nie jesteś dobrze ubrany.

To zubóstwienie ubioru u narodu tak poważnego jest czémsiś bardzo rażącém i niedorzeczném, ale z drugiéj strony tak wkorzenioném w zwyczaje angielskie, że radzę każdemu podróżującemu poddać się mu ślepo, ubierać się nadzwyczajnie czysto lecz skromnie, nigdy w krzyczące kolory na sposób francuzki, tego bowiem także nie lubią odźwierni i nigdy nie omieszkają annonsować gościa przedstawiającego się z wąsami lub w chustce i kamizelce kolorowéj: *there*

is a foreigner lub *a frenchman*, jest tu cudzoziemiec lub Francuz. A któżby chętnie przy każdéj sposobności, przy każdym kroku słyszał się nazywanym *Francuzem*, widząc że jeśli już nie wzbudzają nienawiści Anglików, wzbudzają zawsze ci sąsiedzi w najwyższym nawet stopniu ich nieufność a nawet odrazę.

Powracając do źródła, zkąd wypłynęła mała nasza rozprawa o ubiorze i jego wpływie na *respectability*, na szacowność człowieka, dodamy że ładne duńskie kontrabandyerki będąc ubrane jako damy w kapelusze axamitne, burnusy jedwabne, rękawki chinchillowe i t. d., nie potrzebowały lękać się indyskrecyi celników pilnujących okręt i brzegi Tamizy. Obładowały się tedy kilkunastu tuzinami rękawiczek duńskich, co znaczną im korzyść przyniosło, jeśli zważymy, że cło jednego tuzina wynosi 20 zł. pol.

Kwestya kontrabandy zatrudniała mnie nadzwyczajnie, przymuszony bowiem byłem nią wprowadzić na ziemię Wielkiéj Brytanii Marcina niedźwiedzia i mamkę jego kozę. Dwa te indywidua, z któremi żadnym sposobem rozstać się nie chciałem, byłyby mnie odrazu zrujnowały, gdybym je był chciał przeprowadzić przez *custom-house*, tojest przez komorę z wszelkiemi ceremoniami i za opłaceniem cła. Zwierzęta moje wcale nie dbały o te zaszczyty. Znalazły one w paniach Nikolson czułe protektorki: ofiarowały mi się przyjąć w swój dom Marcina, do ogrodu zaś Dziardelę, i opiekować się niemi aż do chwili kiedy sam będę w stanie przyjąć je u siebie i umieścić wygodnie. Z wdzięcznością i radością przyjąłem tę ofiarę. Jakżeż bowiem miałem się wprowadzić do domu porządnego, w którym nająłem dwa pokoje meblowane, z niedź-

wiedziem i kozą? Nosząc już na sobie potępiające mnie znamię cudzoziemca, niedźwiedź mój byłby mię wprawił w podejrzenie berneńskiego patryotyzmu ([1]), a koza zaś w podejrzenie szwajcarskich gustów. Nie chciałem obrażać drażliwego pojęcia Anglików o przyzwoitości i wolałem rozstać się aż do lepszych czasów z czworonożnemi towarzyszami podróży.

Zachodziła tylko trudność o przemycenie ich. Koza nie mogła udać że jest pieskiem, a niedźwiedź że jest kotkiem i biedz za panami jak gdyby nigdy nic. Majtkowie ofiarowali mi się iść na przebój i wprowadzić niewinnych towarzyszy przemocą. Na to jak łatwo się domyśléć żadnym nie chciałem przystać sposobem. „Ja Pana wydźwignę z kłopotu, zawoła nareszcie radośnie sternik; jeden z celników którzy tu nas pilnują sam będzie musiał przemycić towar. Już ja to zrobię, niech pan będzie spokojny. Dziś w wieczór niedźwiedź i koza będą mieszkańcami Anglii.“ Wiedziałem z doświadczenia że na tak bezwarunkowe zapewnienie sternika można było się spuścić zupełnie, i spokojnie czekałem wieczora, który przy partyi Bostona nadszedł dość prędko. Nieustające bole wina gorącego z korzeniami i cukrem ułatwiły przepędzenie czasu.

Wtém nagle robi się rozruch, jakiś zgiełk niezmierny na statku, chłopak okrętowy wpada do kajuty

([1]) Niedźwiedź jest godłem kantonu berneńskiego. Cała liczna rodzina tych interesujących zwierząt chowaną jest kosztem rządu berneńskiego. Napoleon zająwszy Bern roku 1802 skonfiskował niedźwiedziom kapitały pochodzące z zapisów filantropów berneńskich. Wydziedziczone godła narodowe musiały łapę lizać przez czas niejaki. Później jednakże patryotyzm berneński zabezpieczył im niezawisłą exystencyą, i dziś przyjemna rodzina cieszy się licznemi potomkami i szacunkiem publicznym.

struchlały. „Panie doktorze, pomagaj! jeden z celników zachorował, już i ducha oddaje.“ W kajucie na przodzie okrętu leżał jeden celnik na ziemi blady jak trup, drugi zaś czerwony jak ćwikła krząta się około niego, lecz zaledwie ustać może na nogach. Sternik narzeka w niebogłosy: „To jest cholera i nic innego! wymioty, kurcze, zimno tak nagłe: ręczę że za chwilę zsinieje cały, a wówczas bądź zdrów z nim i z nami wszystkiemi. Panie Doktorze, nieprawdaż, trzeba go wywieść na ląd; tutaj wyziewy z wody gnijącéj, kołysanie okrętu jeszcze pomnaża nudności, a zresztą idzie nam téż i o własną skórę. Ja nie chcę miéć żadnych styczności z cholerykami.“ Tak prawił sternik a pocichu dodał mi: „upoiłem go ową wódką emetykową, którąś pan mnie wyleczył, pan wiész.“ Drugi celnik zgodził się na przesłanie towarzysza na ląd do tuż blizkiego domu pana Nikolson, gdzie mu ofiarowano gościnność, tylko polecił dobrze otulić chorego, żeby go wiatr nie zawiał. Otulono go tedy płaszczami, dołożono kozę związaną, i niedźwiadka otoczono żaglem, związano i do łodzi wniesiono. Celnicy na brzegu poznali towarzysza i pozwolili przenieść go do domu dziękując za troskliwość i żałując biedaka. Sternik towarzyszył. Stanąwszy w domu rzekł do celnika: „Niech się pan uspokoi, cholery pan nie ma, służyła tylko na przeniesienie ot téj kozy i owego niedźwiedzia. Napij się z pół garnca wody letniéj, a wkrótce za pomocą palca odzyskasz zdrowie i apetyt na dobrą kolacyę, która nas czeka na okręcie.“ Podstęp udał się kompletnie, koza i niedźwiedź raz wprowadzone do domu zyskały prawo obywatelstwa; a celnik, choć się zżymał ze złości, nie śmiał wydawać sprawy,

owszem błagał aby ją w tajemnicy zatrzymano, nawet przed własnym kolegą.

Wróciliśmy wkrótce na pokład uszczęśliwieni udaniem się wyprawy. Znaglony, grałem Bostona i piłem pącz przez wielką część nocy; resztę strawiłem w dawnym swym hamaku. Nazajutrz rano przy wspólném śniadaniu znalazłem kapitana niezwykle smutnym. Pytałem o przyczynę: „Pan nie przeczuwasz przyczyny mego smutku, rzecze mi ze wzruszeniem, gdyż nie przypuszczasz może, żeby człowiek prosty, prawie bez żadnego wychowania, umiał cenić dobrodziejstwo towarzystwa z człowiekiem wyższego wychowania i martwić się jego stratą. A tak jest jednakże. Całe me życie widząc niedostateczność mego wychowania, a nie mogąc w zatrudnieniach mego stanu ani w dzikich barbarzyńskich jego zabawach zapomnieć żem do czegoś lepszego stworzony, pragnąłem mieć sposobność ćwiczenia zdolności które w sobie odgadywałem i przeczuwałem. Tęskno mi było w chwilach wolnych, z zazdrosném okiem patrzałem na książki zawierające skarby naukowe a nieprzystępne dla mnie dlatego, że brak nauk przygotowawczych, brak bliższych znajomości ducha języków obcych, przedstawiał mi trudności niezwalczone w ich odgadnieniu. Tyle jednak pojmowałem, że obcowanie dłuższe z osobą wyższego usposobienia, rady mądre, mogą mi wskazać sposoby wybrnięcia z labiryntu myśli które mię tłoczyły i wskazać źródła prowadzące najprostszą drogą do prawdy. Liczyłem wiele na traf szczęśliwy, na passażera jakiego uczonego a ludzkiego, któryby mógł i zechciał zająć się szczerze uporządkowaniem głowy tak chciwéj wiedzy, a tak niesystematycznéj jak moja.

Błądząc po całym Baltyku, Sundzie, Kategacie i morzu Północném najczęściéj zdarzało mi się przewozić tylko kupców, buchalterów i kupczyków. Ci mało tylko w rozmowy ze mną wchodzili, a jeżeli wchodzili to tylko dla dowiedzenia się jaki artykuł handlowy w jakim porcie najlepiéj popłaca, ile cła za niego biorą, czy tanio żyć w tém mieście lub drogo w owém. Kilka razy także zdarzyło mi się przewozić akademików z Królewca, z Greifswald. Ci po największéj części lękali się burzy, chorowali okropnie, a wszedłszy w rozmowę naukową tak uczono rozmawiali, że ich zrozumiéć nie było można żadnym ludzkim sposobem. Jeden nawet, któremu się bliżéj zwierzyłem z memi myślami i chęciami, powiedział mi bez ogródki namyśliwszy się głęboko:— Słuchaj kapitanie, wierzaj mi, porzuć raz nazawsze to ubieganie się za wiadomościami, niepotrzebnemi ci do twego stanu i powołania. Uczonym już być nie możesz, to nie sposób. Tylko filozofia, psychologia, logika i retoryka prowadzą do uczoności; ty ich nie znasz, nie posiadasz nawet dróg, któremi do nich dojść można, tojest historyi powszechnéj a szczególniéj starożytnéj; bez niéj i bez łaciny i greckiego języka nie wybieraj się w żadną uczoną expedycyę, zostaniesz zawsze tylko u podnóża prawdy, łaknący i nieszczęśliwy; nie poznasz nigdy ani Kanta, ani Hegla, Szlegla i Feuerbacha, którzy posiadają klucze do prawdy. Pozostań przy twéj bussoli i jedź z Królewca do Kopenhagi, ztąd do Hamburga, a w chwilach wolnych baw się, pij, graj i pal fajkę. – Słowa te odebrały mi na czas długi odwagę. Umyśliłem żyć tak jak i drudzy koledzy w dzikiéj rozwięzłości i szumnych zabawach; ale nie zdołałem. Często mię coś

ciągnęło siłą jakąś nieprzezwyciężoną do samotności i rozmyślań, do książek i nauki. Skorom pana ujrzał w Kopenhadze, przeczułem, że będziesz dla mnie tém, czém jesteś, tojest mym dobrodziejem. W chwili poznania powziąłem przyjaźń i zaufanie, uczucia wzrastające w siły w miarę poznania się bliższego, a doszłe do najwyższego stopnia owéj pamiętnéj chwili, kiedy cisza w powietrzu nie pozwalała kierować okrętem, kiedy huczące bałwany rozbijały się z jękiem o poblizkie skały. Któż mógł był przewidzieć, że my unikniemy losu, któremu więcéj jak sto statków uległo? Po uroczystym wyrazie twarzy pańskiéj spostrzegłem że najmniejszą nie łudzisz się nadzieją ocalenia, znałeś nasze położenie, tobie jednemu odkryć je śmiałem; nie drżącą lecz pewną ręką napisałeś nasz testament. Wyszedłeś potém na pokład i pogodném czołem patrzałeś się ku wschodowi, rękę do niego wyciągnąłeś i jednę łzę uroniłeś, jednę tylko. Pojąłem żeś się żegnał z ukochanym ci krajem. Cud nas ocalił; pół minuty późniéj, a byłoby zapóźno; dotychczas żaden atom ciała naszego nie byłby pozostał w swym kształcie, ryby byłyby przetrawiły aż do naszych kości. Późniéj dzieliliśmy razem wszystkie przygody smutne i radosne przez pół roku. Czas ci był drogim, umiałeś go użyć z wielkim pożytkiem dla cierpiących i dla własnego oświecenia; a jednakże poświęcałeś go prawie codziennie godzin kilka dla mnie, dla mego oświecenia, dla wskazywania mi dróg okrzesania się z tych surowości, które rozum mój zalegały. Nie zrażała cię ani ma natrętność, ani ma prostota, ani przywyknienia marynarskie, owszem z twéj twarzy na któréj maluje się tak wyraźnie każde z twych przecho-

dnich nawet uczuć, wyczytywałem radość pochodzącą z mych choć wolnych postępów w naukach elementarnych, w grammatyce i historyi. Zdołałeś wyrwać passujący się umysł mój z ciasnych obrębów grubego nieokrzesania, duszę mą czującą się na siłach ze szponów rozpaczy pochodzącéj z niedowierzania własnemu rozumowi, z nieśmiałości i braku zachęty, a serce me wzniosłeś krzepiąc mnie przykładem własnego twego życia, tojest wiarą w Boga, wiarą w szlachetne uczucia, jako pobudki do czynów i jako jedyny środek do dostąpienia szczęścia niezawisłego od żadnych zmian postaci świata, od żadnych kaprysów losu, od żadnéj woli ludzkiéj. Nie jesteś mi krewnym a byłeś więcéj jak bratem, jesteś ojcem nowéj méj istności, którą dzięki tobie pojmuję teraz; twórcą nowego losu, który, na zaszczyt tobie, przedsięwezmę i dopnę; tu, w mych piersiach mam pewnosć tego. I nie mamże być smutnym w chwili rozstania się z panem? (1) dodał łkając i blednąc z wzruszenia poczciwy Jens Jensen, dawniejszy kapitan małych kursów marynarki kupieckiéj, a dzisiejszy kapitan marynarki królewskiéj duńskiéj, ten sam, który się w bitwie pod Soeloe przeciw armii

(1) Długa ta, dla wielu może zadługa, nudna mowa byłaby zupełnie bez wartości, mogłaby nawet niejednemu krytykowi posłużyć na potępienie autora, na obwinienie go o zamach auto-panegiryka, gdyby nie była dosłownèm prawie tłumaczeniem tego com dwanaście lat temu wieczorem dnia jéj usłyszenia spisał w angielskim oryginale w mém album, które każdemu sprawdzić je życzącemu służy do przejrzenia. Nie chciałem, jéj skracać ani kaleczyć, gdyż uczucia wyjawione w téj długiéj mowie (w tym rzucie oka na jeden z najpiękniejszych ustępów życia mego) tłumaczą coś, co zaszło trzy lata póżniéj ze mną w Tarragonie w Hiszpanii, tłumaczą poświęcenie się bohaterskie kapitana Jensen dla swego dawnego przyjaciela, któryby wówczas bez jego pomocy był niezawodnie zginął.

prusko-holsztyńskiéj tak świetnie wsławił. Odpowiedziałem w ten sposób: „Mnie się zdaje, kochany kapitanie, żeś w twéj wdzięczności nic nie przesadził, żeś szczerą powiedział prawdę; choć na honor dotychczas o tém ani razu nie pomyślałem, i choć sobie żadnéj z tego nie robię zasługi. To com dla ciebie uczynił, byłbym uczynił dla każdego człowieka dobréj woli, dobrego serca, i Boga proszę aby mi podobnych tobie często nasyłał. Do wdzięczności żadnego sobie nie roszczę prawa, tyś mi twemi staraniami o me dobro, o wygody, żywieniem mnie tak długiém, wszystko w trójnasób zapłacił. Zapomnij nawet me nazwisko, tylko pamiętaj imię kraju, w którym się rodziłem, jeśli kiedy spotkasz potrzebującego pomocy...... Spostrzegam żem wzbudził ambicyą w twém sercu i przeczucie dopięcia jéj celu. Nie będę ci prawił morałów ani ostrzegał, wierzę bowiem w uczciwość człowieka który z dobrocią łączy odwagę i męztwo, a żeś nie tchórz to masz wyryte srebrnemi literami na twéj piszczałce. Daléj! jeszcze jednę butelkę xeresu i żadnego babskiego rozczulenia; i mnie bowiem i tobie odwagi potrzeba przy rozstawaniu się z sobą. W tobie tracę przyjaciela czułego i silnego protektora, tu mnie w Anglii nikt nie zna jeszcze. Anglicy mrożą swemi zimnemi pojęciami o wartości człowieka, a Angielki niezmiernie przyciągają swemi sentymentalnemi wyobrażeniami o wartości uczuć. Przewiduję Tantalowskie cierpienia, a już nabytym zapałem zagradzam sobie drogę do rozumowania w sposób owego lisa z bajki Lafontaina: „cierpkie winogrona, niewarto.“ Daléj tedy, jeszcze jedna butelka xeresu, a potém bądź zdrów. Ty powracasz na to poczciwe morze, na którém tém ła-

twiéj się utrzymać im kto lżejszy, a ja biedny puścić się muszę bez bussoli, żagli i ballastu na to przewrotne morze, na którém tém łatwiéj się utrzymać, im kto cięższy. Widzę że tracę od jednego razu całą korzyść dawnego położenia. Ale niech żyją wszyscy poczciwi ludzie, którzy nie są tchórzami! i *vogue la galère*!

Zostałem w najlepszym humorze podczas panowania butelki xeresu. Zadumałem się jak Maryusz na ruinach Kartaginy podczas pustoszenia butelki Kartageny, a połykając *lacrimae Cristi* i mnie się na łzy zebrało. Zdobyłem się na ostatnie wysilenie, w swym pełnym żalu uściskałem kapitana, sternika i majtków, przypływem morza dojechałem łódką pod *Tower of London*, zabrałem swe rzeczy z hotelu pod Kotwicą, i dorożką puściłem się z *City* przez *City road* na *Tottenham Court-road*, gdzie w blizkości kliniki londyńskiego uniwersytetu miałem najęte mieszkanie. Natłoku myśli, natłoku uczuć dręczących mnie starałem się pozbyć installowaniem się w nowéj eleganckiéj siedzibie. Ale ileżto czasu wymagało ustawienie kilkudziesięciu książek nabytych tu i owdzie w Norwegii, instrumentów i apteczki uratowanéj z tonącego okrętu, kilku rzeczy sprawionych od powrotu mego do tak nazwanego świata ucywilizowanego?

Chciałem czytać—nie sposób. Myśli wyczytywane wplatały się słowami tylko w wątek myśli smutnych, które mi nasuwały wrażenia ostatnich chwil spędzonych z przyjacielem—i spadały z niego jak mdłe były. Pozwoliłem sobie dla ochłonięcia z wzruszeń zrobić jeszcze jednę z tych ulubionych wycieczek bez oznaczonego celu. Szczęście zaprowadziło mnie do tuż blizkiego miłego ogrodu zwanego *Regents-park*; w nim

znajduje się owa sławna menażerya, któréj tą razą nie zwiedziłem; koło niego na prawo Colosseum; za nim na prawo koléj żelazna prowadząca do *Birmingham* ciągnie się u stóp pagórka, na którym leży wieś *Hampstead*, właściwie tylko przedmieście Londynu. Na lewo zaś piękny okrągły pagórek, z którego szczytu zachwycający widok na cały ogromny Londyn z strony południa, z północy zaś widok na czyste zielone pole. Zadrżałem z radości widząc że przecież można znaleźć gdzie koniec tego miasta, które mnie już swą nieskończonością raziło. Bogu dzięki! *Primrose-hill* (tak się zwał pagórek,) ciebie biorę w posiadłość, ty będziesz celem mych wycieczek, powiernikiem mych kłopotów i żalów, które przewiduję, mych tajemnic i myśli. I tak było w istocie: zdawało się żem część przyjaźni dla Jensena przeniósł na ten martwy pagórek. Często do niego tęskniłem jak do czegoś żywego, kiedy zatrudnienia nie pozwalały mi się oddalać z domu. Usiadłem sobie na ziemi i znów wróciłem myślą do scen mych morskich tak ważną epokę w mém życiu stanowiących, niezatartych w méj pamięci. Zdaje mi się, że wody oceanu spłukały z mych myśli i uczuć wszystko co nie było czystém i że mnie pozostawiły odrodzonego. „Czém mogłem, pytałem sam siebie, czém mogłem ja, który przecież jestem jeszcze bardzo młodym i wyznawszy szczerze bardzo niedoważonym, sprawić wrażenie tak silne na kapitanie Jensen starszym odemnie o dwa lata, pracującym na siebie od tak dawna, i stosunkowo daleko dojrzalszym odemnie, gdyż już od lat kilku powierzają mu dowództwo okrętu, tojest życie bliźnich i całość towarów? Pojąłbym tę zagadkę gdybym miał w méj oso-

bie coś imponującego, w mych manierach coś rozkazującego, a w mym sposobie życia coś nadzwyczajnie oryginalnego. Ale nie, owszem, jestem wesołym z charakteru, żywym aż do zbytku z temperamentu, lubię zabawy aż do wściekłości! — przymusu zaś nie cierpię żadnego, gardzę affektacyą, i nigdy mi jeszcze nie przyszło na myśl czuwać nad mym układem lub słowami. Nie mogłem tedy pojąć wpływu wywartego nad kapitanem, zaufania jego we mnie i przyjaźni jego. Późniéj dopiero, wiele lat późniéj poznałem przyczyny tego wpływu. Ujęła go zapewne żelazna moja, żadnemi przeszkodami, niewygodami, żadnym brakiem miejsca i sposobności, celu lub środka niezłamana czynność. Wiele to nocy nie przesiedziałem nad książkami i pisaniem w kołyszącym się okręcie, gdzie nieraz przewracałem się razem ze stołem na ziemię, podczas najokropniejszéj burzy, kiedy każdy żegnał się ze swém życiem! Nieraz mi mówił: „ja nie pojmuję jak można tak pracować nie widząc bata nad sobą,“ a tém już uznawał i uszanował władzę moralną we mnie. Przytém odkrył we mnie w stosunkach mych ciągłych z ludźmi wszelkich warstw towarzystwa a mianowicie z ludźmi potrzebującemi mych lekarstw, wielką dobrochętność dla całego rodzaju ludzkiego, dla wszystkich nawet jestestw które Bóg stworzył. Nadziwić się nie mógł méj gotowości służenia każdemu w najtrudniejszych nawet okolicznościach, kiedy burze przewracały odmęty aż do dna, kiedy grady biły, najokropniejsze zimna i bezustanna ciemność panowały.

Ale ta dobrochętność byłaby niezawodnie straciła powab w oczach gminu, gdybym z nią był łączył ubieganie się o popularność, zniżanie się do niego manie-

rami, nabieraniem rubaszności lub téż dozwalaniem poufałości. Chętnie każdemu, mającemu się za niższego dozwalałem zwyżyć się do mnie, alem się nigdy nie zniżał i wszystkich poufałości umiałem uniknąć. Wiedziony instynktem odgadłem tutaj, zdaje mi się, najlepszy sposób wpłynienia dobroczynnie na ludzi prostych.

Późniéj, szczególniéj zaś we Francyi, widziałem najgorsze skutki tego wywłaszczania się z przywilejów wychowania dla dostąpienia popularności. Ludzie delikatnie wychowani klęli i upijali się z ludem dla zyskania głosów, odzierali się z aureoli wyższości uprawnionéj naturą, dla dostąpienia chwilowéj korzyści; i tyle dokazali że zmateryalizowali zupełnie lud już i tak skłonny do poniżenia, zbezczeszczenia tego wszystkiego czego nie pojmował; tyle dokazali, że ich tak nazwani „*amis cochons*“ przestali szanować wyższość talentu i manier, jako żywioły im niedostępne, a cały swój szacunek, całe podziwienie, zubóstwienie nawet wywierają na wyższość majątkową.

Niejedna ziemia służyła na sprawdzenie dobroci teoryj francuzkich, nawet wówczas, kiedy w własnym kraju już się zgubnemi okazały. Byli tacy panowie, pomiędzy niemi bardzo wiele dobrych i sprawiedliwych, którzy od jednego razu przestali obchodzić się surowo z swemi chłopami, sadzali ich na kanapach, częstowali herbatą, w kumy zapraszali!—a późniéj z ręki ich legli. Sami się odarli z promieni świętości tém spoufaleniem się z ludem, którego miłość zyskać tylko może prawdziwa chrześciańska dobroć połączona z wzorową sprawiedliwością i nieugiętą stałością charakteru.

Wróćmy się na szczyt pagórka *Primrose-hill*, gdzie jeszcze siedzę zatopiony w myślach. Słońce już zaszło w źródłach Tamizy mdło i bez blasku, jak słońce angielskie. Tysiące, ba półmiliona świateł zaiskrzyło na nieskończonéj przestrzeni objętéj miastem. Wiele z tych świateł przelatywało szybko z miejsca na miejsce, zatrzymywało się na chwilę i zostawiało po sobie jak swe dziatki nowe iskry nieruchome; inne znów krążyły powoli tu i owdzie, tak jak błędnice. Jedna z nich zbiżyła się ku stopom pagórka, zatrzymała się na chwilę, a słysząc mnie rozmawiającego z sobą samym, zwyczaj w który łatwo wpadają ludzie lubiący samotność, weszła na szczyt. Nie była to błędnica lecz latarnia przymocowana pasem do żołądka jakiegoś jegomości wysokiego, silnego, z uczciwą lecz surową fizyognomią, ubranego w długi granatowy surdut z pilotowego sukna, na którego kołnierzu wyszyta była z obu stron jakaś litera z numerem. Kapelusz miał okrągły filcowy z dnem ze skóry lakierowanéj, i skrzydłami podobnąż skórą podszytemi; na barkach małą pelerynę z woskowanego płótna. Poznałem w tym nocoświecu urzędnika policyjnego londyńskiego i wcalem się nie dziwił, że mnie zagadł w ten sposób: *Good evening, Sir. Pray Sir what are you doing here, so late, if you please Sir?* (Dobry wieczór panu, co pan tu robi tak późno, powiédz pan jeśli łaska.) Wiedząc że policya angielska nie jest wymyśloną na trapienie ludzi lecz na ich wygodę, odpowiedziałem grzecznie. „Patrzę się na Londyn, myślę i dumam.“–Latarnik. „Czy pan przypadkiem nie chory, czy pana głowa nie boli?“ „Ja—nie; widzę że pan chciałbyś wiedzieć, czym przypadkiem nie waryat—

lecz nie, uspokój się, ja jestem podróżnym, sentymentalnym podróżnym, na sposób waszego Sterna.—Latarnik. „*A sentimental traveller like our Sterne! ha! ha! But after all he got mad, I believe. Wout you finish like him? That's the question?*“ (Sentymentalny podróżny na sposób Sterna! ha — ha! Lecz ztém wszystkiém on jednak zwaryował, zdaje mi się. Czy pan nie skończysz jak on, to jest pytanie?)—Ja: „Jeszcze nie tego wieczora, *to be sure.*“—Latarnik. „Pan nie wiész że część ta odległa i samotna przedmieścia nie jest pewną; mnóstwo tu łotrów krąży i czycha na sposobność obdzierania. Ofiaruję panu przeprowadzić go aż do miasta, wiedząc bowiem że mam do czynienia z bardzo zacnym młodym człowiekiem (*with a very fine young gentleman*)“ dodał świecąc mi swym żołądkiem w oczy i suknie.—Ja. „Krawiec mój bardzo będzie uszczęśliwionym z pańskiego komplementu. Chętnie przyjmuję pańskie towarzystwo.“

Po drodze dowiedziałem się że miasto Londyn prócz City, która ma swą własną policyę, strzeżone jest tyloma kompaniami policyantów, ile jest liter w alfabecie, i że prawie wszystkie kompanie liczą tyle ludzi ile jest dni w roku. Wybierają ich zpomiędzy silnych, zdrowych, nierażących ani małością wzrostu ani brzydkością twarzy; odznaczających się dobrém prowadzeniem, uczciwością i rozgarnieniem. Litery i numera dlatego noszą, żeby ich można skarżyć w razie nadużycia władzy. Broni żadnéj nie noszą w czasie pokoju; w kieszeni mają pałeczkę na 15 cali długą, wylaną w środku ołowiem, rodzaj berła z wyrytym nań herbem Wielkiéj Brytanii. Wydobywają ją w razie oporu, dla zjednania prawu poszanowania widokiem

pieczątki. Gdyby widok nie wystarczał, natenczas po zacytowaniu pewnego artykułu prawa *Police-man*, ma prawo wybić tę pieczątkę bardzo systematycznie ale tak silnie, jak mu się samemu podoba, na plecach wykraczającego. Nauka heraldyki w ten sposób udzielana jest dość bolesną, ale nie krzywdzi honoru. Widziałem deputowanych pieczętowanych przez woźnych izby wyższéj w chwili, kiedy z okazyi piérwszéj mowy tronowéj królowéj Wiktoryi przywołano izbę niższą do wyższéj, i kiedy pomiędzy deputowanemi pragnącemi oglądać jak najlepiéj piękną dziewicę ukoronowaną, nastąpił tłok i ścisk tak wielki że kilku z nich zemdlało.—Woźni wzięli się wtenczas do heraldyki i niejeden prawodawca skrobał się potém w herb angielski wybity na łopatce.

W przypadku buntu i po ogłoszeniu „*Riot act*“ (aktu buntu), urzędnicy policyjni uzbrajają się w karabiny z bagnetami i jak wiemy rozpędzają one tłumy pięćdziesiąt tysiączne, stotysiączne jak chmary szarańczy.

Korzystając z grzeczności mego latarnika, spytałem go, gdzie się zwykle stołują uczniowie medycyny uniwersytetu londyńskiego. Przyprowadził mnie przed samą restauracyę i pożegnał grzecznie nie chcąc przyjąć korony którą mu kładłem nie na głowę tylko w rękę.

Restauracya akademików tém się różniła od innych tego rodzaju zakładów angielskich, że nie była przedzieloną w klatki w sposób targowiska bydlęcego. Zresztą wszystko się tu obchodzi cicho i przystojnie, bez krzyków i hałasów, któremi burszowie niemieccy a mianowicie teolodzy i estetycy kraszą sobie czas

spędzony w służbie muz i Apollina. W ubiorze także się nie różnią od innych zwyczajnych synów ziemi. Cygenheimery, gołe szyje, czapeczki jak spodki od filiżanek i kutasy do fajek podobne do głów kapusty, upijanie się codzienne piwem i śpiewanie Landesvatru nie są tu uważane jako *Conditio sine qua non* wyższéj uczoności.

Lecz niémasz téż żadnego życia i ducha towarzyskiego pomiędzy uczniami angielskiemi. Podzieleni na małe koła, w nich tylko żyją i nie wyrabiają w sobie żadnych cnót i zalet pochodzących z życia wspólnego ogółu, żadnego braterstwa i koleżeństwa.

Nie będąc „*introduced*“ tojest wprowadzonym do żadnego z przyszłych mych kolegów nie śmiałem się narzucać.

W jedném z czasopism lekarskich *The brittisch lancet* redagowaném przez pana Walklej członka parlamentu i magistra chirugii wyczytałem początek traktatu bardzo niedokładny i mylny o operacyach chirurgicznych nowo wynalezionych przez sławnego professora Dieffenbach, owego gienialnego operatora, który piérwszy wprowadził do Niemiec chirurgią francuzką i najpiękniejszemi wynalazkami zdołał ją nietylko rozpowszechnić lecz jeszcze daléj wykształcić. Cały świat lekarski zadrżał z radości widząc że przez autoplastykę i tenotonią nowe zupełnie pole otwiera się dla chirurgii operacyjnéj, która przedtém ograniczała się prawie zupełnie na odłączaniu od organizmu części ciała niebezpiecznéj, niewygodnéj lub bezużytecznéj, dziś zaś codziennie więcéj wynajduje sposobów oddawania życia i działalności członkom chorobliwie bezczynnym, a nawet kształcenia orga-

nów zdeformowanych lub zupełnie brakujących. Lecz wnosząc z artykułu w *Brittisch lancet* umieszczonego, słabe jeszcze miano wyobrażenie o nowych operacyach w ojczyznie *Johna Hunter, Astleja Cooper, Listona etc.*

Postanowiłem pójść do pana Walklej i ofiarować mu lepsze daleko artykuły o nowych sposobach zamykania i gojenia ran, o nowych sposobach operacyjnych nareszcie. Pokaże się że krok przedsięwzięty obfitym był w rezultata wszelkiego rodzaju poważne i śmieszne.

Dodam tutaj do charakterystyki medycyny angielskiéj że w traktyerni studenckiéj doskonały obiad złożony z *roast-beef* z kartoflami, *plum-pudding* z rumem, pół butelki wybornego porteru i bułka kosztował 18 pensów czyli zł. pol. 3. I w Londynie tanio i porządnie żyć można, tylko trzeba być obznajmionym z miejscowością i być bardzo śmiałym z całą czeredą markierów i garsonów obdzierających publiczność gdzie tylko może.

ROZDZIAŁ III.

Piérwszy wstęp do towarzystwa angielskiego — List rekomendacyjny — Pan Lee. . . The polish Paganini — Skrzypek z potrzeby staje się artystą— Muzyka w Anglii — Pojęcia o religii — Racyonalizm — Nierówność w obliczu Boga – Przesądy — Przedświt prawdy—Bal—Przygotowania — Tańce — Lord Blunderdale —Panna A. — Monomania choreograficzna — Koncert — Bufet — Gabinet historyi naturalnéj — Architektura — Czellista — Szanowany choć ubogi — Dziennikarstwo — Kominek angielski — Milord skończony — Miłość platoniczna i estetyczna.

Trzy okoliczności wywarły wpływ bardzo zbawienny na cały mój pobyt w Anglii i utorowały mi drogę do zgłębienia charakteru oryginalnego jéj ludu. Piérwsza, żem znał język angielski przed przybyciem do Anglii; druga, żem nie wstępował do towarzystw angielskich przed obeznaniem się choć powierzchowném z przyjętemi zwyczajami i wkorzenionemi przesądami; a trzecia, może najważniejsza, żem zabrał znajomość z kilkoma domami angielskiemi, przed odnowieniem znajomości z dawnemi towarzyszami. Znękani cierpieniami tęsknoty, i sami nie starali się poznać ludzi pomiędzy których los ich wrzucił, i innych zniechęcali od korzystania z zdarzonéj poniewolnéj sposobności. Z małemi nader wyjątkami żyli pomię-

dzy sobą w tém skupieniu do jakiego wspólna nędza zmusza, choć może nie w téj jedności do jakiéj wspólne nieszczęście nakłaniać powinno.

Nie miałem przyczyny być niezadowolnionym z piérwszego mego wstępu do domów angielskich.

Z wielkiéj liczby listów rekomendacyjnych zabranych z sobą z Królewca do znaczniejszych miast Anglii i Szkocyi, został mi po zatonięciu okrętu jeden tylko który otrzymałem w saméj chwili odjazdu, i zawarłem w pugilaresie nigdy mię nieopuszczającym. Byłto list młodéj Angielki bardzo sławnéj z swego talentu muzycznego, panny Robeny Ann Laidlaw pianistki księżnéj Cumberland późniéj królowéj hanowerskiéj. Sławna pianistka, w domu ojca któréj często bywałem, poleca mię w wyrazach pełnych uczucia wujowi swemu panu Charles Lee znakomitemu kupcowi drzewa w City. Pod cieniem skrzydeł muzy puściłem się tedy niegodny podziwiacz zdumiewającego jéj talentu, w świat mi nieznany, i zostałem przyjętym przez pana Lee w jego kantorze z serdeczną uprzejmością: „Ach jak się to doskonale wydarza, siostrzenica moja pisze mi że pan lubisz zabawy i jesteś niezmordowanym tancerzem. Ja właśnie dziś wieczór bal wydaję; u nas tak trudno o tancerzy, młodzi ludzie lenią się i ochraniają swe nogi jak gdyby im na wyścigi służyć miały. Racz pan tedy zaszczycić bal mój swą obecnością! Będziesz pan miał przyjemność poznać na nim znakomitego rodaka, wielkiego skrzypka pana... pana... nie mogę sobie przypomniéć nazwiska; znamy go tu powszechnie pod nazwiskiem polskiego Paganiniego. „Polskiego Paganiniego—spytałem—to zapewne pan Lipiński?“ „—Tak, tak zapewne; istotnie

jakieś nazwisko na *ski*; my go nazywamy polskim Paganinim, mieszka w blizkości, ot przy ulicy Wormwood Nro 120, może go pan odwiedzi, bardzo miły, przyjemny gentleman. Istotnie tak będzie najlepiéj, mój Commis zaprowadzi pana do niego, on panu wszystko ułatwi w tém mieście, zna bowiem świat cały. Liczę na obecność pańską, proszę mnie uważać za przyjaciela w każdym względzie.“

Idziemy do Paganiniego, zastajemy go w domu, commis odszedł poleciwszy mnie ze strony pana Lee i poprosiwszy abyśmy razem na bal przyśli. Jeden rzut oka wystarczył mi na przekonanie się że polski Paganini nie był panem Lipińskim. Zachodziła różnica w wieku, większa jeszcze w plemieniu. Włos czarny i choć niezbytnie kędzierzawy, wargi cokolwiek wywrócone, twarz śniada, silnie akcentowana, nos długi nieco garbaty, byłby mi wyjawił pochodzenie naszego skrzypka, choćby jeszcze żadne *ch* lub *sz* nie był wymówił. Ztémwszystkiém byłto człowiek bardzo przystojny, oczy wyrażały łagodność, rysy twarzy dobroć a nawet szlachetność, w postawie wysokiéj, wysmukłéj było wiele ułożenia, dobrego tonu nawet, — słowem nasz Paganini mający lat koło trzydziestu, zrobił na mnie przyjemne wrażenie i umiał utrzymać się w niém przez cały mój pobyt w Londynie. Nic nie było w nim narzucania się, téj chełpliwości tak niewygodnéj w towarzystwie, owszem z skromnością mówił o swym talencie, i wszyscy koledzy chwalili usłużność jego. Niejednego wykształcił w muzyce, znał bowiem kilka instrumentów, a potém nastręczył na professora. Sam przybył do Anglii już na początku 32 r. razem z wieloma innemi—biedny,

z miernym jak sam mówił talentem, nie znając wcale języka, nie wychodził prawie nigdy podczas dwóch lat z swego poddasza, wegetował resztkami przywiezionego kapitaliku i owemi szczupłemi subsydyami, któremi dobroczynność angielska wspierała nieszczęśliwych--ćwiczył się w języku i na skrzypcach dniem i nocą, walczył z trudnościami z postanowieniem przezwyciężenia ich lub téż legnięcia w walce. Poznał wcześnie gust Anglików i według niego wykształcił swój talent, wiedział że aby zyskać ich poklaski trzeba mężczyzn odurzyć naśladowaniem choć niedoskonałém owych szarlatańskich wymysłów, któremi Paganini wzbogacił skrzypce,—kobiéty zaś rozczulić tęskną ową, pełną niebieskiego czucia, pełną dziewiczéj czystości melodyą, któremi nasz Lipiński uszlachetnił smyczek.

Ćwiczył się tedy w szumnych arpeggiach, przebiegających jak uragan wszystkie cztéry struny, w słodkich flageoletach wabiących z strony głos fleta; w staccatach wydobywających jednym pociągiem smyczka mnóstwo drobnych krótkich tonów jak snujące się perły; w pizzicatach naśladujacych gitarę, razem z skrzypcami, w grze na jednéj tylko stronie, lecz nie zaniedbywał ubiegać się za ową czystością i pewnością intonacyi, za czułością tonów, za wydobyciem z martwéj deski głosu podobnego do płaczącego człowieka. Dostąpiwszy niesłychaną pracą tego stopnia doskonałości, nad który, jak sam mówił, zdolności jego wynieść się już mu nie pozwalały, wystąpił nareszcie na świat; uzyskał za pomocą kilku opiekujących się nami znakomitych osób sposobność przedstawienia swéj gry w prywatnych towarzystwach, uzyskał poklaski,

ułatwiono mu koncert, na nim Anglicy, którzy prawie bezwyjątkowo mało się na muzyce znają (choć ją lubią, lub choć im się zdaje że ją lubią,) przyjęli go z oklaskami, mianowali polskim Paganinim, które to nazwisko nosi po dziś dzień i używa na afiszach dla zwabienia publiczności. Osiadł w City, gdzie największa liczba zwolenników jego talentu mieszka i daje lekcye muzyki mężczyznom na skrzypcach, damom na fortepianie; a najbogatsi kupcy i bankierowie zapraszają go na wieczory dla nadania im blasku próbami jego talentu, i rocznie uszczęśliwia publiczność dwoma publicznemi koncertami. „Proszę Boga—dodał ze skromnością poczciwy skrzypek—żeby się na méj grze nie poznali Anglicy jak za lat sześć, wówczas mym zarobkiem będę mógł założyć jaki handelek i potłuc skrzypce, na których gram jak automat, gorzéj jak chłop na polskiém weselu. Zresztą żaden Anglik nie wié jakiego jestem wyznania; akcent mię nie zdradza w angielskiéj mowie i tak już do żydowskiéj podobnéj; czułe Angielki lubią mnie bardzo, ignorancyę mą nazywają brakiem wychowania klassycznego wspólnym wszystkim gieniuszom artystycznym, i mógłbym się tu dobrze ożenić, gdyby nie żona moja Esterka, którą zostawiłem w małém miasteczku w Litwie przedającą kawę i cukier z trzema ładnemi bachorami. Gdyby ona tu nagle zjechała w swéj bindzie i cycele i zobaczyła mnie żyjącego w poufałości z tak wielkiemi damami, onaby mi oczy wydrapała. Panu powiem wszystko bez ogródki, jestem bowiem pewnym że mnie nie zdradzisz, skoro mu zupełne pokażę zaufanie.“

Istotnie czemuż miałem wydawać naszego Paganiniego z sekretu z którego żadnego złego nie robił

użytku? Nie jego w tém wina, że panowie Dorobkowscy zawsze chętni małpować arystokracyą urodzenia nie znają się na muzyce. Gust muzyki wkradł się pomiędzy nich dlatego że się stał od niedawnego czasu modnym w najwyższych warstwach społeczeństwa. Kupiec z City byłby o niéj nie pomyślał wcale, gdyby był nie wyczytywał z gazet że u księżnéj lub margrabiny téj a téj dawano koncert, że się rozpływano nad cudownemi kompozycyami Bethovena lub Mozarta, że Bacon utrzymywał, że wpływ muzyki uszlachetnia duszę, a Gibbon że robi serce tkliwszém. „I ja także chcę być w Arkadyi, zawołał z dumą Dorobkowicz, wszakżeż mnie stać na to.“ I muzyka weszła u niego w modę; córeczkom kazał dawać lekcye, a wirtuozów zapraszał na wieczory. „Proszę pana na bal do mnie, będziemy mieli „*some Beethofen*“ (coś z Beethowena) mówił do swych znajomych z tą samą dumną miną, z jaką rok temu mówił: będziemy mieli indyka francuzkiego z truflami.

Niech się nie gniewają Anglicy, kiedy rzeknę, że muzyka, za którą się tyle ubiegają jest dla nich jeszcze tém samém *arcanum*, jakiém jest dla nich prawdziwe pojęcie Chrystyanizmu Ważną tę kwestyą, którą tutaj przypadkowo i z błachéj okoliczności naruszyłem, możeby wypadło w osobnym wywieść rozdziale, przed sąd czytelnika,—lecz dowody me więcéj oparte na przykładach z życia praktycznego wyjętych jak na rozumowaniu filozoficznem, pozwalają mi i najważniejszą kwestyę dotknąć i rozbierać w chwili dla mnie najstosowniejszéj.

Niémasz kraju, w którymby religia częstszym była przedmiotem rozmów, rozpraw, prac, poświęceń, rozmyślań, wysileń i intryg nawet, jak w Aglii. Ubieganie się za dobrem, całością i rozkrzewieniem się religii protestanckiéj, stało się zadaniem ulubioném licznych towarzystw i osób, w niektórych doszło ono do prawdziwéj monomanii; są tu ludzie którzy dla tryumfu protestantyzmu nie szczędzą tysięcy, a biednemu z głodu umierającemu grosza nie dadzą, są Anglicy którzyby rozbijali dla zdobycia pieniędzy potrzebnych na missye.

Ztémwszystkiém twierdzę że racyonalizm, któremu tu hołdują, że ów wynik filozofij materyalnych zanadto wysoko w Anglii cenionych, nie pozwoli duszy Anglika wznieść się do tych sfer szczytności, w których jedynie pojąć może prawdziwą wartość religii, uczuć jéj boskie wpływy, uszlachetnić swój umysł na zawsze i pozbyć się tych drobnostkowych pojęć i namiętności, między któremi błąka się w życiu prywatném.

Ogół Anglików, szczególniéj zaś średnia klassa, najważniejsza w tym kraju, ogranicza się w pełnieniu obowiązków religijnych, na objawianiu osobliwszego jakiegoś przywiązania do przyzwoitości form i pozorów zewnętrznych. Zaprzeczyć sobie nie pozwolę że pomiędzy Anglikami znaki zewnętrzne i widzialne są uważane za najlepsze, może nawet jedyne znaki wewnętrznéj i spirytualnéj łaski. Rządzą się i zajmują całe życie spekulacyami, które rozciągają aż do chwili zgonu i na tamten świat jeszcze, a grubo materyalnie przedstawiają sobie najtkliwsze tajemnice religii.

Na dowód tego niech służą następujące słowa, któremi w méj przytomności podeszły już ale bardzo *respectable* ojciec pożegnał syna pełnoletniego jadącego do Indyów Wschodnich: „*Good boy, be attentif to your bussines and keep yourself religious, and the Allmighty will grant you a happy life, a decent death and a comfortable resurection.*“ (Dobry synu! pilnuj swego handlu i zachowaj się religijnym, a Wszechmocny raczy cię obdarzyć szczęśliwém życiem, przyzwoitą śmiercią i wygodném zmartwychwstaniem.)

Któż tu w tym czułym obrazie nie przedstawi sobie poczciwego Anglika wstającego z grobu i zasiadającego do nakrytego stołu, na który aniołkowie wnoszą mu pachniący bifsztyk z kartoflami i butelkę porteru?

Niedość na tém. Anglik dla własnego swego prywatnego użytku wyciągnął sobie z szczytnych nauk Chrystusa taką teoryę miłości bliźniego, jaka nie narusza wcale i nigdy nie zachwieje wyobrażeń jego o *konieczności* nierówności ludzkiéj nawet w obliczu Boga. Wchodzę raz do kościoła anglikańskiego i napotykam u drzwi jego człowieka z ludu, chcącego także wejść do niego. Ale oparł się temu ostatniemu z miną zimną i uroczystą szwajcar kościelny w tych słowach: „Dobry człowieku, dla was i dla kobiét wikaryusz będzie miał kazanie po południu, teraz wielebny proboszcz każe tylko dla gentlemanów i dla dam.“

„I ja też tylko jestem człowiekiem i przyjdę po południu,“ zawołałem do żywego obrażony krzywdą w bliźnim mym godności ludzkiéj wyrządzoną, ale mnie nawet nie pojął odźwierny i rzekł: „Sądząc

z ubioru wziąłem was za gentlemana; dobrze żeście się *wy przynajmniéj* na waszéj wartości poznali.“

Jeszcze nie koniec. Ciasne wyobrażenia, jakie tu z religijném uszanowaniem przechowują o przyzwoitości, krępują umysł i uczucia *wolnych synów Brytanii* w sposób tak okrutny, że z nich robią po prostu niewolników nawet we względzie religijnym. Znieść nie mogą kaznodziei ogłaszającego prawdy Chrystusa z zapałem i czuciem, dla tego że to jest uważane za nieprzyzwoite. Wstydzą się własnego wzruszenia, wszelkiego rozczulenia religijnego wzbudzonego w nich widokiem natury, dlatego że to uwłacza ich *respectability*, ich godności. „Chrześcianin powinien zawsze w każdéj chwili, być głęboko przekonanym o prawdach religii i nie szukać wyższego natchnienia na skrzydłach niewieściego rozczulania,“ tak rozumują nasi stoicy, którzyby za nic w świecie nie przywitali się na ulicy z samym Chrystusem, gdyby był źle ubranym, a to z téj jedynéj przyczyny, żeby nie popaść w podejrzenie bratania się z „*common people*“ tojest z ordynaryjnemi ludźmi.

Nic w tym obrazie nie jest przesadzonego; Anglik pomimo całéj swéj godnéj szacunku rzetelności i słowności, pomimo wielkich ofiar ponoszonych dla dobra ojczyzny i cierpiących, pomimo rzeźwości i bystrości swego rozumu objawionéj wszędzie, gdzie idzie o własny lub kraju interes materyalny, nie będzie ani *wolnym człowiekiem* ani *chrześcianinem*, dopóki nie przestanie hołdować swym drobnostkowym przesądom, swéj manii być logicznym w wszystkich rzeczach, *definiowania* tego co jest niepodobném do

wytłumaczenia, i dowiedzenia tego czego dowieść nie można. Przesądy jego dotychczas niezłamane sprzeciwiają się pałającéj pobożności, któréj wymaga owa święta religia nakazująca nam dla chwały Boga i ludzkości zrobić poświęcenie z naszych interesów i namiętności osobistych.

Ale już się objawia przedświt prawdy, już oddziaływają skutki przesądów. Kościół anglikański, ów zimny, nieczuły tyran wszystkich innych chrześciańskich wyznań, ów nieprzyjaciel sprawiedliwości i rozumu traci codziennie swych zwolenników, nawet podpory jego najważniejsze usuwają się z roli Atlasa dźwigającego owo arystokratyczne niebo, w które tylko z koroną na głowie, z pargaminem w ręku lub z pieniędzmi w kieszeni wstąpić można. Irlandyo! cierp jeszcze chwil kilka, a odzyskasz w imieniu Boga to, co ci silne płuca O'Connela i O'Connellidów wrócić nie zdołały. A ty biedny wyrobniku angielski, który od niemowlęcia pracujesz na to żeby twój fabrykant mógł w przepychu satrapskim sumienie swe zagłuszyć,— poznanie prawd religii da ci twe prawa do niekosztowanego jeszcze nigdy szczęścia, któreś napróżno usiłował zyskać omdlałemi twemi rękoma na twych stotysięcznych meetingach!

Jedziemy tedy na bal w fryzowanych włosach, białych chustkach i kamizelkach, w trzewikach lakierowanych i pończochach jedwabnych, w frakach granatowych z białą podszewką jedwabną i w klaku, taka bowiem wówczas kosztowna panowała moda i wrachowawszy w to dwie pary rękawiczek glansowanych, jedna bowiem nie wystarczała na cały wieczór, pół suwrena tojest 20 złp. dla służącego podają-

cego płaszcz, koronę tojest 10 złp. za dorożkę, wypadło, że bale londyńskie są bardzo kosztowną rzeczą dla dających i przyjmujących je i że tak nazwane życie *fashionable* nawet tylko z arystokracyą kupiecką wystawia na wydatki, które dla synów bogatéj Anglii są niczém, dla synów zaś biednéj Polski podróżujących pomimo woli czémści bardzo dotkiwém, gdyby się miało często powtarzać.

Za me pieniądze postanowiłem bawić się jak najserdeczniéj, a uważać na wszystko jak najdokładniéj; przeczuwałem może już wtedy choć bardzo niewyraźnie, że sceny te mego tułackiego życia opisywać będę.

Lokaj otwiera oba skrzydła sali i wykrzykuje nasze nazwiska należycie przekręcone, to się wié samo z siebie. Następuje przywitanie z panem Lee, przedstawienie moje ceremonialne pani Lee, matronie poważnéj obwieszonéj jak obraz Matki Boskiéj łańcuchami, zegarkami, perłami i dyamentami i wprowadzenie mnie do znajomości panien Lee, których było liczne grono różnego wieku. Anglicy bowiem nawet bogaci nie wpadają w wymysły Francuzów i nie lękają się miéć licznego potomstwa. W tym względzie nie obrażają praw natury. Zachwycony byłem serdeczném przyjęciem owych aniołów, których nazywają Angielkami, i wkrótce dowiedziałem się czemu mam je przypisać. Nieznanego żałowano tu już jako straconego. Od czasu mego wyjazdu z Królewca *Miss Robena Ann Laidlaw* była w Londynie i mówiła kuzynkom, że im poleciła dobrego przyjaciela udającego się do Anglii, lecz że ten zginął wraz z okrętem który wymieniono w wszystkich listach kupieckich pomiędzy stat-

kami zatopionemi. Nieboszczykowi nie szczędziła zapewne pochwał i niemi zainteresowała czułe kuzynki. Takim sposobem stało się, żem odziedziczył mą własną pośmiertną sławę, dotychczas jedyne dziedzictwo jakie dla mnie spadło i spaść może. Korzystałem jednakże z niego jak można było najlepiéj, i zamówiłem panienki do mnóstwa tańców, co zostało chętnie przyjętém i sumiennie wpisaném do owych słowników z słoniowéj kości, które wtenczas każda tańcująca dama przy pasie nosiła. Nieopatrzonych tym słownikiem dam byłoby niestosowną rzeczą do tańca zamawiać; damy zaś, którym się nie miało zaszczytu być przedstawionym, do tańca zapraszać, byłoby nieprzyzwoitością nie do darowania.

Tańczono przy odgłosie trzech harf, dwóch skrzypc i flotrowersu: anglezy, kontradanse francuzkie, kadryle, i to na kobiercu. Inna sala z froterowaną posadzką była przeznaczona na walce i galopady. Panowanie Polki jeszcze się nie było rozpoczęło w Anglii, a mazurków nie znano jeszcze nawet jako baletowy taniec z przedstawień teatralnych.

Sale się napełniły aż do ścisku. Czekano jeszcze na kogoś, na najważniejszą osobę, na słońce które całemu balowi miało dać świetność, imię, znaczenie, urok. Nareszcie lokaj krzyknął przeraźliwym głosem: „*The Right Honourable Lord Blunderdale.*“ Ucieszony gospodarz jednym susem przypadł do drzwi i wita z uniżonością, jaką niechętnie u Anglika widzę, dumnego patrycyusza płacącego sobie wyświadczoną kupcowi z City grzeczność—dumnemi, szyderczemi, i do prawdy dość ordynarnemi minami.

Trzeba wiedzieć—proh dolor!—że ów kupiec angielski, który na zborach, obiadach politycznych, meetingach tak silnie piorunuje przeciw wkraczaniu arystokracyi w przywileje wolnego narodu angielskiego i prawa klassy średniéj, który w gruncie serca nie uwielbia nawet kasty arystokratycnéj dla jéj zbytków, częściowego zepsucia i niemoralności—że ów kupiec angielski nie doznałby ani chwili szczęścia w własnym domu, żeby sobie czasem, przy uroczystych okolicznościach, nie wyżebrał przytomności jakiegoś lorda, choćby lorda bez krzesła w Izbie Parów, choć lorda jakiego podszarzanego, zadłużonego, siedzącego w kieszeni kupców,—aby tylko był lordem i członkiem téj potężnéj arystokracyi, która tak cudowny urok na wszystkich dorobkowiczów wywiera.

Lordowie na ten cel zapraszani wiedzą bardzo dobrze że gospodarzom idzie więcéj o tytuł i o przyjemność powtarzania *Mylord*, *your Lordship*, *right honourable,* jak o ich osobę — i mścili się na gospodarzach uśmiechami szyderczemi i rewoltującym *sans façonem*.

Weszło tedy nasze słońce (należało do tych które się kieliszkami otaczają i pod stół zachodzą.) Wolno nam było teraz bez obrażenia przyzwoitości złożyć nasze klaki i zabrać się do tańca na kobiercu.

„Jak smutnym musi się Panu wydawać Londyn po tylu uroczystych scenach natury, które pan przez tak długi czas podziwiał“ rzecze do mnie *Miss Augusta* podając mi rękę do kontredansa. „Znając pana z opisu méj kuzynki, jako wielkiego entuzyastę, jestem pewna że nic Pana nie będzie w stanie pogodzić ze zmianą sceny z naszym brzydkim prozaicznym Londynem.“

Chciałem odpowiedzieć: „chyba pani sama gdybyś zechciała“ ale odpowiedziałem uśmiechając się z méj nieśmiałości „Chyba jedna rzecz moja pani!“ Zrozumiała mnie i pogroziła paluszkiem tak ładnie, tak figlarnie, że poznałem, że mię tu opisano z dokładnością.

„A Królewiec już tedy zapomniany zupełnie—rzecze mi daléj piękna Miss Augusta — a biedna Sapho, a nieutulona Muza, a nieszczęśliwa Gracya, widzę że morze północne było Lethą dla pamięci pańskiéj.“

„Owszem, owszem, i właśnie że pamiętam, i kiedy widzę uczoność Sapho, talent Muzy, i piękność Gracyi połączone w jednéj osobie, wówczas najboleśniéj czuję ilem stracił, ale téż najlepiéj pojmuję, że jest lekarstwo na me cierpienia.“

„*Don't continne Sir*“ (nie kończ pan)—zawoła żywo Miss Augusta rumieniąc się, nie wiem, czy z gniewu. „Jakto od jednego razu, przy piérwszym wstępie? Królewszczanki pana bardzo popsuły jak widzę, a Norwegianki nie naprawiły.“

„O to rzecz pewna, nie mogę tego zarzucić Norwegiankom.“

„Patrz Pan raczéj na swego *vis-à vis* przerywa żywo Miss—on sobie tyle zadaje pracy, żeby ściągnąć nasze oczy.“

Prawda, nic pocieszniejszego w świecie. — Jegomość jakiś, Francuz osiadły od lat trzydziestu w Anglii jako tancmistrz, ożeniony z bogatą angielką przyjaciołką synów Terpsychory, już wcale niemłody

tańczył przed nami na złamanie karku. Z twarzy ustąpiła wszelka żywość dzięki wpływowi powietra angielskiego i nudom domowym, ale za to wpadła mu w nogi; tańczył kontradansa, tak jak go tańczyła rodzina Noego w arce, z wszystkiemi szykanami, odskakiwał w powietrze jak gumelastyczna piłka; wybijając niezliczoną liczbę *piruetów, entrechats*, *chassés, plissés, pas de pigeon*, następowały jedne po drugich z niedościgłą szybkością i to wszystko z miną nieruchomą jak maseczka, nie przemawiając ani słowa. „To musi być jeden z tych automatów Spalanzaniego, o których opowiada Hoffman tak przerażające historye?“ rzekę zdziwiony do panny Augusty.

„Istotnie to jest automat, lecz nie Spalanzani, tylko własna żona jest jego fabrykantem.“ Pani *Duval-Warren*, którą pan tam widzisz z wlepionemi oczyma podziwiającą swego męża jest niezmiernie bogatą, kapitały jéj w handlu są mego ojca; kocha się w tańcach aż do prawdziwéj monomanii—kocha tylko tańce, a nic więcéj: ani psa, ani kota, ani ptaka, ani książki. Poszła za mąż jedynie dlatego, żeby miała dobrego tancmistrza w domu; od lat trzydziestu co dzień go wywozi na bal i każe mu tańczyć do upadłego, w domu ma orkiestrę, często w nocy budzi męża i każe mu skakać.“

„A dzieci, czy mają?“

„Nie mają ani jednego“ odpowiedziała M. Augusta znów się rumieniąc.

Późniéj dowiedziałem się z pewnością, że pan Duval nie był *ani razu* dla swéj żony niczém więcéj jak skoczkiem *przybocznym*.

Czysz można sobie wystawić uciąźliwszą niewolę, okropniejsze położenie, być mężem kobiety, któréj wszystkie myśli, uczucia wrodzone nawet i dla zachowania rodu niezbędnie potrzebne skłonności zlały się chorobliwie w jednę tylko namiętność, w namiętność widoku tańca.

Skacz, nędzarzu milionowy, nie jak *Voltaire un pied dans la tombe, et avec l'autre faisant des gambades*, lecz obiema nogami na grobie swéj wolności. Skończył się ten piérwszy kontradans, którym wstąpiłem z lodów dzikiéj Norwegii na perskie kobierce eleganckiego świata.

Młodsze panny Lee także bardzo ładne i miłe byłyby mnie również zajęły, gdyby mnie obraz starszéj siostry chciał był odstąpić choć na chwilę. Stęsknione me serce, dusza ma spragniona, znalazły nareszcie przedmiot godny wszystkich ich hołdów. „Aniele! ty będziesz mym ideałem, już to przeczuwam; i czy przyjmujesz me ubóstwienie lub je odrzucasz, czy będziesz czułą na me męki lub nieczułą, ty nie możesz zabronić twemu obrazowi sny me złocić, twemu głosowi brzmiéć jak melodya niebieska w mych uszach, i otaczającemu cię urokowi rozlać się po całéj atmosferze dościgłéj dla lotnych skrzydeł méj duszy. Pomimo twéj woli będziesz mém bóstwem.“ Z tak mocném postanowieniem rozkochania się, i z taką rezygnacyą na wszystko trudnoż było dopiąć celu?

Po pół tuzinie kontradansów nastąpiła pauza; korzystałem z niéj dla wyszukania w niezliczonym tłumie mego rodaka, który także żadnego nie przepuścił tańca, a tańczył z taką gracyą niewymuszoną, jaką pewnie nie nabrał na ostatkach żydowskich przebrany

za Turka z tarabanem w ręku wywijając przy odgłosie cymbałów. Szczerze podziwiałem w nim skutki dobroczynnéj cywilizacyi.

Zapoznano mnie jak gdyby przypadkiem z pannami Jenny i Lucy G. siostrami professora chemii uniwersytetu londyńskiego, a mieszkającemi tuż blizko mnie, i polecono mi także bardzo zręcznie abym się starał o pozyskanie względów tych wcale przystojnych i uprzejmych córek górzystéj Kaledonii. Już zaczynałem czuć błogie wpływy anielskiéj jakiéjś i tajnéj opieki i poddałem się ślepo jéj rozkazom. Zaprosiłem do tańca nowe me znajome, ładne Szkotki, których wesołości wrodzonéj, umysłu bujnego stępić nie zdołały ciasne wyobrażenia ceremonialności angielskiéj. Znalazłem się z niemi zupełnie jak w znanym mi żywiole. Walter Scot był naszym przedmiotem, węzłem łączącym nasze umysły.

Nastąpił koncert. Paganini nasz wykonał karnawał wenecki z waryacyami z daleko większą dokładnością, niż się z oceniania skromnego własnego talentu spodziewać było można. Wiele lat późniéj słyszałem też samą muzykę wykonaną przez wyższego narodowego artystę pana A. Kontskiego. Ćwiczony na wzorach klassyków od maleńkiego dziecka umiał młody ten Virtuoz dopiąć wyższego stopnia wydoskonalenia od naszego Paganiniego, twórcy własnego swego talentu. Ale czy sprawił większe wrażenie na swych słuchaczach? tego nie wiem. Poganini grał dla Anglików nieznających muzyki. Pan Kontski dla Francuzów umiejących ją ocenić doskonale. Wszystko jest względném na tym świecie: talent, szczęście, śmierć nawet jest względną.

Proszono abyśmy się udali do bufetu dla orzeźwienia się, cały pokój obszerny przeznaczony był na bufet. Jeden bok jego zajmował stół obstawiony bulionami żółwiemi, rostbifami, nieskończoną liczbą pasztetów z wszystkiemi mięsami i owocami, ptakami pieczonemi od szwedzkiego głuszca aż do afrykańskich kwiczołów, szynkami z niedźwiedzia i dzika, rybami od czeczugi mieszkańca Wołgi aż do węgorza z Surynamu, skorupiakami od norwegskiego raka morskiego aż do drobnych aromatycznych jestestw zwianych z szczytów gór Himalaja na gorące pola Bengalu, owocami od złotéj pomarańczy ogrodów hesperyjskich aż do soczystych winogron z *Fontainebleau* i słodkich daktylów Tafiletu! A całe to smaczne muzeum historyi naturalnéj stało pod cieniem drzew pomarańczowych, kwiat i owoc razem noszących, drzew wiśniowych których gałązki uginały się pod ciężarem dojrzałych wiśni (w miesiącu kwietniu, pod zimném niebem Anglii); pod cieniem kwitnących róż, kamelij, kaktusów, hortensyj i georginiów.

A cukry! będęż opisywać pagody chińskie z karamelu, ruiny Persepolu z biszkoktów, świątynie Ephezu z czokolady, Alhambrę wzniesioną z makagigi, Kapitol z marcepanu, kościół Śgo Pawła wybudowany z kasztanów osmażanych, a pałac Elizejski z szarlotki ruskiéj?

Za stołem paliły się jak wulkany wazy ponczu francuzkiego, kurzyły wazy wina z korzeniami.

Pod jedną ścianą długi szereg baryłek dębowych z złoconemi obręczami i kruczkami, na dnie ich następujące napisy: *Oporto*, *Madeira*, *Xeres*, *Mallaga*, *Alicante*, *Kartagena*, *Frontignan*, *Lunel*, *Chabli*,

Bordeaux, *Syrakuza*, *Przylądek* Dobréj Nadziei, *Astrachan.*

Pod drugą ścianą stały uszykowane w plutony i bataliony butelki różnego kształtu z napisami: *Chateau Lafitte*, *Pontac*, *Chateau la Rose*, *Julien*, *Limoux*, *St. Perray*, *Chambertin*, *St. Georges*, *Ay*, *Epernay*, *Wolksheim*, *Markebrunner*, *Nierensteiner*, *Hochheimer*, *Johanisberger i Tokaj* wysłał tu pół plutona.

Oryginalny naród angielski uczy się heraldyki plecami, a historyi naturalnéj, architektury i geografii, żołądkami. Któżby nie uczęszczał chętnie do takiéj szkoły? czemuż to u nas nie zaprowadzą tego systematu pedagogicznego dla wzbudzenia pilności w uczniach? i dla zwabienia uczonych do biblioteki publicznéj, dotychczas jak grób samotnéj?

Przybytek właśnie opisany służył tylko dla mężczyzn. Damy miały osobny, gdzie nie brakło także wina, jak można było wnioskować z śmiejących oczków i rumianych nosków niektórych córek Albionu.

Anglicy zawsze praktyczni wcześnie uznali że obowiązki grzeczności, względy dla dam, uwłaczają prawom żołądka i nie pozwalają rozwinąć się apetytowi w sposób *confortable*, tojest wygodny. Dlatego następuje przedział w chwilach Bachusowi poświęconych. *Praesente bello silent Musae, tacetque cor regente stomacho,* w Anglii przynajmniéj.

W ogólności Anglicy nawet i młodzi na balu w licznem towarzystwie bawią się w sposób bardzo poważny. Przyjęte wyobrażenia o przyzwoitości służą im wygodnie na pokrycie braku wszechstronnego rozwinięcia umysłowego, braku żywości wrodzonéj, i w swém oddziaływaniu pozbawiają innych szczęśliwszemi

usposobieniami wyposażonych, naturalności i téj nadobnéj lekkości w manierach, którą w tak wysokim stopniu posiadali Francuzi, niegdyś mistrze nasi, w dobrym tonie.

Angielki żywsze, staranniéj wychowane i z literaturą całego świata tak bobrze obeznane, głośno ganiły swych braci za ich sztywność.

Bawili się tedy bardzo poważnie, ale zajadali i pili bardzo walecznie. Jakżeż im zazdrościłem owego szczerego apetytu! najpiękniejsze świata utwory znikały w ich żołądkach jak w bezdennéj jakiéj otchłani; patrzałem się pomimowolnie w ziemię ciekawy czy nie znajdę jakiéj kommunikacyi z tą odchłanią.

Lord Blunderdale dbały o przywileje swego wysokiego stanu nie dał sobie wydrzéć piérwszeństwa w świątyni Bachusa. Odgłos jego arystokratycznego śmiechu rozlegał się po sali radośnie i elektryzował uszczęśliwionego amphitryona. Oh! jak nasz lord bawi się wesoło mówił zacierając ręce. „Tak jak gdyby był w swéj tawernie“ pomyślałem sobie.

Widelce przestały brzęczéć, lecz kieliszki nie przestawały. Odezwały się harfy, co znaczyło: wkładaj rękawiczki rezerwowe. Drugi akt balu rozpoczyna się już nie na kobiercu lecz w większéj sali na woskowanéj podłodze, dla walca i galopady.

Poprzedzono go *„czémści z Bethowena“* odegranem przez pana Lindlej, Anglika, na basetli. Sędziwy starzec z nadzwyczajnie przyjemną, wymowną, muzykalną fizyognomią, z włosem białym jak gołąbek, grał z trudném do uwierzenia czuciem, nawet z siłą i biegłością. Byłto najlepszy basetlista swego czasu, jeden z małéj liczby Anglików znających prawdziwą

muzykę. Zachwycił nas wszystkich i radość z sprawionego wrażenia jaśniała jak uśmiech dziecięcia na miłéj jego twarzy.

„To musi być wyborny człowiek ten pan Lindlej, —rzeknę do panny Augusty—kiedy w tym podeszłym wieku tak pogodne zachował czoło?“

„Tak jest w istocie—odpowiedziała—i tém więcéj do zadziwienia, że niedawno temu popadł nieszczęściu całkowitéj straty majątku. Lecz pomimo ubóstwa swego bardzo jest godnym szacunku i poważanym.“

„Pomimo ubóstwa swego jest godnym szacunku? Augusto? i pani także?“ rzekłem wolno z ściśnioném sercem.

„Dokończ Pan: nie jesteś lepszą jak wszyscy Anglicy — odpowiedziała śledząc w méj twarzy skutki swych słów.—Nie, nie! wykorzeń pan z myśli zaraz w téj chwili to podejrzenie. Ja nie dzielę wszystkich przesądów mego kraju, i dlatego stać się mogę ich ofiarą. Ale inną razą o tém, wszakżeż nie po ostatni raz pana widzimy?“

„Istotnie pani, uszczęśliwiony byłbym, gdyby mi rodzice pani pozwolili uczęszczać do domu ze wszech miar tak godnego i przyjemnego.“

„O! to pan wcale jeszcze nie zna przywilejów naszych. My mamy prawo zapraszać naszych gości, a papa i mama nie potrzebują ratyfikować naszych zaprosin.

Tak jest istotnie. Przywileje panien Anglii przechodzą przywileje jéj mężatek, które bez pozwolenia męża nie śmieją zaprosić nikogo do domu. Dziwna to rzecz te wolności panien angielskich; świadczą one o ich moralności, o rzadkich w tym kraju nadużyciach

gościnności. Co kraj, to obyczaj—niesie nasze przysłowie. Gdyby we Francyi, gdzie mama i guwernatki pilnują młodych panien jak zrenicy w oku, angielska wolność została wprowadzoną, wówczas pewien jestem, że *Maire* stałby się dla zawarcia małżeństwa niepotrzebnym gratem, a zamiast jednego kowala z *Gretna Green*, który w Anglii trzem królestwom wystarczy, każda francuzka gmina musiałaby ich trzech posiadać, ale podobnoby się i bez tych obeszło!

Nigdzie mniéj niéma szkandalów jak w Anglii, choć ich także nigdzie dzienniki tak niegodnie nie rozgłaszają, jak w tym kraju. Dziennikarze angielscy poświęcają wszystkie względy honoru i uczciwości nikczemnéj chęci rozpowszechnienia swego pisma podsycaniem i żywieniem złych instynktów gminu. Lecz nie wpadajmy teraz jeszcze na trop dziennikarstwa, zawiódłby nas za daleko, a tu bal się kończy, goście się usuwają, panny G... jako przyjaciołki domu zostają dłużéj i ja z niemi, gdyż mi ofiarowały grzecznie miejsce w powozie.

Przy ulubionym kominku angielskim, owym domowym *fire side*, o którym każdy Anglik mówi z taką czułością jak my o naszéj rodzinnéj zagrodzie, dla niego bowiem ciasny dom jest tém ogniskiem tkliwych uczuć, którém dla nas jest kraj cały; przy kominku mówię, zaczęła się w małém kole przyjaciół domowych, 20 pozostało z 300 gości, jedna z tych rozmów nazwanych tu „*chitchat,*“ z tych pogadanek, malujących najlepiéj dobrą stronę charakteru angielskiego. Opowiadano sobie wrażenie wieczoru spędzonego z tą naiwną szczerością, jaka tworzy dobry i uczciwy grunt serca angielskiego. Nikogo tu nie obmówiono,

nikomu sławy nie odarto, tu i owdzie pusty śmiéch na wspomnienie jak ten lub ów z przytomnych umizgał się do téj lub owéj, jak upadł w tańcu lub głupstwo powiedział. Wyśmiany bronił się, lecz śmiał się sam z siebie i żadna mu gorycz w pamięci nie pozostała.

W bufecie jeszcze się rozlegały głosy, ale rozmażone, niewyraźne. Nie byłato rozmowa, ale monologi jednoczesne: jeden prawił samemu sobie kazanie, drugi przemawiał do publiczności za zniesieniem praw zbożowych, trzeci przemawiał za powiększeniem podatku dla ubogich, inny robił spekulacye handlowe, inny jeszcze śpiewał. „*John how is Mylord*?“ (Janie, jak się ma Mylord) spytała gospodyni.

Mylord jest już skończony (to znaczy pijany), śpiewa: „nie pójdę do domu przed porankiem“ i pada pod stół, odpowiedział służący z taką samą obojętnie poważną miną, jak gdyby był powiedział: „Mylord jest zdrów, kazał się kłaniać i przyjedzie jutro.“

„Dać mu poduszkę pod głowę“ kazała pani domu. Nikomu nie przyszło na myśl śmiać się z odpowiedzi służącego lub przygody lorda, byłoby to nieprzyzwoitością.

Przez czas niejaki miałem szczęście być przedmiotem zajęcia się małego naszego koła. Okazywano mi szlachetne współczucie, lecz nie obrażano tém politowaniem, nie durzono temi szarlatańskiemi protekcyami, których na nieszczęście teraz dopiero oceniliśmy *ogólnie* wartość.

Pożegnałem się, proszony abym uczęszczał do domu. Ręki się nie całuje damom, chyba *en trés petit commité*, i wiedząc za co lub czemu, podaje się rękę damom i ściska się ją, lecz nie aż do złamania kości.

Odprowadzając me sąsiadki szkockie naśmiałem się serdecznie z ich trafnych spostrzeżeń o dziwności etykiety angielskiéj. Proszono mnie abym bywał w domu każdéj wolnéj chwili, jako dobry sąsiad. Nie miałżem być zadowolonym z téj piérwszéj wycieczki w świat angielski? Zdobyłem w niéj liczne punkta oparcia dla sądu mego o charakterze tego wielkiego a jeszcze dla mnóstwa sprzeczności zachodzących na powierzchni jego, niedość poznanego, cenionego narodu. Zdobyłem także punkt oparcia dla tych uczuć które się od wyjazdu mego z Królewca błąkały rozstrzelone bez celu i życia, żywiąc się jedynie wspomnieniami dni ubiegłych.

Serce młodego człowieka pragnie żyć wszystkiemi swemi niewyczerpalnemi siłami, straszne i uroczyste widowiska natury nie napełnią go nigdy tyle, żeby w niém nie pozostało miejsce, szczelina jakaś próżna dla swego ideału, dla kobiéty która posiada wszystkie kochania godne cnoty, lub którą niemi obdarza w swéj płodnéj wyobraźni. Silne jest serce młodzieńca i najokropniejsze nawet niebezpieczeństwo nie zdoła go strwożyć tyle, żeby w chwili oczekiwania śmierci nie pragnął umrzéć w oczach swego ideału. Na sobie doświadczyłem téj prawdy. Życie me byłoby tylko mdłym letargiem, automatyczną istnością; gdyby je przenikający a błogi wpływ anioła w postaci ludzkiéj nie był wydarł z nicości i nie ogarnął tą świętą poezyą, która jest kolébką szlachetności i cnoty. Jest wiek, a wiek ten trwa długo w niektórych uprzywilejowanych sercach, jest wiek poezyi i czystości, w którym uczucie miłości pała najgorętszym płomieniem, a wolnym jest zupełnie, czystym z wszelkiéj żądzy posiadania.

Biada ci młodzieńcze jeżeli z tego nie skorzystasz wieku, dla dania całemu twemu życiu celu, wartości, i rzetelności; tak rzetelności téj miernéj napozór cnoty, bez któréj największa odwaga nie jest bohaterstwem, honor nie jest zaszczytem, najpiękniejszy talent nie jest darem boskim dla dobra ludzi służącym, wytrwałość nie jest stałością charakteru, a pozór nie jest prawdą.

Miłość uzacnia i uszlachetnia, ale nie miłość kształtów samych i ciała, lecz tego co przez kształt i ciało myślą świeci i duchem przegląda; miłość będąca zidealizowaniem lubości, przeniesieniem rozkoszy z ciała do ducha, będąca sympatyą dusz przez ciało.

Miłość téż piérwszą jest nauczycielką piękna, jak dobrze mówi uczony nasz pełen prawdy i nadobności *Liebelt.* Ona piérwszy raz doprowadza do wiedzy prawdziwą piękna istotę, która jest harmonią treści i formy, ciała i ducha.

A cóż jest piękniejszego nad dziewicę w pełni wdzięków, kiedy z nich patrzą zdobne przymioty duszy: łagodność zawieszona na ustach, a niewinność i rozsądek poświetla w jasnym blasku oka, kiedy uroku co się po tych pięknościach oblicza i kształtu rozlewa, kiedy téj spokojnéj harmonii duszy i ciała, żaden gest swawolny, żadne spojrzenie namiętne, żadna płochość nie psuje.

I te wszystkie przymioty znalazłem połączone w jednéj osobie! w tobie córko Albionu w któréj zubóstwiłem piękną duszę w piękném ciele. Wiele lat od chwili poznania Ciebie upłynęło, wiele listków spadło z pełnego kwiatu serca mego pod zimnym powiewem rzeczywistości, wiele i uschło pod żarem tra-

więcéj tęsknoty; lecz to co pozostało i co już wytrwa w swéj postaci aż do ostatniéj chwili burzą miotanego życia, to dziś jeszcze uwielbia w tobie ideał kobiéty, ideał niestworzony łaknieniem serca, wyobraźnią podsyconą przez pożądliwość, nie! lecz ideał ducha zamiłowany duchem, ideał niemający nic wspólnego z żadną ziemską namiętnością, nieuwłaczający żadnym ziemskim stosunkom, nieszkodzący żadnemu przywiązaniu.

ROZDZIAŁ IV.

Uczeni Anglii — Ich ubieganie się za fachowością — Porównanie ich z uczonemi niemieckiemi—Upamiętanie się moje z dotychczasowéj bezczynności—Wejście w stosunki literackie z czasopismem lekarskiém — Przypadkowe zapoznanie się z missyonarzem angielskim, i usługi przez niego mi oddane — Śmierć jego — Pan Wakley — Stosunki z nim literackie, zerwanie ich— Ogólny rys stanu umysłowego, szczególniéj pod względem ukształcenia filozoficznego Anglików. — Prawodawca ich filozofii — Locke.

Czyż potrzebuję nadmieniać, że na wieczorze u państwa G. znajdowała się rodzina Lee...? Na nim miałem sposobność zaznajomić się z kilkoma uczonemi Anglii, znanemi od całego świata, podziwiałem w nich gruntowność fachową (professyonalną jak tu mówią), lecz zarazem spostrzegłem w ich myślach ubieganie się za tą fachowością z widoczném wyłączeniem, odpychaniem nawet tego wszystkiego, co nie wchodziło w poczet nauk lub myśli bezpośredni związek mających z przedmiotem badań lub zawodu, któremu się poświęcili. U niektórych specyalność ta dochodzi aż do jednostronności, i tak stać się musiało koniecznie u ludzi zapominających, że wszystkie nauki i sztuki tajemnym pomiędzy sobą połączone są węzłem, i że nawzajem się doskonalą i uszlachetniają. Mówił o tém

Cycero na sto lat blizko przed Chrystusem, lecz Cycero nie jest bohaterem Anglików, zarzucają mu brak stoicyzmu, godności i odwagi, temuż samemu Cyceronowi którego Rzym nazwał ojcem ojczyzny:

Roma patrem patriae Ciceronem libera dixerit.
Juvenal.

Ciasno pojmują Anglicy głębokość nauk i wyjawiają to najoczywiściéj względem wielostronnie usposobionych lub usposabiających się ludzi. Łatwo się na tém spostrzeże cudzoziemiec i najczęściéj pyta przyczyn tego ciekawego, czasem niewygodnego mu zjawiska.

Wstręt Anglików do wszelkiego rodzaju wszechstronności pochodzi z idei materyalnéj, jaką sobie stworzyli o działalności i wartości władz umysłowych. Przyjmują punkt saturacyi rozumu myślami, tak jak gdyby ten rozum był butelką lejdejską, która przesycona elektrycznością sama exploduje lub téż gąbką zdolną napawać się pewną tylko ilością wody, lub téż tablicą z dziurkami, w którą pewną tylko ilość kołeczków wsadzić można. Tę elektryczność, wodę lub kołeczki przedstawiają im myśli ludzkie, i ztąd pochodzi że wolą sobie napełniać rozum raczéj do zawodu służącemi myślami, jak w dalekim stosunku z nim będącemi.

Porównania tego płytkiego, pospolitego byłbym nie użył, gdyby inne wyszukańsze lepiéj rzecz malowało. Przekonamy się późniéj do jakiego stopnia Anglicy materyalizują pojęcia o rzeczach najidealniejszych, podpadających jedynie pod zmysły ducha.

Nie myślę wcale ganić w professorach angielskich dążności praktycznéj, i ubolewać nad tém żem w nich

nie znalazł téj barwy wszechstronności filozoficznéj, którą przesiąkli Niemcy i za którą wcale nie miałem powodu tęsknić. Nie widziałżem raz professora naszego chirurgii rozprawiającego nad chorym, którego miał operować, z nożem w ręku pół godziny o filozofii Szelinga z powodu cięcia trójkątnego mającego pozbawić narośla chorobliwego. Wątpię czy ta rozprawa bardzo uczona o filozofii naturalnéj przyłożyć się mogła w najmniejszéj części do dobrego rezultatu operacyi; może téż miała służyć choremu zapewien rodzaj chloroformu, i odurzyć go i uspić.

Nie widziałżem raz, (mówię jeszcze o Niemcach i filozofach, lecz już nie o professorach), nie widziałżem raz pewnego żandarma pruskiego, który dowodził swemu więźniowi doktorowi filozofii D. na zasadzie filozofii Hegla, że ufać na słowo honoru więźniowi, byłoby nie być żandarmem pruskim, lecz istną kontradykcyą siebie samego.

Tak nie ganię praktyczności Anglików, wybaczam im nawet suchość praktyczną, lecz żałuję, że się niepotrzebnie trwożą swemi za bardzo skromnemi wyobrażeniami o niedostateczności rozumu ludzkiego i przez to wyzuwają z wszelkich sposobów okraszenia i najsuchszéj nauki bez ujmowania jéj głębokości. Wszakżeż i owocowy ogród tak pożyteczny można zrobić miłym oku i ozdobnym bez szkodzenia drzewom i psucia miejsca. Tego nie pojmują Anglicy, i dumni są z tego że ich nazywają *matter of fact men*, tojest ludźmi niespuszczającemi ani na chwilę celu z oka swego.

Czas schodził mi przyjemnie w owym Londynie, który mnie przy wstępie tak przestraszył, dzięki wpły-

wowi tajemnemu, ukrytemu, jedne zaprosiny goniły drugie: bale, koncerta, wieczory i obiady następowały szybko po sobie. Zrobiłem wiele znajomości. Część ich uprzejmie wyjawiała mi chęć pozostawania w stosunkach przyjacielskich ze mną, o szczerości wątpić nie mogłem, znałem już Anglików jako ludzi nieponiewierających owych oświadczeń.

Lecz nadszedł czas, w którym koniecznie trzeba było upamiętać się i przypomnieć sobie żem nie przybył do Anglii ani z méj woli ani dla méj przyjemności, że mnie los nie zarzucił tak daleko od mego kraju na zrywanie kwiatów. „Teraz nie jesteś już samotnym, rzeknę razu pewnego sam do siebie examinując mą kieszeń, obeznałeś się z miejscowością i zwyczajami, masz zacnych znajomych, dobrych przyjaciół, masz nawet to coś oddawna szukał, masz ideał, ideał w jednéj osobie, a nie składkowy w trzech osobach, na jakim dotychczas w niedostateczności szczęścia twego musiałeś przestawać; już nic ci nie brakuje do szczęścia życia, prócz—sposobów do życia. Dość ważna i na uwagę zasługująca kwestya, którą jeśli nie zdołasz dobrze rozwiązać, znajomi twoi cię nie poznają, przyjaciele stronić będą, a ideał? któraż kobiéta chciałaby być ideałem człowieka nieumiejącego się majątkiem, urzędem lub pracą utrzymać na wysokości jéj stanu? Mnie tylko pozostała praca, jako jedyny środek zabezpieczenia sobie bytu—lecz to mnie nie trwożyło: tyloletniém doświadczeniem nauczony wiedziałem że niczém dla mnie było pracować dwadzieścia trzy godzin dla zapewnienia sobie swobody i przyjemności w dwudziestéj czwartéj i w téj jednéj godzinie czułem w sobie tyle życia, tyle szczęścia, rozkoszy i dumy, że mi nawet nie przy-

szło na myśl zazdrościć owym uprzywilejowanym synom ziemi, dla których życie jest tylko jedną zabawą.

Myśl wejścia w stosunki literackie z czasopismem lekarskiém „*The british Lancet*“ urzeczywistniłem o tyle, żem codziennie poświęcał kilka godzin czasu na spisanie kilku rozprawek chirurgicznych w języku angielskim, pracy dla mnie zupełnie nowéj, pomimo bowiem najsilniejszych starań trudno jest dogodzić stylem publiczności angielskiéj, zanadto zaniedbującéj go w toku mowy potocznéj, lecz bardzo wymagającéj w drukowanéj. Przypadek czy téż zrządzenie Boskie obdarzyło mnie pomocnikiem w osobie missyonarza angielskiego.

W jednéj z mych samotnych ukochanych wycieczek do niemego mego przyjaciela, do góry pierwiosnka spostrzegłem przechodząc przez park Regonta missyonarza każącego na gołém polu słowa Boże zgromadzonemu ludowi, przybliżyłem się do gruppy i pozostałem tak długo jak trwało kazanie. Kaznodzieja był młodym człowiekiem, czarny frak jego dość wytarty choć czysty świadczył o ubóstwie, czoło i oczy nie połyskały gieniuszem, lecz w téj twarzy bladéj, wychudłéj było wiele uczciwości, wiary, a nawet w niektórych chwilach—natchnienia. Celem wszystkich mów jego było wykazać w prostych, ludowi przystępnych słowach żywioły szczęścia, życia i zbawienia zawarte w piśmie świętém — za to mu towarzystwo kaznodziei polowych (*Society for field preaching*) dawało 20 złp. na tydzień i mieszkanie czyli raczéj nocleg tylko w domu missyi.

Przechadzki me odbywałem prawie codzień o téjże saméj godzinie tak, żem kilka razy napotkał missyona-

rza naszego przy pełnieniu owych obowiązków, każdą razą stawał i słuchał wykładu jego aż do końca, a potém niezmiennie szedł daléj na mą górę.

Tym nabranym zwyczajem wpadłem w oko missyonarzowi; rzadko w swém życiu zdarzyło mi się zwrócić uwagę jakiego gentlemana, jeżeli który się zbiżył do gruppy, to chyba na chwilę tylko i szedł daléj uśmiechając się szydersko. Na twarzy méj nie spostrzegał nigdy szyderstwa, a przypisując uwagę mą li tylko pobożności, (z wstydem wyznam że się do niéj mieszała także chęć korzystania z dobréj wymowy języka angielskiego) śledził przyczyn mych smętnych samotnych przechadzek w jakiémś tłoczącém mnie nieszczęściu lub w jakiéjś zgryzocie sumienia,— odważył się iść zdaleka za mną, i nie zatrzymał się jak u stóp góry pierwiosnka. Wachał się czas niejaki, lecz nareszcie wolno wszedł na szczyt pagórka, zbliżył się do mnie i kłaniając się pokornie, bojaźliwie nawet, rzekł do mnie: „Niech mi pan raczy wybaczyć—proszę jak najuniżeniéj—lecz miłość jedynie chrześciańska mną powoduje, a nie płocha ciekawość. Widuję pana często przysłuchującego się tak nabożnie słabym mym kazaniom, przechodzącego się tak samotnie, pogrążonego w myślach, rozmawiającego z samym sobą. Musisz mieć jakieś głębokie zmartwienie; nawet zgryzotę, pragniesz może pojednać się z Bogiem, któregoś miał nieszczęście obrazić?“

„Brawo mój kaznodziejo dobrodzieju, dwa tygodnie temu wzięto mnie na témże samém miejscu za waryata, dziś biorą za bezbożnika; widzę jasno, że awansuję w opinii publicznéj. Nie panie, uspokój się.

Ja jestem tylko podróżnym, sentymentalnym podróżnym, na sposób waszego Sterna.“

Missyonarz: „Broń pana Bóg Wszechmogący od tego nieszczęścia, wszakżeż Stern był najgorszym bezbożnikiem, i teraz pokutuje w piekle za wszystko złe co wyrządził mowami swemi i bezecnemi pismami.„

Ja. „Masz więc, policya mianowała go waryatem, aby go uwięzić, teologia mianuje go bezbożnikiem, aby go potępić w oczach potomności; a ja myślę że był zdrowych zmysłów i dobrym człowiekiem, i ze jedynie excentrycznością swych pomysłów ściągnał na siebie gniew jednéj i drugiéj.„

Ztąd wszczeła się między nami długa rozmowa, w któréj starałem się przekonać nowego znajomego, że ja mam słuszność, a on się myli. Z teologią przynajmniéj rozumować można bez obawiania się skutków. Zamiast com miał towarzyszyć gościowi, on musiał pójść ze mną do poblizkiego *Hempstead* na porter. Trzeba wiedzieć, że wszyscy missyonarze angielscy lubią porter narodu swego, nawet w tych krajach gdzie butelka kosztuje rubla.

Za powrotem naszym do miasta zadeszczyło się, poprosiłem nowego znajomego do siebie dla przeczekania deszczu, mieszkał bowiem aż za *Temple-Bar*, o dobre pół mili polskiéj, i tu u siebie, widząc go tyle usłużnym i skromnym, wpadłem na myśl użycia teologii do wydoskonalenia chirurgii, tojest do poprawienia stylu mych redakcyj. Missyonarz podjął się téj pracy z wielką gorliwością i ochotą. Przychodził do mnie kilka razy na tydzień, kiedy mu ulewy nie pozwalały pełnić służby na ulicach i placach publicznych, i nic nigdy przyjąć nie chciał w nagrodę za swe wa-

żne usługi. Czasem tylko, kiedy mnie widział w stosownėm usposobieniu, wyciągnął biblią z swéj kieszeni, padł na kolana prosząc Boga: aby mu dał siły przekonania méj duszy zanadto zajętéj światowością, o świętości wiecznego, do odrodzenia ludzkości przeznaczonego pisma i przeczytał z uroczystością traktat jaki z ewangelii lub téż z psałterza. Wtenczas spostrzegłszy na twarzy méj wzruszenie—a jakżeć można było pozostać obojętnym na widok téj gorącéj pobożności, o któréj szczerości zupełne miałem przekonanie? wtenczas mówię był uszczęśliwionym w swéj duszy, a radość serca świeciła w oczach jego i rumieńcem występywała na bladém obliczu. Wtenczas starał się spożytkować na korzyść mego *odrodzenia* wszelkie wzruszenie mego serca—i nieraz udało mu się oderwaną od ziemi duszę unieść w wyższe sfery, tam gdzie niémasz przeświadczeń, ale gdzie jest wiara—wiara zupełna—bez myśli—bez powątpiewania; tam, gdziebym był tak chętnie pozostał całe me życie, zkądbym był z własnéj swéj woli już nigdy nie chciał wracać na ten padoł płaczu i zgryzot, na którym Bóg chciał abym się rodził, ja syn jego z ducha—syn ziemi z ciała, a ciążący niém tyle, choć jest słabe i wątłe. Spadałem, stokroć nieszczęśliwszy po mym upadku jak przed wzniesieniem. Lecz w mym głębokim smutku rozpływały się, jak w bezdennych a czystych odmętach oceanu wszystkie inne ziemskie smutki jak owe brudne rzeki do morza wpływające, i w samém nieszczęściu znajdywały ulgę, gdyż przyczyna jego była boską. A rzewne łzy, które twarz mą zalewały były łzami niebieskiemi, gdyż je nie wyciskała ani przemoc ludzka ani własna zazdrość, ani ból ciała, ani

nieszczęście sprowadzone winą bliźnich — byłyto łzy tęsknoty do téj wspólnéj nam ojczyzny, jedynéj jaką *my* posiadamy.

Biedny *Saunders* (tak się nazywał mój missyonarz) odwiedzał mnie przez kilka miesięcy — lecz nagle smutna w nim zaszła zmiana — nikł oczywiście, kaszlał, głos swój stracił i gorączkę miewał w wieczór. Byłyto suchoty galopujące, tak mordercze w Anglii. „Panie *Saunders*, mówiłem mu, zaprzestań pan kazać i wystawiać się na słoty, ten katar może zły wziąść obrot.“ „Ten katar, odpowiedział mi, dawno już nie jest katarem, pan wiész o tém i ja także. Szanować się byłoby mą powinnością, gdyby mi sumiennie choć najmniejszy pozostawał promyk nadziei ratunku. Ja wiem, gdzie idę, i Bogu dziękuję, że mnie tak miernemu ze wszech miar stworzeniu dozwoli umrzéć w Jego bezpośredniéj służbie; i dziękuję mu rzewnie że mnie natchnął myślą poświęcenia się jemu jeszcze wtenczas, kiedym był zdrów i silny i nie mógł przewidziéć mego końca, tak że przed sobą samym wolnym jestem od podejrzenia jakobym spekulował na tę piękną śmierć dla zaskarbienia sobie jedynie łaski Jego. Zresztą, proszę pana, nie mówmy już nigdy o tém. Pan jako lekarz jesteś przekonanym, że nic mnie nie uratuje — ja zaś widząc mych współbraci umierających po największéj części w kwiecie wieku, na też samą chorobę — wiem doskonale co mnie czeka, i Bóg wié jak rzewnie go proszę: żebym nie skalał reszty życia mego dumą z tego co mnie czeka.“

Kilka tygodni późniéj *Saunders* zaprzestał przychodzić do mnie. Przewidywałem przyczynę i pobiegłem do missyi. Leżał biedny Missyonarz w infir-

meryi z innym jeszcze kolegą także suchotnikiem.— Śmierć bujała nad oboma, wachając się na którego naprzód uderzy.

Nie wiedziałem, że można umierającemu tyle sprawić radości, ile ja sprawiłem *Saundersowi* mym widokiem. „*O thou kindhearted creature* (o ty dobroduszne stworzenie! Anglicy nie używają zaimka drugiéj osoby jak w chwilach najuroczystszych)—nie zapomniałeś biednego missyonarza, i nie lękałeś się być świadkiem śmierci Chrześcianina. Bóg ci wynagrodzi zostawiając ci jéj obraz głęboko wyryty w pamięci.“ Umarł dopiero na trzeci dzień w mych oczach. Towarzyszyłem mu do grobu: Prócz kilku missyonarzy, kilkunastu wyrobników dawnych jego przyjaciół i po części krewnych, starych rodziców także wyrobników, których wspierał częścią swego szczupłego zarobku— nie było nikogo na pogrzebie jak dwóch członków towarzystwa biblijnego i ja. Jeden z tych panów odczytał nad grobem zamiast mowy pochwalnéj suchy raport z działań *Saundersa.* Podczas 31 miesięcy spędzonych w służbie czynnéj jako missyonarz miał pod gołém niebem przeszło 4,000 kazań, z których żadne nie trwało mniéj jak pół godziny—Było czém zerwać i żelazne płuca.

Śmierć towarzysza mych prac, któremi wstępowałem czynnie w życie Anglików, któremi przy wielkiém wprawdzie wysileniu umiałem sobie na swoje zarobić, — śmierć przyjaciela, który mię krzepił gorącą swą wiarą—była piérwszym bólem głęboko mnie rażącym w tém mieście, w którém ich tyle i tak dotkliwych miałem doświadczyć.

Redakcye me chirurgiczne miały szczęście bardzo podobać się panu *Walkléj* magistrowi chirurgii, redaktorowi *Lancety* brytańskiéj i członkowi parlamentu, ofiarował mi pięć funtów szterlingów, tojest dwieście złp. za arkusz druku rozpraw, dwa razy zaś tyle za arkusz druku rewizyj i krytyk, mianowicie krytyk operacyj wykonanych przez chirurgów znakomitych, których mi dał listę. „Musisz sobie pan wyrobić wstęp do szpitali, udać że nie rozumiész po angielsku dla oddalenia od siebie wszelkiego podejrzenia, a dobrze patrzéć na palce tych dostojnych grzybów szczęścia, tych doktorów medycyny i chirurgii mianowanych przez uniwersytet oxfordski, gdzie nawet sali anatomicznéj niéma — tych niesumiennych ludzi, którym się zdaje, że mają rozum dlatego że zdobyli z łaski arystokratów tytuły, stopnie i ogromne dochody. Tych zniszczmy w opinii publiczności, wykażmy z głęboką erudycyą, z nieskończonym dowcipem i bystrością że są szarlatanami i fuszerami; —nie żałujmy uszczypliwości, bądźmy nielitościwemi w obronie praw cierpiącéj ludzkości i nastawajmy na stan rzeczy, który królowi nawet nie pozwala wybrać sobie dobrego lekarza, dlatego że nie chcąc nadwerężyć systematu Torysów musi sobie wybrać najarystokratyczniejszego. Kiedyż to biedny nasz dom panujący będzie mógł miéć przynajmniéj tak dobrych lekarzy jak mają nasi ubodzy“ dodał z westchnieniem radykalny deputowany, dając mi tém do poznania że wierzy dziennikom opozycyjnym utrzymującym z trudną do uwierzenia śmiałością, że *Wilhelm* IV źle był leczonym w swéj chorobie.

„Racz mi pan powiedzieć kto jest autorem artykułów dotychczasowych o operacyach professora *Dieffenbach?*" zapytałem pana *Walkley*.

„To własny synowiec professora, to doktor *Ernest Dieffenbach* żyjący tu w Londynie, przybyły z Zurich z Szwajcaryi razem z innemi wychodźcami niemieckiemi" odpowiedział pan redaktor.

„Wówczas ja nie mogę odbierać mu pracy, byłoby to złym czynem" rzekłem.

„Niech Pan nie myśli, że tém nadweręża swe sumienie. D. *Ernest Dieffenbach* nie zna jeszcze swego stryja i w ogólności słabe ma wyobrażenie o chirurgii; nigdy nawet, dla słabości wzroku i słuchu nie może w tym zawodzie dostąpić wydoskonalenia. Artykuły chirurgiczne pisał z niechęcią, na me jedynie nalegania; spodziewałem się zaostrzyć ciekawość publiczności magicznym wpływem jaki tu u nas wywiera samo nazwisko *Dieffenbach*. Lecz wyznaję, że się ta spekulacya nie udała. Doktor *Dieffenbach* jest erudytą niemieckim, uczniem professora *Schönlein* (*), którego nazwisko sławném się staje na cały świat. Użyjemy go do rozpowszechnienia jego sławy w Anglii, do obznajmienia świata lekarskiego z systemem własnego professora. Obaj na tém skorzystamy. Radzę panu zapoznać się z D. *Dieffenbach*, jestto człowiek wielostronnie uczony, bardzo miły w towarzystwie, pełen uczuć pałających i żywych pomysłów. Oto jest adres jego!"

Stosunki me z prawodawcą angielskim były zawsze bardzo przyjemne. W krótkim czasie miałem

(*) Wówczas był jeszcze professorem w Zurich.

zyskać całe jego zaufanie. Powierzał mi najważniejsze prace, wyrobił miejsce lekarza przy *foreign dispensary* przynoszące wiele zaszczytu i nadziei na przyszłość, lecz na chwilę pracę tylko, wydatki na dorożki, a żadnego zarobku. Zapraszał na obiady gdzie się zapoznałem z wszystkiemi prawie znakomitszemi radykałami. Różnią się ci panowie pod wieloma względami pomiędzy sobą, lecz jednę stronę mają wspólną—nie wierzą w doskonałość własnych doktryn choć je ogłaszają w życiu publiczném całemi siłami swych płuc i zdawałoby się przynajmniéj serca. W życiu prywatném żyją tak jak wszyscy inni synowie Anglii, nie odstępują od przesądów, przywyknień i zwyczajów rządzących Anglią. Brzydzą się motłochem, ścigają za fortuną, a piérwszy kieliszek przy każdym obiedzie piją za zdrowie królowéj.

Jednego dnia wyczytuję w dzienniku, że pan *Walkléj* został mianowanym przez ministra *Coronerem Londynu*, tojest urzędnikiem czyniącym wizyą ciał zabitych lub schodzących z świata nienaturalną śmiercią,—że przyjął urząd ten zyskowny—a zatém że się wyrzekł krzesła swego w parlamencie, gdyż w Anglii nie można być razem urzędnikiem ministeryalnym i deputowanym. Teraz dopiero pojąłem radykalnego doktora, któremu, nie wiedząc o tém, pomagałem memi artykułami krytycznemi do stania się strasznym, dla swych przeciwników, do wymożenia koncessyi, do osiągnienia celu jego ambitnych życzeń.

Podjąłem się téj mozolnéj pracy, rozumiałem służyć światu i Hipokratesowi i wytrwałem w niebezpiecznym ślizkim zawodzie krytyka bezimiennego. Ale—

teraz przekonywam się, że szlachetne me pobudki spotrzebowano na dopięcie osobistych widoków.

Ja byłem tylko podrzędném narzędziem w ręku intryganta politycznego, a mój biedny *Saunders* unikający z taką troskliwością wszelkiego złego czynu, wszelkiéj złéj myśli, gdyby był wiedział, że krytykując operatorów—szarpaliśmy jedynie Torysów, żeśmy prześladowali ludzi za ich opinie polityczne?

Lecz taki jest świat, słaby służy mocniejszemu, pomimo że jest szlachetnym, często nawet dlatego tylko że jest szlachetnym.

Byłto drugi cios dla mego serca, tém boleśniejszy że połączony z odczarowaniem, z tą poczynającą się śmiercią złudzeń tak drogich młodości.

Przyszedłszy do domu spaliłem z gniewem resztę krytyk, było ich przeszło arkusz druku. Na twoję to cześć czynię biedny Missyonarzu! mówiłem sobie; do pana Walklej już nie wracałem, on mnie także nie zapraszał, z czego byłem bardzo zadowolniony, gdyż tém dał poznać że pojmuje mój gniew i że go usprawiedliwia w wnętrzu swego sumienia. Razu jednego spotkaliśmy się przypadkiem, wywinąć się nie było można żadnym żywym sposobem. „Doktorze, rzecze do mnie pan Wakley, wiem że pozostały jeszcze u pana obserwacye w szpitalu zbierane (tak nazwał tą razą krytyki professorów torysowskich) racz mi je pan odesłać.„ „Spaliłem je w dzień nominacyi pańskiéj na *Coronera* z radości że się panu tak dobrze powiodło skoczyć jednym susem z parlamentu aż do kruchty“ odpowiedziałem śmiejąc się dość serdecznie.

P. W. „Ach bah! umarli przynajmniéj nie mówią i tojest zysk dla mych uszów znękanych gadulstwem

naszych prawodawców. Ale wróćmy do naszych obserwacyj, wiem że ich było do trzech arkuszy. Chętnie Panu wynagrodzę pracę pańską, choćbym z niéj nie miał korzystać. Trzydzieści funtów jest na pańskie rozkazy.“

Ja. „Nie mam do nich prawa—praca spalona, żadnego po niéj śladu i nie było jéj za tyle pieniędzy.“

Pan W. „Nie gardź pan pieniędzmi, zima się zbliża. Pan nie wiesz co to zima angielska—jak trudno ją przebyć. Zresztą nie bądź pan lepszym Anglikiem niż my sami. Nigdy Anglik nie zdradzi swego kraju—lecz dla zdobycia 2,000 funtów szterlingów rocznego dochodu wielu jest gotowych pomiarkować się w swym błędzie.“

Ja. „Szczególniéj ci, co się od dziesięciu lat umyślnie mylili dla dania światu pocieszającego widoku—wyrzeczenia się samego siebie w chwili stanowczéj.“

P. W. „Jesteś pan nieubłaganym widzę. Za parę lat inaczéj będziesz sądził o rzeczy—kassa redakcyi winna panu 30 funtów—żegnam pana.“

Widząc z jednéj strony prawodawców angielskich oddawanych w życiu prywatném panowaniu najdrobniejszych namiętności i przesądów, w życiu zaś polityczném często poświęcających zawód swój polityczny dla zyskania losu, podziwiając z drugiéj strony wielkie rezultata życia publicznego Anglików: budowę polityczną sztuczniéj skomplikowaną jak ów zegar Sztrazburski, a jednak tak silną i żywotną że z jéj kół w ciężkich czasach, w wojnach Napoleońskich, nie zdołała się wywinąć ani jedna piędź ziemi zachaczona zębami i karbami prawnie lub nieprawnie,—owę budowę, towarzyską, która od dwóch wieków idąc swoim

systematem i torem podbija najodleglejsze ludy dla wpojenia im własnych wyobrażeń o prawach człowieka i powinnościach względem Boga; podziwiając zamiłowanie się Anglików we wszelkich szczytnych pojęciach o filantropii i religii, ich przedsiębierczość, stałość z jaką przeprowadzają w życie i to na największą skalę, nie szczędząc żadnych ofiar i pracy, idee zaszczyt i szczęście przynoszące całéj ludzkości — nie byliśmy w stanie pojąć odrazu, czém i jak zdołamy sobie wytłumaczyć owe oczy rażące sprzeczności, zachodzące w charakterze wielkiego narodu pomiędzy którym żyłem. Im więcéj się zastanawiałem nad nim, im ściśléj wchodziłem w życie praktyczne, im rozważniéj zgłębiałem przyczyny słów i działań indywiduów, a żadne słowo, żaden giest i krok Anglików nie był dla mnie bez znaczenia, tyle bowiem spostrzegłem już z początku że Anglik jest wskróś systematycznym i do tego stopnia godnością swą przejęty, że nie zrobi nigdy najmniejszéj koncessyi z swego sumienia dla osiągnięcia chwilowéj jakiéj korzyści lub wyjścia z chwilowego ambarasu — gdyż prawdę tu wielbią przedewszystkiém--im więcéj mówię zastanawiałem się nad tym narodem, tém goręcéj pragnąłem znaleść klucz do zagadki, któréj odgadnięcia napróżno szukałem w rozmowach z ludźmi uczonemi. Anglik w pojęciach swych o religii, moralności i polityce --rozumuje jak ów śmiały żeglarz: niech grunt morza nie będzie najeżonym zdradliwemi skałami i piaskami—niech powierzchnia jego nie straszy wściekłemi bałwanami — a mało dbam o to czy się jakie potwory w jego odmętach kryją. Oto prawdziwy wierny obraz sposobu myślenia Anglika--przekonanie oparte na téj saméj dumie, któ-

ra jest kolebką wzgardy jego dla bezsilnych oprzéć się niezdołających nieszczęściu — lub téż niemogących dotrzymać mu kroku w ubieganiu się za wspólnym celem.

Oto jest obraz jego sposobu myślenia; ale w czémże go czerpali? ten sposób myślenia tyle odrębny od wszelkich naturalnych operacyj umysłu i czucia? Obeznawszy się bliżéj z filozofią *Lockiego* znalazłem w niéj źródło najtajniejszych pobudek części myślącéj Anglików i przesądów ogółu pociągniętego i rządzonego wpływem *myśli* lub téż naśladującego ludzi myślących w tém wszystkiém w czém syn ziemi naśladować może wyższych sfer dziecko.

Filozofia powinna być głosem najgłówniejszéj potrzeby intellektualnéj każdego wieku. W życiu narodów następuje epoka w któréj ludzie uczuwają głęboko potrzebę tolerancyi i wolności, w któréj zapragną dla swych myśli wspólnego organu. Każda prawdziwa potrzeba ogólnie i głęboko uczuta znajdzie swego apostoła. Nim był dla Anglii dwa wieki temu Jan *Locke.* Wychowany w uniwersytecie oxfordskim otrzymał w kollegium Chrystusa, stanowiącém część téj wszechnicy, posadę *sine cura,* która mu dozwoliła oddać się naukom. Nauczył się sztuki lekarskiéj, lecz jéj wykonywać nie chciał. Zaprzyjaźnił się z *Ashleyem Cooper* późniejszym hrabią Shaftesbury i zatrudniał wychowaniem jego syna. Hrabia mianowany ministrem powierzył mu ułożenie konstytucyi Karoliny, i dał mu znakomity urząd. Lecz minister popadł w niełaskę a protegowany poszedł do Irlandyi dzielić wygnanie—za co został zaocznie skazany na utratę swych urzędów i dostojności. W Irlandyi oddał się zgłębie-

niu filozofii i wrócił do Anglii razem z księciem Oranii. Mianowany został głównym kommissarzem handlu i kolonij, do miejsca tego przywiązane były znaczne bardzo dochody—lecz złożył tę dostojność po pięciu latach dla słabości zdrowia, i pomimo silnych nalegań króla nie chciał zatrzymać dochodów urzędu, którego sprawować nie był w stanie.

Lockego uważano już za życia przedewszystkiém jako apostoła wolności politycznéj i praktycznéj; dziś jest więcéj znanym jako filozof, jako stwórca metafizyki nowoczesnéj. W swym sławnym traktacie o umie ludzkim, przedsiębierze poszukiwać początek, wartość naszych wiadomości, nie przypuszcza żadnych wrodzonych idej, uważa duszę człowieka w chwili urodzenia jako czyste pole, tłumaczy wszystkie nasze pomysły jako nabyte doświadczeniem, zkąd dwoma wyradzają się kanałami: sensacyą czyli pojmowaniem wrażeń, i reflexią, czyli zastanowieniem, i przyznaje tylko wartość wiadomościom z wymienionych źródeł wypływającym.

Filozofia ta znalazła namiętnych zwolenników pomiędzy Anglikami—dziś jeszcze jest systemem ludzi umiejących sobie zdać rachunek z swych myśli, a przesiąka ogół żyjący w podległości panujących pojęć filozoficznych. Piękność, śmiałość i prawość charakteru filozofa, jednoczesność wpływu jego teoryj z epoką tak ważną dla wolności myślenia, wszystko się połączyło dla nadania mu przewagi nad umysłem Anglików, a wiara jego w nieśmiertelność duszy oślepiła ich tyle, że się nie poznali na materyalizmie jego doktryn.

Mało jest ludzi umiejących ocenić wpływ silnéj duszy wywierany nieznacznie na massę ludzi i na epokę; umysł powierzchowny nie zdoła nawet pojąć możebności objęcia skutków i owoców myśli żywotnéj, rzuconéj na grunt urodzajny umysłów pragnących punktu oparcia dla zdań swych, wiary i czynności. Narody dbałe o swój byt rządzą się uczuciem tylko tak długo, dopóki to wystarcza dla zabezpieczenia im istności. Wyszedłszy zaś z epoki swéj patryarchalnéj i wszedłszy w stosunki rywalizacyi lub nieprzyjaźni z ościennemi narodami zawsze gotowemi do zagarnięcia tego, czego im się dostatecznie nie broni, a zawsze przemyśliwającemi nad środkami swego wzrostu; narody mówię jeśli są myślące, jeśli zwierzęcy instynkt własnéj konserwacyi doszedł w nich do jasności rozumnéj zachowania swego bytu politycznego, uznają niedostateczność uczucia jako pohopu i sprężyny do wspólnych działań. Któż lepiéj o tém wiedziéć powinien, jak my niestety. Wszakże w imieniu jednego i tegoż samego uczucia szlachetnego, jedni poddawali się losowi dla oszczędzenia krajowi rozlewu krwi — a drudzy postanowili walczyć przeciw niemu i rozlewać krew własną swoję i obcą.

Prócz systemu nierządu, którego nazwisko zawiera *contradictionem in adjecto* a rzecz *tardam confessionem culpae*—każdy inny oparty tylko choć na jakimkolwiekbądź ułamku wiecznéj prawdy skojarzy umysły i wywoła wspólne działanie. System *Lockego* choć tak ułomny ze względu na zmateryalizowanie części jego—umiał połączyć wszystkich Anglików pod jeden sztandar w trudnéj przeprawie sprowadzonéj zmianą jednoczesną formy rządu, dynastyi i wyznania.

Pojmuję zachwycenie Anglików systematem *Lockego* — dlatego właśnie że jest prostym i dość materyalnym dla ich pojęcia wówczas nieokrzesanego.

System *Lockego* choć jest niekompletnym, choć zanadto hołduje empiryzmowi, choć się zanadto skłania do materyalizmu i fatalizmu, nie narusza głównych zasad religii, tojest nieśmiertelności duszy, i dlatego wystarczył Anglikom, wprowadzonym nawet został do Holandyi przez *Leclerka* i S. *Gravesanda*, do Francyi przez *Voltaira* (Lockego myśli o wychowaniu dzieci zawierają zarodek *Emila Jana Jakóba Rousseau*) i upowszechnionym przez *Condillaka.*

Leibnitz i *Cousin* zbijali późniéj zasady *Lockego*. Filozofia w Niemczech zidealizowana przez *Kanta* przybrała tę postać eteryczną w jakiéj ją oglądamy.

Lecz temu się dziwię, że Anglia nie zrobiła żadnego postępu w wiadomościach metafizycznych od *Lockego*. Mała nader liczba przeszła do szkoły szkockiéj, do szkoły *Reid'a*; inni wytrwali w zasadach *Lockego* przejściem do *Helwetiusza,* kilku odważyło rzucić się na nieznane morza filozofii *Kanta* właśnie w chwili kiedy ją Niemcy jeszcze prześli. Lecz w zastosowaniu filozofiia *Lockego* była jeszcze systemem Anglików w czasie mego w niéj pobytu, i wszystko co dodali do jego moralności przesiąkłém jest jego systematem.

Przywiązaniu się Anglików bezwzględnemu do filozofii *Lockego* przypisać należy owe formy antyspirytualne które filozofia angielska zachowała dotąd.— W żadnym uniwersytecie nie uczą innéj filozofii przynajmniéj *urzędowo*. W *Cambridge* zaś tak wyłącznie i ślepo idą za *Lockem* że się nawet nie radzą autorów zbijających lub uzupełniających jego system.

Filozofia im jest więcéj materyalną, tém łatwiéj odbija się w życiu praktyczném narodów, tém łatwiéj przesiąknie swym duchem ich moralność. Na dowód téj prawdy służy rzadkie, potworne mógłbym powiedziéć zjawisko sławy i wzięcia *Paleya* jako moralisty.

Wilhelm Paley teolog i moralista angielski (urodzony w roku 1743, a zeszły z tego świata w r. 1805) był professorem teologii w uniwersytecie kambryckim. Dr. *Law*, arcybiskup Carlislu mianował go swym arcydyakonem, potém otrzymał kilka korzystnych posad, lecz nie mógł zostać biskupem gdyż podejrzywano jego ortodoxię. Pozostawił kilka dzieł uważanych za klassyczne w szkołach angielskich mianowicie: *The Elements of moral and political philosophy*, w niém wspiera moralność na woli Boga objawionéj przez pożytek ogólny (*general utility*).

Z wszystkich systematów samolubstwa jawnie ogłoszonego, systemat *Paleya* jest może najsurowszym utworem rozumu ludzkiego. Definicya jego o cnocie wystarczy na charekterystykę całego kodexu moralności. Cnota jest aktem dobrze czynienia ludziom w posłuszeństwie woli Boga i dla zdobycia szczęścia wiecznego. Takim sposobem najcnotliwsze czyny człowieka a pochodzące z innéj pobudki jak z zapragnienia nagrody boskiéj, naprzykład z wdzięczności za doświadczone dobrodziejstwa, z miłości lub czci chrześciańskiéj nie są już czynami cnoty; więcéj jeszcze, jeżeliby dusza stając się jeszcze czystszą zrzecze się wszelkiéj myśli nagrody, wówczas gwałciłaby definicyą *Paleya* i czyny jéj stałyby się grzechami.

Cóż powiedziéć o uniwersytecie, który przyjął materyalizm jako kodex metafizyki, a samolubstwo ja-

ko podporę moralności? *General utility*—pożytek ogólny, oto słowa bardzo często używane przez Anglików, jako przyczyna ich czynów i jako wymówka tego, co się mnie i każdemu z naiwnością serca o rzeczach jego tylko dotyczących sądzącemu, zdaje być przesądem. Pożytek ogólny! oto tarcza, o którą rozbijają się nawet te argumentacye, które dążą do dowiedzenia, że nie każdy, ludzkości istotnie pożyteczny talent wynagrodzonym jest w stosunku swéj użyteczności, że zatém nie sposób sądzić o wartości człowieka z tego co posiada lub w stanie jest zarobić.

Nie wytaczałbym téj sprawy, gdyby tu szło o opinią ludzi nieprzywykłych do zdawania sobie rachunku z swych myśli, lecz idzie tu właśnie o sposób myślenia ludzi ciągle rozumujących, niespuszczających nigdy z oka przyjętego systematu.

Utilitarian system, czyli system pożytku służy Anglikowi za podporę rozumu i sumienia tak wygodną i tłumaczy tak doskonale niejednę stronę ich charakteru dobrą i mniéj dobrą, że niesposób zakończyć ustęp ten, poświęcony elementarnym znajomościom filozofii Anglików, bez wspomnienia choć w krótkości o sławnym wynalazcy systemu utilitaryuszów.

Jeremiasz Bentham urodził się w Londynie roku 1748, uczył się prawa dla zostania adwokatem, lecz oburzony wadami prawa i bezprawiami panującemi w trybunałach poświęcił życie swe dla zreformowania ich i starał się odbudować prawodawstwo i politykę na nowych podstawach. Prawem jego zasadniczém jest: że w prawodawstwie i moralności nie powinniśmy przyjmować innego prawidła jak pożytek. To dało doktrynie jego nazwisko: *utilitarian system* (*système utilitaire*

po francuzku); czerpał zaś myśli do niego już w piérwszéj młodości w księdze *Helwecyusza* o duchu. Był w stosunkach ścisłéj przyjaźni z *Konwencyonelem Brissot* (gilotynowanym 31 października 1793 po upadku Żyrondystów), odwiedzał razy kilka Francyą i takiego w tym kraju używał poważania, że go konwencya zaszczyciła obywatelstwem francuzkiém. Umarł w 1832 mając lat 84. Wierny swemu systematowi pożytku rozporządził swym testamentem, aby ciało jego było zaniesioném do amfiteatru anatomicznego dla dysekcyi. Tym ostatnim czynem chciał walczyć przeciw przesądom panującym w Anglii. Do dziś dnia pokazują dobrze zakonserwowaną mumię filozofa w muzeum Jana *Huntera* w Londynie. *Bentham* wydał mnóstwo dzieł bardzo znakomitych, mianowicie: traktat o prawodawstwie cywilném i kryminalném. Taktyka zgromadzeń prawodawczych i sofizmów politycznych. Panoptyka czyli Dom inspekcyi, w którym to piérwszy raz wystąpił z propozycyą systemu mającego na celu moralną poprawę przestępców (*penitentiary system*) etc.

Piérwsze zasady filozofii *Benthama* są:

1. Że szczęście (tojest rozkosz czyli brak bolów) jedyną jest rzeczą pożądaną przez siebie samą i że wszystkie inne przedmioty pożądane są tylko dla tego, że do niego prowadzą.
2. Że sposób sprowadzenia największego jakie tylko być może szczęścia jest jedynym celem godnym namiętności i czynności ludzkiéj, a zatém powinien być jedynym celem wszelkiéj moralności i polityki.

3. Nakoniec, że rozkosz i boleść są w istocie jedynemi bodźcami, przewodniczącemi czynnościom człowieka, w jakiémkolwiek postawiony jest położeniu, i czy się to dzieje z wiedzą lub bez wiedzy jego.

Bentham mówi w swéj księdze „*O fałszywości*:“ „W sercu wszystkich ludzi (wyjąwszy rzadkie i krótkotrwałe wzburzenie się namiętności, wynik rozdrażnienia mocnego i nadzwyczajnego) interes osobisty przeważa interes towarzyski; tojest: interes indywidualny każdéj osoby, mocniejszym jest jak interes wszystkich innych osób razem wzięty.“

W innym ustępie téjże saméj księgi mówi: „Niémasz i nie może być istoty ludzkiéj, w któréjby cały interes publiczny, który miéć mogła, nie był, o ile od niéj zależało, poświęconym interesowi osobistemu. Wszystko co ludzie najwięcéj dbali o dobro publiczne tojest najcnotliwsi, zrobić mogą dla dobra ogółu, jest: czynić co tylko są w stanie aby postawić interes publiczny w położeniu sprzyjającém jak najwięcéj ich interesowi prywatnemu i usuwać wszystkie przeszkody mogące wyrodzić sprzeczność pomiędzy obiema.“

Ogłoszeniem podobnych sposobów widzenia o naturze ludzkiéj *Bentham* zrobił, zdaje mi się wiele złego, zaszkodził ludzkości i samemu sobie wyrządził krzywdę. Serca entuzyastyczne i szlachetne nabyły niém wstrętu przeciw jego innym rozumowaniom i przeciw swemu zamiarowi zrobienia z polityki przedmiotu rozwagi ścisłéj i filozoficznéj, i rzeczywiście gdyby tenże duch w niéj panował, to stałaby się jeszcze szkodliwszą niż była kiedykolwiek dla szczęścia rodzaju ludzkiego.

Lecz skutek podobnych przedstawień jest morderczym dla serca tych którzy się zaraz na nich nie poznali; — pozwolili zakraść się jadowi fałszywéj nauki i niszczyć swą moralność.

Ja utrzymuję że istnieją i że istnieli we wszystkich czasach ludzie, u których przyczyny patryotyzmu i dobrochętności spoczywały na zasadach stałych i trwałych, wyższych nad wszystkie zwyczajne pokusy często nawet wyższych nad wszystkie możliwe pokusy osobiste. Jakżeby inaczéj można wytłumaczyć sobie szczytne poświęcenia tylu bohaterów na polu sławy, i tylu męczenników znoszących dla tryumfu prawdy największe katusze, a wiedzących z pewnością, że ich żadna na téj ziemi za tajone ich męztwo nie czeka nagroda! Idąc za sądem *Benthama* musielibyśmy uważać wszystkie tego rodzaju ozdoby ludzkie za obłąkane istoty i pozbawiając siebie samych wiary w bezinteresowne, żadną brudną rachubą nieskalane uczucie—biedz ciągle tylko za tém jedynie, co dobrze smakuje, wygląda i przyjemnie łechce.

Ale jaki tryumf w doktrynie *Benthama* dla tych, którzy w głębi serca swego najbrudniejsze pielęgnują samolubstwo, których cały rozum, całe przekonanie o potrzebie obłudy nie wystarcza na pokrycie jego! Brzydki ten potworek którego się wstydzą, znalazł przecież piękne imię, nazywa się systematem *Benthama*! teraz można je prezentować światu i wprowadzić z śmiałém czołem w najlepsze towarzystwo. Mało dbam o tych—lepsi jawni samoluby jak obłudni— lecz idzie tutaj o massę ludzi tojest o tych którzy się całe życie chwieją i rzadko mają odwagę przechylić się stanowczo na tę lub ową stronę.

Dla tychto u których uczucia cnoty są słabemi, książki moralne są przedewszystkiém potrzebne. Dla tych doktryny przez *Benthama* ogłoszone są najszkodliwsze. Szlachetniejszym zarażą smutkiem i rozpaczą słabe serce, mniéj szlachetnym zaś wpoją samolubstwo suche i zimne, któremu się tém chętniéj poddadzą, im więcéj wysilano się na dowiedzenie, że egoizm jest wcielonym w ich naturę. Nie! nie tak pojmuję działanie, wpływy i skutki filozofii. Córka głów ludzkich nie może ona być wierną i jedną, choćby była siostrą rodzoną religii. Lecz choć nie wieczna sama z siebie, wiecznie powinna się opierać błędom panującym w opinii ludzkiéj w każdéj epoce. Anglia oddawna, od bardzo dawna przestała miéć potrzebę filozofii zimnéj i naturalnéj, w stanie w którym się teraz znajduje, wpływ najidealniejszéj filozofii nie szkodziłby jéj jeszcze.

A są narody w których myślach i uczuciach taki chaos, że i najskromniejsza gospodarska jaka filozofia wieleby w nich dobrego zrobiła, gdyby była przyjętą, lub przynajmniéj napisaną słowami których znaczenie w jakimkolwiek słowniku znaleźćby można.

Lecz jeśli Anglia nie posiada jeszcze tego czego jéj potrzeba, nie pochodzi to z braku ludzi pojmujących niedostatek ten, choć niemogących zaradzić jemu. Bystrości *Byrona* nie uszły wady społeczeństwa prozaicznego Anglii—lecz gieniusz jego wybrał sobie niebezpieczny sposób postępowania z rodakami poważnemi nawet w swych śmiesznościach. Szyderstwem bez litości, wytykaniem błędów prawie ad personam, wykrywaniem najtajniejszych ran społeczeństwa wyższego, zraził sobie opinię publiczną do tego stopnia, że ona go potępiła nawet w nieszczęściu familijném po-

mimo słuszności jego sprawy. Przeszedł jak meteor ognisty ponad swym krajem, zdumiał wszystkich swym blaskiem, lecz nie ogrzewał, zraził do ciemności przyzwyczajonych, i przestał na zawsze przyświecać ojczyznie. Nic nie mogło ubłagać wyszydzonych: ani nieszczęście, ani boharterskie poświęcenie, ani śmierć przedwczesna i pełna chwały. Szyderstwo poprawi tylko ludzi dowcipnych; nieświatłych zafuka, a miernych do nienawiści pobudzi.

Późniejsi literaci z mniejszą śmiałością, z mniejszym talentem walczą przeciw przesądom, materyalizmowi i sprzecznościom angielskim, lecz taktyczny, i zbawienniejszy przez to wpływ wywierają. Przyspieszają oni zjawienie się nowego apostoła, któremu tém łatwiéj będzie stać się nim, im więcéj znajdzie umysły przygotowane i dusze wzniesione; gdyż i największy gieniusz i najświetniejsza prawda oczekują swéj pożądanéj chwili do objawienia się i nie człowiek robi reformacyą tylko czas reformatora; prawda która żadnemu sumiennie powołanemu nie powinna odbierać odwagi do działania - kto nie może być Mesyaszem, niech stara się być jego Arystotelesem! Taka jest prawdziwa moralność jaką wymagają potrzeby naszego wieku, i którą pisarz jak i prawodawca, żądający dobra swego kraju, nie powinien nigdy spuszczać z swego oka;

Z tego cośmy wielokrotnie wyrzekli o materyalizmie, o samolubstwie, o przesądach Anglików w ogóle, mylném byłoby wnosić że brakuje w wielkiéj Brytanii zakładów naukowych i dobroczynnych. Od najdawniejszych czasów starają się tutaj światli i dobrzy obywatele podniecać chęć do nauk i wspierać ubogich

i chorych, lecz rząd sam nic nie czyni w tym względzie.

Niesprawiedliwością nawet byłoby pominąć w téj właśnie chwili że niémasz nieszczęścia, niedoli, braku i choroby któreby nie znalazło w czułym jakimś po części nawet z imiena umyślnie tajonym filantropie szczodrobliwego opiekuna.

Lecz wszystkie te zakłady razem wzięte nie wystarczają ani dla połowy ludności Londynu — służą jako dowód wspaniałomyślności pojedynczych, lecz nie jako dowód sumienności ogółu.

W następującym rozdziale bliżéj ten przedmiot rozbierzemy.

ROZDZIAŁ V.

Zakłady dobroczynne w Londynie — Spitale: Śgo Bartłomieja, Idziego, Jerzego — Klinika uniwersytetu londyńskiego — Professorowie medycyny praktycznéj — Usposobienie naukowe poczynających lekarzy — Pan Liston — Dyspensarye czyli poliklinika dla ubogich — Przytułek Magdaleny — Wstydliwość języka angielskiego — Niemoralność i zepsucie — Dom podrzutków — Zadatki miłości — Hotel Inwalidów w Chelsea — Dr Dieffenbach — Pan G..... i Pan Str.... adwokaci — Mniemany książę Normandyi — Filozof wynalazca systemu rolniczego — Pan Ko.... korrespondent thorysów — Pan Jae... z legii algierskiéj — Pan R... oficer Huzarów — Pan L... wsławiony w Frankfurcie — Tęsknota.

Niémasz nieszczęścia, niedoli, braku i choroby któreby nie znalazło w czułym jakimś, z imienia czasem umyślnie tajonym filantropie, szczodrobliwego opiekuna.

O zakładach naukowych licznych i rozmaitych a jednak niewystarczających późniéj pomówimy, przedmiot ten ważny będzie mymagał osobnego rozdziału.

Szpitale londyńskie liczne są i obszerne, lecz nie wszystkie dobrze położone, nie wszystkie także administrowane w sposób dla pacyentów pożyteczny. Datują z różnych epok, i dziś jeszcze zarządzane są w sposób statutami przy założeniu ich przepisany. To

co było arcy dobrém dwa wieki temu, nie zawsze może wytrzymać krytykę dzisiaj, kiedy oświata, zmiana cen żywności i lekarstw, stosunków społecznych, wywarły wpływ tak wielki na przeistoczenie potrzeb ludzkości. Ten dobrodziéj (*) który trzy wieki temu żądał, żeby na chirurgów szpitala nie wybierano jak ludzi *doświadczonych,* którzy przynajmniéj przez trzy lata u doktora jakiego *terminowali,* nie życzył sobie zapewnie żeby w połowie 19go wieku wybierano na lekarza człowieka który nigdy nie uczęszczał na kursa akademickie, i który winien tylko protekcyi królów szpitala (tak nazywają administratorów) swą posadę. A tak się dzieje jeszcze w pewnych szpitalach trzymających się litery prawa ku największéj dla ludzkości szkodzie.

W ogólności liczba łóżek zostawionych na dyspozycyę chorych nie wystarcza nawet dla połowy ludności Londynu, i Paryż w tym względzie nieskończenie wyżéj stoi.

(*) Mylnie utrzymuje rodak nasz pan Lach Szyrma że szpital Śgo Tomasza jest założonym przez króla Edwarda VI. Monarcha ten ledwie lat kilka panował i mając zaledwie lat 16, umarł w roku 1553. Szpital Śgo Tomasza jest założonym i po największéj części wyposażonym przez dobroczyńcę żyjącego za panowania Edwarda VI a nieznanego nam nawet z nazwiska, gdyż sam pragnął być wieczną tajemnicą dla potomności.—Dochody szpitala przechodzą teraz summę szesnastu milionów złp. Summa ogromna! mianowicie jeżeli zważymy że za nią administracya utrzymuje tylko 800 chorych w szpitalu i 1,500 pozaszpitalem, tak że na jednego chorego *rocznie* wypada do 7,000 złp. Funt mięsa nie kosztuje w Londynie nigdy drożéj jak 40 groszy polskich, funt najlepszego chleba białego 12 groszy, lekarstwa są tańsze jak u nas. Przy lepszéj administracyi możnaby zatém utrzymać do 2,000 łóżek w szpitalu, i do 3,000 chorych za szpitalem. I w Anglii znają się na „*theft within law*" na kradzieży w obrębie prawa.

Statuta innych szpitalów wymagają aby rekonwalescenci służyli za infirmerów ciężko chorym, tojest słali im łóżka, przenosili ich, chodzili do kuchni po strawę, zadawali lekarstwa. W skutek służby téj uciążliwéj największa część rekonwalenscentów zapada na nowo, a wielu z nich nawet umiéra (*).

Najlepiéj położony i najwykwintniejszy jest szpital Śgo Jerzego (*St. Georgés hospital*), którego posadzka jest wysłana kobiercami, łóżka zasłonięte firankami, których doktorowie są zpomiędzy piérwszych znakomitości lekarskich wybierani; służy on li tylko na przyjęcie arystokratycznéj służby magnatów angielskich, tych samych jegomości pięknych i wysokich których widzimy z pudrowaną głową z trzciną w ręku, w spodniach czerwonych axamitnych i białych jedwabnych pończochach, postępujących galonami obszytych dumnie i poważnie za żonami parów Anglii, lub siedzących w zawieszonym kabryolecie za powozem z miną zwycięzców świata.

Szczególne względy jakich ludzie ci są przedmiotem nasuwały O'Connelowi w publicznych mowach na ulicach mianych pewne niebardzo delikatne uwagi, które przytomnym miladym, wyciskały łzy gniewu i upokorzenia.

Dziwna jednakże i godna zastanowienia rzecz, że szpital karecianych strzelców i lokajów jest prawie jedynym zakładem dobroczynnym wyszłym z porę-

(*) To ma miejsce we wszystkich szpitalach prawie; przepisami postanowioném jest w szpitalu zwanym *Guy's hospital*. *Gug* księgarz londyński poświęcił na jego budowę 800,000 złp. a ogromną, bajecznie brzmiącą summę dziesięciu milionów złp. na wyposażenie.

ki bogatéj arystokracyi angielskiéj. Prawda, że zakład ten jéj téż jedynie służy.

Wszystkie szpitale są szkołami praktyki dla przyszłych lekarzy; w wielu znajdują się amfiteatra, w których wykładają anatomią i inne przedmiota sztuki lekarskiéj. Każdy doktor i chirurg przewodniczący służbie zdrowia ma prawo miéć kilkunastu uczniów, którzy pod nim dozierają i opatrują chorych, i którzy mu za to płacą 1,260 złp. półrocznie. Tém zyskują zaświadczenie z praktykowania w szpitalu pomocne do licencyatu i doktoryzacyi. Praktyka ta jest najgłówniejszém poczynających lekarzów do przyszłego zawodu usposobieniem, teoryi bowiem nadzwyczajnie mało uczą. Przeciw temu zwyczajowi używania szpitalów na naukę nicbym nie miał, gdyby uczniowie nie byli przypuszczani do praktyki szpitalnéj jak po uzyskaniu jakiegokolwiekbądź stopnia szkolnego z nauk przygotowawczych, potrzebnych do należytego korzystania z widoku i opatrywania chorych; lecz zarazem wymagałbym żeby panowie professorowie tym sposobem improwizowani zyskiwali swe posady konkursem publicznym lub przynajmniéj za sankcyą uniwersytetu, a nie faworem administracyi szpitalnéj złożonéj z obywateli bardzo godnych poważania, ale zupełnie nieumiejących sądzić o zdolnościach potrzebnych professorom medycyny.

Wybornym porządkiem odznacza się szpital północno-londyński służący za klinikę uniwersytetowi tegoż imienia. W nowym tym zakładzie wzięto sobie za wzór Hotel-Dieu paryzki. Pan *Liston* znakomity z dzieł swych i operacyj professor był chirurgiem ordynującym. Mąż ten któremu wiele winienem jako

uczeń i przyjaciel umarł w kwiecie wieku. Wielka to dla młodzieży lekarskiéj i dla ludzkości strata.

Po różnych miejscach stolicy urządzone są tak nazwane *dyspensarye*, gdzie ubogim chorym dają się bezpłatnie lekarska rada i lekarstwa do domu. Lekarz przewodniczący obowiązanym jest nawet odwiedać ubogich chorych w domu, czego jednakże nigdy nie czyni zostawiając lekarzowi do pomocy przybranemu pełnienie tych obowiązków bezpłatnie, jak ja miałem zaszczyt pełnić je podczas siedmiu miesięcy. Zakłady te byłyby bardzo dobroczynne, gdyby summa przeznaczona na lekarstwa nie była ograniczoną, i gdyby wystarczała dla wszystkich ubogich, a nie jedynie dla uprzywilejowanych opatrzonych rekomendacyą, od osoby znanéj z swéj *resputability*. W roku mego pobytu w Londynie przeszło 63,000 osób uzyskało pomoc po wszystkich dyspensaryach, których wówczas było dziewięć. Pięćdziesiąt zaledwie wystarczyłoby na miasto w którém roślinkuje do 600,000 ubogich ludzi.

Zakład znany pod nazwiskiem „*Magdalen Azylum*“ (przytułek Magdaleny) poświęcony jest żałującym za grzechy niewiastom, które za często kochały i tego żałują. Piérwsze w kraju damy opiekują się tym zakładem. W zabudowaniu znajduje się kościół w dni niedzielne dla publiczności otwarty i bardzo uczęszczany dla budujących kazań i pięknego śpiewu, wykonywanego przez biedne istoty zamknięte za kratami, i stokroć nieszczęśliwsze od czasu kiedy poznały odmęt poniżenia w które je przeszłe życie wtrąciło. Wiele téż z tych kobiét odzyskawszy wstyd, traci rozum; — tak silny jest wpływ wywierany na ich dusze kazaniami kruszącemi, względami połączonemi z pe-

wnym wstrętem którego trudno się wystrzedz Anglikom zimnym i pogardzającym nawet w swéj dobroci, nareszcie i odłączeniem od świata i krewnych. Wiele z tych istot pojednano z rodzicami, dla sierot obmyślano sposób utrzymania się uczciwą pracą. Inne popochodziły za mąż, kilkoro nawet za ludzi wyższéj klassy znających przeszłe ich życie. W Anglii, gdzie tak wysokie, szczytne mają pojęcie o godności niewieściéj, nie zabraknie nigdy oryginałów wypowiadających walkę najsilniejszym i najprawniejszym przesądom, z któremiby niewiele ludzi zechciało wojować. Wiadoma jest w Londynie, w całéj Anglii, w całym nawet świecie historya téj młodéj i pięknéj zwolennicy Bogini Cytery, z któréj bogaty bankier *Coutts* zrobił naprzód swą kochankę, póżniéj sławną aktorkę, nareszcie swą żonę; potém zaś, gdy bankier umarł i wdowie ogromny zostawił majątek, książę jeden irlandzki zrobił ją księżną i parową Anglii. Prezentowano ją na dworze, i Jerzy IV ją przyjął, choć się za tę grzeczność uszczypliwościami różnego rodzaju zemścić nie omieszkał.

Dodam jeszcze że od roku 1758 aż do roku 1848, tojest w dziewięćdziesiąt lat:

Szukało i znalazło w zakładzie Magdaleny przytułku osób . . . . 6,729.

Umarło podczas pokuty . . . . . . 353.

Rozum straciło . . . . 173.

Oddaliło się przed uzyskaniem świadectwa poprawy . . . . 1,378.

Wróciło do dawnego zawodu (*Anglicy nazywają go horizontal profession czyli poziomy zawodem*) . . . . 1,165.

Poszło za mąż w Anglii . . . . . 316.
Wyjechało za granicę w służbę . . 419.
Wyjechało na własne żądanie do Botany-Bay i innych kolonij . . . . 1,017 (*).

Amerykański statystyk któremu winniśmy te szczegóły nie był na nieszczęście ani psychologiem ani historykiem naturalnym. Byłby się dowiadywał czy wracające do dawnego zawodu istoty były młode czy stare, dla przeświadczenia się o ile temperament, a o ile przywyknięcie na powrót ten do dawnego zatrudnienia wpływał.

W mieście ludném, gdzie tyle jest nędzy, nie braknie nigdy zepsucia, chociażby najzimniejsza krew w żyłach mieszkańców płynęła. Rozpusta bogatych żywi i mnoży zepsucie biednych, niezdolnych oprzéć się urokowi złota choćby blask jego na chwilę tylko przyświecał. W tych smutnych siedzibach nędzy, gdzie radość nigdy nie zawita, gdzie życie żadnéj nie ma wartości, gdzie śmierć w najbrzydszéj swéj postaci zawsze przed oczyma — czucie cnoty i honoru, ten błogi wynik należnego każdemu ludzkiemu stworzeniu wychowania, jakżeżby mogło znaleźć miejsce? Tu, w tych smutnych siedzibach nędzy, istoty ludzkie upadają nim jeszcze dojrzeją, i innym dają życie nim same jego godności doświadczą.

Dla zapobieżenia dzieciobójstwu musiano założyć dom podrzutków (*foundling hospital*). W nim pielęgnują dzieci te—rozpusty raczéj niż miłości. W nim je wychowują i sposobią do rzemiosł, do służby, silniejszych do marynarki. Do wielu przyznają się z cza-

(*) Statistics of London by W. Highwood. European Quarterly Review. New-York. July 1849.

sem samiż rodzice, których wprzódy wstyd lub ubóstwo do wyrzeczenia się onych przynagliło. Zarządcy i opiekunowie tego zakładu wychodząc z słusznéj może zasady, że życie podrzutka może być znośném tylko dla tego który w wyższe sfery towarzystwa nie wejdzie, i nigdy nie doświadczy walki z istniejącemi przeciw podrzutkom przesądami, — nie śledzą w nim wyższych usposobień i nie rozwijają, gdyby się wyjawiły same. — Jabym inaczéj pojmował me obowiązki, gdybym był na miejscu opiekunów. Talent każdego członka społeczeństwa jest własnością ogółu i dla jego dobra przeznaczony. Nie więziłbym w ciasnych mierności granicach duszy dziecka z nich się wydzierającéj; lecz podałbym środki do rozwinięcia jéj na największą skalę. Tak ja pojmuję system utylitaryuszów w szlachetném zastosowaniu.

Dobroczynny zakład podrzutków londyńskich większeby wszystkich filantropów zyskał zadowolnienie, gdyby nie jedna okoliczność, na pozór małoznaczna, a wspólna wielkiéj liczbie podobnych zakładów, jak naprzykład przytułkowi dla sierot, dla dzieci zubożałych kupców i t. p. Chcę tu mówić o ubiorze dzieci staroświeckim i niewygodnym, trzymanym w poszanowaniu dlatego że od wieków był wprowadzonym, a najwięcéj dlatego że ubiór ten odróżnia dzieci z łaski dobroczynności utrzymywane — od wszystkich innych szczęśliwszych.

Wystawmy sobie dziecko od 4 do 12 lat mające, po największéj części chude i blade, ubrane w długie przylegające pończochy niebieskie, w spodnie do kolan ciasne łosiowe, w granatowy fraczek z grubego sukna, a kusy jak go Niemcy lubią nosić, i w baret ja-

kiś do grzyba podobny a trzymający się tylko równowagą na czubku krótko strzyżonéj głowy. Dzieci tak przybrane podobniejsze są do czwororęcznych jak do dwuręcznych istot. — Zaręczano mi że główną przyczyną tego obstawania przy staroświecczyźnie jest, *miłość ostentacyi.* Anglicy szukają przed cudzoziemcem dla siebie zaszczytu z swych dobroczynnych zakładów, i udają się dla dogodzenia dumie do środków zanadto w oczy bijących.

Ogrom gmachów poświęconych dobroczynnym zakładom jest istotnie zdumiewający, lecz ztémwszystkiém nie wystarcza dla stolicy dwumilionowéj, nie wystarczyłby nawet dla Paryża połowę zaledwie téj ludności mającego.

Nie są także zostawione bez opieki dzieci naturalne, których matka pomimo swego ubóstwa nie chce oddać do domu podrzutków, lecz woli wychowywać przy sobie. Zawiązały się tu towarzystwa płacące matce miesięcznie 20 złp. na utrzymanie każdego dziecka naturalnego. Dobroczynność ta często szkodliwy wpływ wywiera, gdyż prowadzi do nadużyć oburzających. Są matki które sobie przedsięwzięły utrzymywać się z swych dzieci miłości, i mają ich do ośmiora. Gdyby takie matki były wdowami i posiadały też samą liczbę dzieci z prawego łoża—wówczas dostawałyby daleko mniejsze wsparcie. Wyrobnicy i biedni wieśniacy uważają za doskonałą spekulacyę ożenić się z panną, która w posagu przynosi z pół tuzina zadatków miłości. Niektóre niewiasty zapisują się, jeszcze nie będąc matkami, na listę przyszłych uwiedzionych, zdradzonych, opuszczonych córek Ewy.

Trudno się ustrzedz takich bezprawiów w kraju w którym z osób lub towarzystw prywatnych wszystkie dobroczynne zakłady wynikają, w którym rząd w tym względzie nic zgoła nie robi, i w którym niémasz żadnéj władzy lub rady centralnéj kontrollującéj prowadzenie się osób korzystających z dobrodziejstw, znających je przynajmniéj. Każdy patrycyusz należący do jakiegoś z towarzystw dobroczynnych nabiera przez to prawa do zażądania pomocy innych towarzystw na rzecz swoich klientów, lub téż klientów swoich przyjaciół. Nieraz zdarza się że jedna rodzina z kilku miejsc wsparcie bierze, a druga sąsiednia niemająca protekcyi umrze z głodu, nim jéj przyjdzie opieka urzędową drogą przez urzędników na ten cel ustanowionych. Każdy o tém wié w Londynie i Anglii, że administracya summ niezmiernych wpływających z podatku dla ubogich (*poor-rates*), w najgorszych pozostaje rękach, w rękach ludzi obawiających się więcéj zaburzeń motłochu jak wyrzutów sumienia. — Wymagającemu zanadto folgują, a nie przypuszczają wstydliwości w ubóstwie. — Nigdzie niémasz tylu pijaków jak pomiędzy ubogiemi biorącemi wsparcie, a celują pomiędzy temi kobiéty, jak się łatwo przekonać można każdéj soboty, w każdym *gin palace*, (pałacu gorzałczanym).

Hotel Inwalidów w *Chelsea* (mieście 32,000 ludności liczącém, a leżącém tuż pod Londynem w stronie zachodniéj na lewym brzegu *Tamizy*) założony jest w roku 1682 przez *Karola* II, a nie przez księcia *Yorku*, jak tą razą mylnie utrzymuje pan *Lach Szyrma*, którego zresztą dzieło zaleca się sumiennością. Przytułek dla wysłużonych żołnierzy lądowych nie jest

tak wspaniały i hojnie wyposażony jak hotel inwalidów morskich w *Greenwich*, a niczém jest w porównaniu z wspaniałym domem inwalidów w Paryżu. Armia lądowa Anglii pomimo swego męztwa w walkach z Francyą często doświadczanego, nie cieszy się wielką sympatyą Wielkiéj Brytanii, wzrosłéj w potęgę na falach morskich. Kto zna żywioły składające armię lądową, i wié, że nic jak żelazna karność jest w stanie poruszyć angielskiego żołnierza do *męztwa*, nie będzie się dziwił rodzajowi pogardy jakiéj tu doświadcza. Anglik korzysta z męztwa swych żołnierzy, lecz je nie ceni należycie dlatego, że ono nie z szlachetnych pobudek wynika. Liczba Inwalidów nie dochodzi do 450. Mieszkają po dwóch w domkach umieszczonych jak klatki w długich szeregach w środku niezmiernych sali. Każdy inwalid opatrzony jest w sprzęty gospodarskie kuchenne i sam sobie gotuje jeść, żywność bowiem dobrą i wystarczającą otrzymuje w naturze. Dziwny ten system indywidualizacyi lepiéj przypada do smaku Anglikom jak system wspólnego życia zaprowadzony w domu inwalidów francuzkich.

Dlatego téż inwalid pomimo czerwonego munduru, ran chlubnych i kalectw na polu bitwy odniesionych, nie wygląda wcale na żołnierza; twarz ma wygoloną jak kolano, i rzadko rozmawia o czém inném jak o *swéj* wołowinie, o *swych* kotletach baranich, o *swym* porterze i ryżu.

Francuzki inwalid wygląda groźno choć postrada wszystkie swe nogi i ręce; duch bohaterski pielęgnowany jak ogień westalski odbije się na jego twarzy choćby jéj nie miał jak połowę, i trwa aż do ostatniéj chwili życia.

Ciekawym czy zwycięzcy Rzymu będą tak dumnemi z swych ran, jak zwyciężeni pod *Waterloo* mają prawo być ze swoich? „*Tibi ipse haec vulnera dedisti, o Gallia!*" powie historya świata.

W tém miejscu wypadłoby opisać sławny *Bedlam*, wspaniały szpital obłąkanych. Lecz lepiéj będzie zostawić opis ten na późniéj, kiedy nam się naturalnie nasunie sposobność mówienia o okolicznościach usposabiających Anglików do spleenu, melancholii i utraty rozumu. Tymczasem udajmy się do doktora *Dieffenbach*, z którym oddawna pragnąłem zaznajomić czytelnika.

Dr. *Dieffenbach* dziś sławny z opisu swéj podróży do nowéj *Zeelandyi*, którą zyskał lat temu kilka katedrę w uniwersytecie w Giessen, synem jest professora teologii téjże saméj wszechnicy, a synowcem przedwcześnie zmarłego professora berlińskiego. Jako uczeń medycyny udał się do *Zurich* do *Szwajcaryi* dla korzystania z klinicznych prelekcyj sławnego *Schönlein*, i tutaj zyskał stopień doktorski. — Późniéj po wyprawie nieboszczyka *Don Quiszota R.* przeciw Sabaudyi dostał się razem z wieloma spółziomkami po wielkiéj części uczonemi pomimo swéj woli do Anglii. Biedny doktor wyrwany zpośród swych przyjaciół i pacyentów i przesadzony bez funduszów do kraju którego nie znał ani języka ani obyczajów--jednak nie rozpaczał, i wziął się do nauki języka. W sześć tygodni zwalczył trudności a uznawszy, tak jak i ja na piérwsze spojrzenie, niedoskonałość czasopismów angielskich lekarskich, pisał artykuły do dzienników i wkrótce wielką sobie zyskał wziętość u redaktorów londyńskich. Najsławniejsi autorowie lekarscy powie-

rzali mu wykończenie prac, jak naprzykład pan *Marshall Hall*, znany fizyolog.

Ernest Dieffenbach łączył z głęboką erudycyą sąd trafny i świeżość pomysłów —przytém wolę miał żelazną, cierpliwość w badaniach anielską. Słowem byłto jeden z tych rzadkich zabytków Germanii pełnych siły, rozumu, wiadomości, charakteru i niewinności serca, z któremi dobrze przestawać jeśli im się wyrówna przynajmniéj w czynności i rzetelności. — Nie był jednakże zwolennikiem *Likurga* co do wstrzemięźliwości, nie! przy butelce tak był wesołym jak każdy bursz niemiecki, lecz ją nigdy nie wypróżniał z człowiekiem niegodnym lub umysłowo zaniedbanym. Poznać się z *Ernestem*, zostać jego przyjacielem i współ-pracownikiem— byłoto dziełem jednéj chwili. Uzupełnialiśmy się nawzajem. Ja bez niego nie byłbym nigdy miał odwagi wziąść się do jakiéj pracy bardzo trudnéj, na pozór siły me przechodzącéj, i wytrwać w niéj statecznie; — on bezemnie nie byłby śmiał wstąpić praktycznie w życie angielskie, a to dla braku stosunków i łatwości wysłowienia się po angielsku.—On mnie nauczył pracować całą siłą woli, ja jego nauczyłem flanować całém sercem. Flanować nazywam: gapić się na processye, pomniki, obrazy i piękne Angielki, przebujać parę godzin po ogrodach, kościołach i na polu, zaczepiać piérwszych lepszych zdolnych oświecić nas w takim lub owakim względzie, zabierać znajomości z bliźniemi obojga płci podobającemi się z miny—słowem korzystać z smutnéj konieczności podróżowania, posiąść talent nie wszystkim znany bawienia się bez wydawania pieniędzy.

Ernest zapoznał mnie z częścią uczoną swych rodaków, było ich wówczas w Londynie kilku bardzo znakomitych. Każdy miał swoję własną opinią polityczną, którćj był *twórcą*, każdy miał swoich własnych zwolenników pomiędzy ludźmi stworzonemi na to żeby mędrszym lub mocniejszym *wierzyli*. Lecz pomimo różności opinij schodzili się wszyscy w imieniu wspólnéj narodowości raz w tydzień do tawerny trzymanéj przez Niemca, i te schadzki były dla mnie niewyczerpaném źródłem rozkoszy naukowéj. Każdy przychodził po pracy tygodniowéj z bogatym plonem różnorodnych nowo nabytych wiadomości i spostrzeżeń, każdy opowiadał co czytał, widział i uczuł, i to w wybornym języku.

Czém jest nawet dla najzdatniejszych ludzi smutna konieczność pędzenia życia na obcéj ziemi—o tém się przekonamy z następującéj galeryi obrazów.

Rej wodził w uczonym *Areopagu* niemieckim pan *G..* adwokat badeński który pozbawił się prawa obywatelstwa w owym kraju płochą chęcią dowiedzenia, że Kacper *Hauser*, ów młodzieniec siedmnastoletni, którego życie i śmierć tak głośna nieprzejrzałą są pokryte zasłoną tajemnic,—był synem wielkiéj księżnéj *Stefanii*. —Książka ta sprawiła nadzwyczajne wrażenie w Niemczech, choć pan *G...* sam nie wierzył swéj arcy-dowcipnie wywiedzionéj powiastce.—W nic bowiem nie wierzył, ale pisał artykuły do gazet wszystkich stronnictw i wszystkich krajów, od portugalskiego aż do serbskiego. Wszystkie znał języki nawet i narzecza europejskie. Nigdym nie znał świetniejszéj głowy, piękniejszéj twarzy i postaci, większego cynika i sceptyka, dokuczliwszego szyder-

cę, obrzydliwszego niechluja i pijaka. — Zdatnym był i niezaprzeczenie odważnym i hojnym: o resztę cnót nie dbał, a dla dogodzenia niepowściągliwéj chęci drwinkowania gotów był poświęcić wszystko. —Pan *Leader* członek parlamentu któremu pomagał w składaniu mów i rozpraw politycznych, sam mi mówił że go *Gar*... ciągle na fundusz bierze z tak dogryzającym dowcipem że go będzie musiał za drzwi wyrzucić. — Pod niegodną a zwyczajem w dziennikarstwie angielskiém uświęconą bezimienności zasłoną bronił naprzemian wszystkich odcieni politycznych lub téż je zwalczał. Dla uniknięcia osobistych satysfakcyj którym często w Angli podpadają dziennikarze porywający się na sławę prywatną osób publicznych, maskował się kilkoma stylami, czém ściągał nieraz na innych zupełnie niewinnych dziennikarzy grady boxów niezasłużonych. Często umyślnie naśladował styl innego aby nań boxy ściągnąć, lecz nieraz sam także wracał do domu na barkach cztérech stróżów nocnych, zbity na kwaśne jabłko, z głową rozciętą, z stłuczonemi okularami i podartemi sukniami, tojest w najparadniejszym ubiorze dziennikarza angielskiego. We mnie wzbudził razem podziwienie, wstręt i litość, lecz na zaszczyt ludzkości utrzymuję że podobne charaktery wybujać mogą w całéj swéj sile tylko zdaleka od błogiego wpływu nieba rodzinnego kraju, oka rodziców i serca przyjaciół, w otchłani i chaosie wygnania w mieście tak olbrzymiém jak Londyn, w człowieku pozbawionym wszelkiéj szlachetnéj ambicyi, a niewierzącym w nic jak w swą głowę, ręczącą mu za swe utrzymanie. Pan *G*.... był w stanie zarobić 50 funtów szterlingów w jeden tydzień, a prze-

trwonić w jednę noc. Tak zrobił z ceną sławnego swego artykułu o Hanowerze pisanym dla *Foreign review.*

Innego rodzaju uczonym był pan *Str*.... choć także adwokat badeński. Pełen nauki, bystrości i dowcipu, miał rzadki dar uwierzenia we wszystko co było nadzwyczajném i poświęcania się duszą i sercem téj wierze.—Zasmakował już oddawna w pięknościach filozofii Fourriera, i przykroił ją dla użytku własnego kraju na modę niemiecką. Utrzymywał się z lekcyj i dziennikarstwa. Przypadkowi winien był zapoznanie się z księciem Normandyi obecnie w Paryżu pod nazwiskiem barona de *Richemond* żyjącym. Osoba ta mieni się być synem nieszczęśliwego Ludwika XVI, owym Ludwikiem XVII którego ślad życia zniknął od czasu kiedy go wyrok konwencyi oddał na wychowanie barbarzyńskiemu szewcowi Simon. Królewicz miał umrzéć u tegoż dnia 8 lipca 1795 roku, lecz protokułu śmierci nigdzie znaleźć nie można, a wielu ludzi dostojnych, mądrych i uczciwych uwierzyło w tożsamość „księcia Normandyi" z Ludwikiem XVII i dziś jeszcze wierzy. Każdy przyznać w nim musi podobieństwo do typu burbońskiego.—Pan *Str*.... dał się do tego stopnia przekonać dowodami różnego rodzaju powierzanemi tylko bliższym znajomym, że ani chwili nie wątpił o identyczności osoby i poświęcił swe pióro popieraniu téj sprawy pod warunkiem jednakże że klient odzyskawszy koronę zrobi z Francyi falangster na wielką skalę.—Pretensye księcia Normandyi popierane były pieniędzmi tajną jakąś drogą, lecz z drugiéj strony podobnąż drogą były niweczone. Nie wiem czy należy przypisać polityce dwukrotne zama-

chy w których ciężko został rannym i ledwie życia nie postradał, —lecz to wiem z pewnością, że w trudném swém położeniu doskonale umiał zachować swą godność przybraną. Zatrudniał się mechaniką i bardzo w niéj był biegłym. Księżna *Angoulême* nie chciała uznać go za brata choć jéj powierzył szczegół znany tylko królowi Ludwikowi XVI, królowéj Maryi Antoninie i nieodżałowanéj księżniczce Elżbiecie i dwóm dostojnym podobno jeszcze żyjącym osobom, tojest że w chwili kiedy cała rodzina przewidywała smutny swój los, wycętkowano śpilką obu dzieciom na udzie lewém trzy lilie francuzkie.—Księżna zaparła się lilii w tém miejscu, a do konfrontacyi ich nie przyszło.

Dość że pan *St....* stał się obrońcą pretensyi dostojnego klienta i popiérał je mową i drukiem. Późniéj kiedy Ludwik Filip osadził się mocno na swym obywatelskim tronie i kiedy przestano na niego polować, zaprzestano także opiekować się pieniężnie mniemanym księciem Normandyi. Pan *St....* niewynagradzany przeszedł do Francyi urządzać prywatny *Falangster* pana *Lions* Anglika w *Citeaux* w *Burgundyi* pod *Dijon*. Późniéj dowiemy się o jego czynach i działaniach kiedy będzie mowa o wpływie wywieranym przez wspólność wszystkiego dobra na *płodność*, — zacząwszy od płodności pomysłów, a nie kończąc na płodności ziemi.

Pan *M.....* uczony Niemiec, uczęszczał przez 22 lat na uniwersyteta; stopnia uniwersyteckiego wyższego nad „*civis reipublicae litterariae*“ nie posiadał, gardził nim jak wszyscy przedpotopowi studenci. Poświęcał się matematyce, filozofii i polityce. — Ojcem był systematu matematyczno-politycznego, i nim chciał odrodzić *zbutwiałą* Europę. — Nie chodził nigdzie

bez pudla swego Plutona, jedynego stworzenia które biednego starego Studenta do wytrwania pomiędzy niepojmującemi go ludźmi przywięzywało. — Nie chodził także nigdy bez kredki, i każdemu słuchać chcącemu wykładał cyframi na piérwszym lepszym stole swój system. Znał doskonale statystykę ekonomiczno-polityczną całéj Europy, i dowodził że wszyscy jéj mieszkańcy mogliby wyżywić się dostatecznie i żyć zupełnie swobodnie, gdyby podniesiono rolnictwo rozdrobnieniem roli na bardzo małe części. Wykazywał matematycznie że człowiek każdy osadzony wpośrodku małéj części gruntu potrafi ją tak dobrze uprawić za pomocą swéj żony lub dziecka wyrostka, jak gospodarz mieszkający zdaleka od niéj za pomocą czterech koni. Radził tedy filantropom zakupywać kapitałem zebranym akcyami wielkie łany ziemi, dzielić je i osadzać ludźmi ubogiemi a żonatemi. Przeświadczał najoczywistszemi dowodami że gruntu takiego wartość w kilkanaście lat podniesie się dziesięć razy, jak to się działo w Belgii z gruntami na podobny sposób podzielonemi. Żadne szczegóły chemiczne i astronomiczne nie uchodziły bystrości jego oka, z wszystkich umiał korzystać dla dobra swego systematu; — lecz brak stosunków z ludźmi mającemi czas, wolę i zdolność rozmyślania nad skomplikowanym uczonym systemem, brak funduszów, sukien wykwintnych, nieznajomość form światowych, przywyknięcia karczemne uczonych niemieckich nie pozwoliły poczciwemu *M.* sprawić wrażenia, na jakie zasługiwały owoce jego sumiennych i głębokich rozmyślań. — Nie mając żadnego sposobu utrzymania się, a nie chcąc żyć z łaski innych, udało mu się za wielkiemi protekcyami umieścić się w liczbie

tych Polaków, którzy od wyrobników angielskich nic cierpiących żadnéj konkurrencyi uzyskali pozwolenie zarabiania sobie pięciu złotych polskich za 16 godzin pracy z rydlem i taczkami przy drodze żelaznéj. Tam można było widziéć filozofa niemieckiego kopiącego ziemię obok pana *Dzier*...... b. pułkow. b. w. p.—a póżniéj generała wojska greckiego. Tam można było widziéć wielu innych których dostojnym przodkom ani się śniło, że potomkowie ich prawi będą za ich grzechy pot na obcéj roli przelewać, i że ich zapomną bracia rodzeni w rozpuście trwoniący rozum, pieniądze i życie.

Pan *M.* już około 50 lat liczący znosił długo znoje i słoty, lecz nareszcie podupadł na zdrowiu nieporatowanie. Jednego wieczora odesławszy wszystkie swe pisma i notaty znanemu dziś trybunowi Irlandyi, znikł z koła swych rodaków, którym półśmiejąc mówił, że idzie wykładać rybom Tamizy teoryą swą o uszczęśliwieniu rodzaju ludzkiego. Istotnie już nigdy nie wrócił, ani pies jego nawet. Znikł na zawsze.—Lecz przeżył go system. Czémże bowiem innėm jak owocem pracy biednego *Millera* jest system rolniczy pana *O'Connor*? Taż sama rzecz, a w rozwijaniu myśli też same prawie znane mi zwroty.

Niedawno podałem do gazety rolniczéj warszawskiéj dwa artykuły wyjątki z prelekcyj pana *Haywood* professora chemii rolniczéj w *Sheffield*, traktujące o sposobach najlepszych umierzwiania roli i składzie chemicznym różnego rodzaju gruntów — o stosowaniu zasiewu do natury gruntu. Słowo w słowo to samo co mi 12 lat temu biedny *Miller* wykładał, i dlatego mnie uderzyły szczegóły te obce memu zawodowi.

Tak znika i niszczeje w nędzy wygnania, w téj pożerającéj otchłani, nie jeden poczciwy i zdatny człowiek, któryby w własnym kraju był światu pożytecznym, gdyby chciał uwierzyć nie przeświadczywszy się o tém osobiście, że łatwiéj drzewo wykorzenione przyjmie się na obcym gruncie, jak człowiek wyrwany zpośrodka swéj rodziny. Nie mówię tu o kosmopolitach i innych chwastach szukających fortuny zdaleka od tych którzy ich znają. To się wszędzie przyjmie, i najlepiéj wybuja na śmieciach.

Poświęćmy jeszcze słów kilka charakterystyce współtowarzyszów mych niemieckich, — posłuży ona do zrozumienia położenia ludzi bliżéj nas obchodzących.

Pan *J....* autor „Studenta niemieckiego,“ „Niemca w Algierze“ i wielu innych humorystycznych dzieł, najdowcipniejszy korrespondent londyński Gazety Augsburskiéj, sławny niegdyś na całe Niemcy z swych awantur burszowskich, tyle napłatał figlów i pozaciągał długów w wszystkich wszechnicach że mu po siedmioletnich studyach nie pozostawało jak iść do Francyi i zaciągnąć się do legii cudzoziemskiéj w Algierze na prostego żołnierza, i to jeszcze zobowiązać się do służby trzechletniéj — inaczéj cudzoziemców nie przyjmują. Walczył jak lew, ale dla częstych niesubordynacyj nie awansował nad kaprala, i często był degradowanym. Oficerowie lubili go dla jego nadzwyczajnego dowcipu i waleczności, ale subordynacya jest w wojsku francuzkiém, mianowicie w legii cudzoziemskiéj z różnorodnych żywiołów złożonéj pierwszym warunkiem – a temu pan *J....* poddać się nie umiał. Często go karano aresztem i forsowną służbą. Sto

razy miał chęć uciekać, ale gdzie? z jednéj strony morze—z drugiéj nieprzyjaciel niedowierzający chrześcianom a lubiący ich łechtać jataganem po szyi. W ciągłych bojach w których cztery odniósł rany, pojął że smutna jest służba wojskowa w obcém wojsku, szczególniéj bez nadziei awansu. Dosłużył się narescie końca trzeciego roku: uwolniono go ze służby i w nagrodę męztwa obdarzono go parą trzewików, spodniami czerwonemi, płaszczem sieraczkowym i blaszaną puszką zawierającą dymissyą, w któréj sumiennie były wyliczone odniesione w służbie francuzkiéj rany i wysiedziane areszta. Nadto otrzymał pozwolenie powrócenia transportem na koszt rządu aż do granicy swéj ojczyzny. Przybywszy do Strasburga i przekonawszy się że trzechletnia nieobecność nie wymazała jeszcze pamięci jego z ksiąg wierzycieli, pan *J.....* zniknął towarzyszom podróży, pozegnał *kochaną* Francyą umiejącą tak hojnie nagradzać swych obrońców i nie oparł się aż w Londynie, gdzie nauczywszy się tyle języka ile potrzeba na zrozumienie sądów *Lorda Mayora*, sądów przysięgłych, policyi poprawczéj, debatów parlamentu, został owym jowialnym korrespondentem gazety Augsburskiéj, podpisującym swe artykuły znakiem półksiężyca.—Augsburg wystarczał właśnie tylko na porter i bifsztyki,—koledzy musieli radzić o reszcie i chętnie przyjmowali na nocleg i śniadanie sławnego bursza noszącego w swéj głowie najdoskonalszy słownik encyklopedyczny i świat cały dowcipnych pomysłów a niezdołającego zapracować sobie na wyżywienie — w obcym kraju.

Pan K... Dr. medycyny z Nassauskiego, piękny, silny i dobrze wychowany młodzieniec, wzbudzał we

wszystkich poważanie godnością swego charakteru, dobrocią serca i wielostronném wykształceniem. — W Londynie nie mógł sobie stworzyć żadnego sposobu utrzymania się swą pracą, pomimo że mu nie zbywało ani na zdolnościach, ani też na środkach zmuszenia fortuny, gdyż ojciec majętny dosyłał mu fundusze. Zbrzydził sobie Anglią, chciał udać się do Francyi— lecz rząd francuzki nie przyjmował żadnego z Szwajcaryi do Anglii wydalonego Niemca. Za silném wstawieniem przyjęto go na *bezpłatnego* lekarskiego pomocnika do armii algierskiéj. Był przy wzięciu Konstantyny, w kilka miesięcy późniéj został rannym pod *Buffarik*—wyleczywszy się z ran zapadł na tyfus *afrykański* i ledwo uniknął śmierci. Rząd francuzki w nagrodę usług i poświęcenia dał doktorowi *K*.... prawo do ubiegania się o tytuł doktora francuzkiego w *Montpellier*,—lecz nie uwolnił go nawet od kosztów examinu i dyplomu wynoszących do 1,200 franków.— Rany, choroby, tęsknota, późniéj i praca nie pozwoliły panu *K*.... korzystać z uzyskanego dyplomu.—Dostał obłąkania i w niém napisał dzieło przeszło stoarkuszowe, zastanawiając erudycyą, o wpływie wywieranym przez nieboszczyków na żyjących ludzi.—Późniéj wpadł w czarną melancholię. Teraz wolno było ojcu sprowadzić syna do domu.

Z takich ludzi składał się *areopag* niemiecki,— w opisie nie wybierałem najnieszczęśliwszych lecz owszem najzdolnejszych. Nie szczędziłem, lecz także nie przepełniałem kolorów. Zresztą nie wybierałem obrazów najwięcéj rażących dla skreślenia nędzy i cierpień człowieka zmuszonego żyć za granicą, zdaleka od swego kraju i rodziny. —Gdybym się ubiegał za

wywarciem wrażenia, mógłbym nie odstępując ani o włos od prawdy zakrwawić najtwardsze serce, wytoczyć strumień łez z najzimniejszych samolubów.

Wielkie cierpienia pochodzące z przyczyn tak szlachetnych jak jest tęsknota do kraju, do rodziny, mają swoję dumę wzrastającą w miarę niedoli. Nikomu się nie zwierzy stęskniony, nikogo godnym nie uważa pojąć jego cierpień. Gdy cierpienia dojdą dna odmętu a duma do zenitu swego, wówczas następuje często samobójstwo lub utrata rozumu. Czasem objawia się instynkt własnéj ochrony i powoła cierpiącego do oddziaływania przeciw zabójczemu wpływowi, wówczas się ratuje — przedsiębierze coś nadzwyczajnego coby go wyrwać zdołało z toru myśli i uczuć. Wówczas działa. Ale jak działa? najczęściéj pędzony trwogą a nie prowadzony rozumem. — Chwyta się jak tonący brzytwy, i czasem zamiast anioła pocieszyciela tuli do siebie zjadliwą żmiję! Unikając bolesnéj acz krótkiéj śmierci — wpada nieraz w otchłań pełnego zgryzot życia! A jak się zdradliwie wkrada w serce tęsknota? Długo czujesz jéj przedsmak w niewymownéj nudności — długo ją znosisz w osłabieniu ciała i duszy— długo się martwisz obojętnością jakąś do wszystkiego co ci przedtém przyjemność sprawiło, wstrętem do przedmiotów dotychczas znoszonych; jesteś ciężarem dla siebie samego i wiész że nim jesteś dla innych; — a nazwiska nie umiész dać twéj chorobie. — Chodzisz jak obłąkany i samotności szukasz w miejscach odludnych i w polu. — Lecz promyk słońca wschodzącego pada na twe wybladłe lica — wzlata skowronek i zanuci narodową piosnkę — w jedném oka mgnieniu

kojarzą się twe wspomnienia, myśli i uczucia.— Dom rodzinny stanie przed oczyma ducha twego. — Teraz znasz cierpień twych nazwisko i teraz się ratuj, nim choroba zaćmi rozum zbytnią boleścią!

ROZDZIAŁ VI.

Klimat londyński — Parki Regenta i Śgo Jakóba — Hyde-Park — Rewia — Wojsko angielskie — Gwardya konna — piesza — szkocka — Amazonki — Posąg Achillesa — Wellington — Gust kobiecy — Ogród Vaux-Hall — Balon pana Green — Cyrk konny pana Astley — Opera angielska — Sceny mytologiczne przedstawiane na widowni i w lożach — Prawo angielskie niewszystko przewidziało — Surrey — Ogród zoologiczny — Wezuwiusz — Zabawy ludu — Pałace gorzałczane — Szkoły — Nierówność i arystokracya na ławkach szkolnych — Wysoka szlachta — Młodsza szlachta — Gentry — Mieszczaństwo — Urok wywierany przez wyższość rangi.

Nic tak często nie spotwarzano jak klimat angielski, a szczególnie londyński.

Byron powiedział że zima w Anglii kończy się ostatniego czerwca, a zaczyna pierwszego lipca, a pan Alexander *Dumas* oznajmił światu, że słońce angielskie w całéj swéj okazałości wygląda jak naleśnik rozpostarty na patelni.

Trzeba być trapionym okropną potrzebą analogii, żeby wpaść na porównanie słońca z naleśnikiem.

Tak źle nie jest, przynajmniéj tak źle nie było w lecie, którego większą część przepędziłem w Londynie. Nigdy tu słońce nie rozsyła z swego promienistego tronu owych strzał pałających południa, i rzad-

ko kiedy słońce świeci nad ziemią Anglii z tym blaskiem który zrazi i stręt wiałe oko, i przejmie dobroczynném swém ciepłem skrzepłe członki starca.— Nie! słońce Anglii jest łagodniejsze i rzadko kiedy objawi się w postaci z któréjby można wnosić o uroczéj piękności téj gwiazdy.—Słońce tu świeci podług systemu *Benthama* i raczéj jest pożyteczném niż okazałém. — Lecz i ono ma swój tryumf. — W porze roku w któréj słońce na południu staje się nieznośném i zwarzy swym piekącym ogniem każdy listek i kwiatek,— obróci w tumany pyłu subtelnego najpiękniejszą wegetacyą,—wówczas słońce angielskie przyświeca łanom zielonym jak szmaragd i jak szmaragd błyszczącym, wówczas w jego łagodném cieple drgają z radości świeże jeszcze liście, pachnące kwiaty, i dojrzewają wolno lecz pewnie wszystkie ziarna i owoce, które my w naszym posiadamy kraju. — Cała Anglia jest wówczas jednym ogrodem, ziemia jéj ciągle żywiona najstosowniejszemi naturze jéj przyprawami, ułatwia w cudny sposób roślinom wzrost, a owocom obfitość i dojście do doskonałości.

Najdelikatniejsze odcienia kolorów nie wydadzą się nigdzie tak pięknie i wyraziście jak pod mdławém światłem nieba Anglii, niedodającém ale téż nie ujmującém im tonu. Słyną z pięknego kolorytu malarze angielscy a z płci przecudnéj od słońca nieprzepalonéj lube córki Albionu.

Wbrew wszystkim istniejącym i zanadto rozpowszechnionym przesądom, utrzymuję że trudno sobie wystawić coś przyjemniejszego jak miesiąc czerwiec, lipiec i początek sierpnia w Londynie. Wystawmy sobie w środku najludniejszego miasta w Europie trzy

tak wielkie ogrody publiczne, że je nie przeniknie ani gwar ludu, ani turkot wozów ani zapach węgla ziemnego. — Tu swobodnie oddychać można pod cieniem bzów, jaworów, akacyj i tego mnóstwa drzew exotycznych, które przewiezione do Anglii uszlachetniają się pod umiejętną ręką ogrodników szkockich i nabierają piękności dotychczas nieznanych. Nic tu nie razi oka; ani żaden uzbrojony przestrzegacz przystojności, ani żadna tablica obiecująca karę cielesną temu który przypadkiem przestąpi na prawo zamiast iść na lewo, ani żadna pstro malowana baryera. Czasem tylko sarna przesunie się z swemi koźlętami—stanie skoro zoczy samotnego i spojrzy mu w oczy jak gdyby pytała: „czyś ty przyjaciel?“—a poznawszy że przyjaciel pasie się na łące, ścina swemi ząbkami główki koniczyny i babki, i tak przygryza nadobnie i ładnie jak panienka na którą się patrzy kawaler podczas obiadu. Czasem też jakieś stado cudzoziemskich kaczek pstrych i z złocistym czubem przewlecze się wolno i poważnie kołysząc ociężałe ciało na dwóch niezgrabnych nogach i kwakając pomiędzy sobą. Tam znów na jeziorze pluska i gaworzy różnemi językami rozmaite ptastwo wodne od flaminga czerwono-skrydlatego aż do śnieżnego łabędzia, a z błotnistéj kępy z środka zwierciadła wody puści się ku niebu szybka czajka i biegnie w zawody z białą jaskółką morską, razem tu z nią wychowaną; —oba ptaki przerzynają powietrze jak błyskawice, witają mnie smętnym krzykiem i znów zapadają na łąkę.

W odległości pluszczą kaskady i obracają kołem młyna, aby ten swym drżącym łoskotem wtórował

harmonii tego idyllicznego ustronia, — a z poza konarów dębu, sosien i jodeł sięgających obłoków, przeziera szwajcarska chatka z swym filigranowym gankiem i sztucznie wykrojonym szczytem.

Takim jest *St. James's* park i *Regent's* park, piérwszy w środku miasta, drugi zaś jak już wiemy graniczy od północy z czystém polem i z mym przyjacielem *Primerose-hill.* — Nie będzie nienawidził Anglii kto umié cenić i serdecznie kosztować tych czarujących rajów powaby. Kilka godzin strawionych tutaj w uroczystém obcowaniu z sobą samym, lub z bardzo dobrym przyjacielem, z człowiekiem wyrobionym, uczuciowym, pocieszy każdego rozumnego za kilkadniowe cierpienia i zawody doświadczone tam o dziesięć minut drogi daléj, w tym odmęcie, który nazywają miastem.

Takim nie jest park trzeci, najrozleglejszy, wielki jak trzecia część Warszawy. Nazywa się *Hyde-park.* Niezmierne błonie, tu i owdzie tylko kępami drzew urozmaicone, służy na plac parady dla wojska w uroczystych okazyach, naprzykład na święcenie rocznicy bitwy pod *Waterloo.* Niegdyś królowa Wiktorya sama dowodziła tą paradą na koniu, przy złotych szlifach i orderze podwiązki na lewém (ramieniu rozumié się). Byłoto jeszcze nim zaszła w bezprzestanny stan interesowności. Wszyscy ambasadorowie assystują w świetnym orszaku, nawet czasem i francuzki, — jak do idei politycznéj przeważającéj, — szczególniéj kiedy się ambasador nazywa *Talleyrand*, który w takich okazyach żałował że niemógł być obecnym w siedmnastu osobach, których role podczas swego życia odgrywał. Wojska nigdy wiele — zaledwie 20,000.

Szkarłat mundurów ślicznie się odbija na zieloném tle murawy. Widziałem raz zgromadzone dwa pułki gwardyi konnéj przybocznéj. Wysokie bermyce i purpurowe pióra powiewające nad niemi podwyższają jeszcze olbrzymich jeźdzców okrytych ozdobami złotemi i siedzących na wielkich koniach wartujących 4,000 złp. każden. Niewiele powiem o huzarach i ułanach angielskich pomimo bogactwa munduru. Dragoni lepiéj mi się podobali. Artyllerya doskonale manewruje, nosi granatowy mundur z żółtemi pentlicami na piersiach. Gwardyi pieszéj angielskiéj także dwa pułki — piękny lud, noszą szkarłatowe mundury z czarnemi rabatami, na rabatach srébrne belki. Spodnie białe.

Gwardya szkocka w narodowych czapkach otoczonych wokoło czarnemi piórami strusiemi w górę stojącemi. Z boku przypięte jest śmiało i groźnie długie pióro orle. Fraki mają czerwone kuse z czarnemi rabatami i srébrnemi belkami, spodni żadnych.

Zamiast spodni mają bardzo krótkie spódnice z tartanu szkockiego w kwadraty różnokolorowe; podobneż plaidy, czyli bardzo długie a dość wązkie szale, które malowniczo około ramion udrapowane służą im za płaszcze. Pończochy w podobneż kwadraty nie dochodzą i połowy łydek — trzewiki są ich obuwiem. — Uzbrojeni są w bardzo piękne sztućce, puginały i w owe sławne szkockie pałasze zwane *claymore*. Ostrze ich długie i proste, — rękojeść misternie wyrabiana zasłania całą rękę.

Oficerowie młodzi, piękni, majętni i z najlepszych domów — ale także bez spodni. Wystawić sobie że w tym stanie wpuszczają ich na pokoje królewskie pomiędzy najpiękniejsze damy świata! — to zdaje się prze-

chodzić wyobrażenie ludzkie; — a jednak to się dzieje w Anglii.

Pięknym także pułkiem jest gwardya strzelców celnych. Noszą ciemnozielone litewki z bogatemi szamerowaniami czarnemi tak jak nasze czamarki, — szlify bardzo ładne z jedwabiu czarnego także, — ozdoby na kaszkietach i broni szmelcowane na ciemnobłękitno, spodnie zielone także sztucznie mereżone.

Przy jaskrawości innych, mundur ten, ciemny, poważny, a jednakże nadzwyczajnie drogi i elegancki, odbija nader przyjemnie.

Nie zaślepiły mnie jednak tyle bogactwo i świetność munduru, piękność koni i ludzi, żebym nie dosłyszał nieharmonii muzyk wojskowych i nie dostrzegł niewojskowych fizyonomij żołnierzy, podoficerów i panów oficerów.

Naokoło Hyde-parku, gdyż o nim tu głównie mowa, ciągnie się szeroka piękna makademizowana droga, na której w dni niedzielne można ujrzéć tysiące wytwornych pojazdów i jeźdzców, i sta amazonek tak pięknych, tak zręcznie konia prowadzących, tak śmiało go wypuszczających, że w stanie są zawrócić głowę najrozsądniejszemu, byleby tylko iskierkę ognia miał w swych żyłach. Tu na obszerném błoniu jest najwyborniejsze stanowisko dla amatorów gapienia się piechotą — tu jest raj dla prawdziwego flanera. Cały świat obraca się około niego, tak jak gdyby do niego tylko należał. Ja przynajmniéj mogłem kilka godzin trawić na podziwianiu Angielek, na odgadywaniu pochodzenia koni, na klassyfikowaniu Anglików pomiędzy kategorye wchodzące w skład mego systematu charakterów. — Boga prosiłem wtenczas żeby mnie

jaki znajomy, niewygodny w pożyciu gaduła lub ciekawiec nie nagabał, i nie wyrywał z toku myśli poważnych i lekkich, które mi nastręczał widok tak wielu i tak pięknych i zabawnych przedmiotów.

Nie przepadam ja wcale za ludźmi mającemi manię opowiadania długich historyj i przytém pretensyą, żeby w ich twarz wlepiano oczy jak w tęczę, podczas kiedy plecą lada co. Ludzie tacy są postrachem dla flanerów i turystów nielubiących tracić chwili czasu napróżno.

Hyde-park byłby bez nagany, żeby go nie szpeciła jedna rzecz bardzo niegustowna. Ze strony południowéj tego parku wdzięczność Anglików wzniosła księciu *Wellington* pyszny pałac. Nie mam nic przeciw temu—*zasługa szczęścia* niechże sobie będzie wynagradzaną jak *prawdziwa zasługa*, kiedy powszechnie utrzymują że łut szczęścia więcéj wart jak funt rozumu.—Córki Anglii nie chciały pozostać w okazywaniach wdzięczności poza swemi braćmi, i wzniosły temuż samemu księciu przed jego pałacem, w obwodzie parku, posąg olbrzymi z bronzu lany, a wyobrażający samego bohatera, *szczęśliwego* zwycięzcę *Napoleona*. Ani słowa! taż sama twarz: „*moitié aigle, moitié mouton*;“ nie braknie nawet trzech wielkich brodawek mających zaszczyt zdobić fizyonomią szlachetnego lorda. I dotąd jeszcze wszysko dobrze.

Ale jakżeż wstydliwe córki Albionu ubrały swego bohatera?

Przebrały go za Achillesa, w szyszak żelazny i—liść figowy wielkości odpowiadającéj swemu przeznaczeniu. Reszta ubioru leży na ziemi: potrzebną była do oparcia nogi lewéj, aby bohater ulany nie stracił równo-

wagi, i za życia oryginału nie spadł z wysokiego swego piedestału.

Wyobrazić żyjącą jeszcze osobę *in naturalibus!* pod jedyną zasłoną liścia figowego! —o dumne z wstydliwości córki Albionu, to nie był pomysł szczęśliwy. Cieszcie się że już śpi ostre pióro Byrona, onoby wam krwawe łzy z pięknych oczu za ten potworny anachronizm wycisnęło. Ale wy tak niewinne! może myślicie, że bohaterowie są istotami nadprzyrodzonemi do żadnego rodzaju nienależącemi? Wówczas ktoby chciał być waszym bohaterem? Pewno nie lord *Wellington*, również czuły na wasze wdzięki jak niegdyś był *Nelson* na wdzięki swéj *Milady Hamilton.*

Zpomiędzy wielkich ogrodów prywatnych, do których publiczność za opłatą wstęp uzyskuje, najpiękniejszym i za moich czasów najmodniejszym był ogród zwany *Vaux-Hall*, położony na prawym brzegu Tamizy dość blizko biskupstwa. Piękny istotnie ogród, mieszczący w sobie kilka widowni: cyrk konny, salę koncertową, dwa teatra, park angielski, park romantyczny, w których było mnóstwo effektowych partyj, wiatraki, altany, grota z automatem przedstawiającym modlącego się pustelnika, młyny z całą rodziną *automatów*, z poruszającym się młynarzem, z jego córką i kochankiem skradającym się do niéj; statki, kaskady, rzeki, jeziora z fregatami parowemi — słowem wszystko we wszystkiém.

Tygodniowo dawano tutaj dwa przedstawienia uczęszczane przez wyższe towarzystwo, dlatego że drogość wstępu (20 złp. za osobę) nie pozwalała niższemu używać go. — Widowisko rozpoczynało się już o trzeciéj godzinie po południu puszczeniem owe-

go wielkiego balonu pana *Green*, którym sławny ten *aeronauta* w 36 godzin przebiegł przestrzeń przeszło stumilową z Londynu aż do księztwa *Nassau*. Balon wyrównywał wielkością kopule kościelnéj średniego rozmiaru, napełniał się bardzo szybko gazem wodorodnym rozwijanym w niewielkim apparacie. Pan *Green* brał podobny ale jeszcze mniejszy apparat z sobą w podróż powietrzną. Widziałem młodą Angielkę puszczającą się z swym mężem i panem Green nad obłoki — kosztowała ich ta przejażdżka 20 funt. sterl. Ani jednéj chwili trwogi nie doznała dama, a mąż drżał jak listek. Ciekawość kobieca wszystko zwalczy. Przy odgłosie trzech orkiestr i ze stu petardów balon puścił się szybko w górę. Długo biegł pionowo nad naszemi głowami, aż go pędy wiatrów w wyższych warstwach powietrza uniosły na wschód ku morzu. Pan Green utrzymuje że czasem na cztery różne kierunki wiatrów natrafić można w różnych wysokościach powietrznych, i pewnym jest, że kiedyś aeronautyka wyżéj stanie jak żegluga morska.

Niech się ziszczą te przepowiednie. Towary zagraniczne będą wówczas tańsze w każdym kraju, a krajowi fabrykanci, czując konkurrencyą, będą musieli przestawać na mniejszém i mniéj zdzierać publiczność. Zresztą może i inne mniéj materyalne z tego wynikną korzyści.

Nie będę opisywał złéj muzyki, którą uczęstowano moje uszy w *Vaux-Hall*.

Towarzystwo jeżdzców konnych pana *Astleya* wykonywało w cyrku olimpijskim tegoż ogrodu sztuki zdumiewające. Żadna z amazonek nie wyrównywała w gracyi pani *Franconi-Kennebel*, sławnéj amazonce

Paryża, — ale w zręczności, piękności, i odwadze przewyższały ją wszystkie prawie. Kobiéty skakały tak jak mężczyzni, jeździły na dwóch koniach każdą nogą na innym stojąc, co nieszczególnie ładném było. Koncepta któremi przeplatano sztuki, podobnemi były do *plum-puddingów* z tłustości.

Dla koni angielskich powziąłem większy szacunek. Mądre te stworzenia pojmowały wszystko. Cztery pary koni bez jeźdzców tańczyło kontradansa nie zmyliwszy ani jednéj figury. To się niejednemu tancerzowi nie uda, ale téż konie nie patrzały swym tanecznicom w oczy, i nie wdawały się w żadną rozmowę.

Niewiele także powiem o operetce wykonanéj przez śpiewaków angielskich w teatrze lirycznym. Anglikom tak łatwo i pięknie przychodzi śpiewać jak niedźwiedziowi na dwóch łapach chodzić. Brak ucha, gustu, wokalizacyi, a może i czucia, wszystko się łączy aby uczynić Anglików *w ogólności* niezdolnych do muzyki, —

Przedstawiono także dramat. Ten się lepiéj daleko udał. Nie można Anglikom odmówić talentu tragicznego. Późniéj będziemy musieli przy ważniejszéj sposobności więcéj o tém pomówić.

Nareszcie w innéj jeszcze widowni *Francuz* jakiś przyjechawszy z całém towarzystwem bogiń i nimf, najad, *trytonek*, *hamadryadek* i innych nadprzyrodzonych istot, rekrutowanych zapewne pomiędzy *Syrenami bulwarów paryzkich*, przedstawiał *des tableaux vivants* szczególnego rodzaju. Bogów i półbożków znalazł podostatkiem w Londynie. Przy wtórowaniu dość dobréj muzyki francuzkiéj podnosiła się kurtyna, wszystkie świece gasły i pogrążały widzów w zupeł-

néj ciemności, i na scenie przy bengalskiém świetle przedstawiały się sceny cudnéj piękności—to prawda, ale téż tak łudzącéj, że nie radziłbym najzimniejszéj nawet kobiecie używać podobnych wrażeń za często,—żadnéj matce prowadzić na nie swéj córki,—a nawet żadnemu mężowi zapraszać tu swéj żony, jeżeli jest młodą.—Bożkowie i boginie tak były naturalnie przedstawione w ubiorze piérwszéj niewinności, plastyczność pięknych kształtów tak się wyraźnie w świetle bengalskiém malowała pod najcieńszym jedwabnym trykotem, że nikt w obecność tego nie wierzył.

Każdy obraz trwał pięć minut—potém zapadała kurtyna, gaz się zapalał—w ośm minut następowało drugie przedstawienie,—świece znów gasły. Wiém z pewnością że się i pomiędzy widzami niejedna mitologiczna scena odegrała. Ale téż zważmy: kuszenie sposobność i pięć minut czasu! Jedna z tych trzech rzeczy wystarczyłaby rozpustnikowi,—wszystkie trzy razem wystarczą i najniewinniejszemu.

Zwierzchność czuwająca nad moralnością zakazała nowém prawem podobną naukę mitologii w ciemnościach nocnych,—ale dopiéro w dziewięć miesięcy czy téż dopiéro w rok potém.—Utrzymywano że artysta francuzki był w zmowie z kowalem z Gretna-Green. — Angielscy prawodawcy mniéj są domyślni jak angielska młodzież. Możeby lepiéj było zakazać wszystkich reprezentacyj podczas sessyj parlamentarskich, wstrzymujących prawodawców od udziału w zabawach żon i dzieci.—Dość że w rok po téj wycieczce olimpu paryzkiego na cnotliwą ziemię Anglii, ogród Vaux-Hall wpadł w taką niesławę, że się żadna, o swą sławę i cnotę dbała dama do niego nie zbliży-

ła,—jak gdyby samo powietrze mogło już skutkować, w sposób owego złotego deszczu Jowisza. Na zimno dmuchały, jak niesie przysłowie. — Ogród pozostał w niełasce przez lat pięć czy sześć. Teraz znów przychodzić zaczyna do lepszéj sławy, dzięki kilkunastu reprezentacyom na dochód towarzystwa biblijnego i innych dobroczynnych zakładów danym.

W ogrodzie zwanym *Surrey Zoological Garden*, także na prawym brzegu *Tamizy* ku *Greenwich*, znajduje się piękna menażerya: tam także dają przedstawienia mianowicie pyrotechniczne, czyli ogniosztuki wszelkiego rodzaju. Raz na tydzień przedstawiają wybuch *Wezuwiusza*. Wnętrze góry, częścią naturalnéj częścią usypanéj nad brzegiem obszernego stawu reprezentującego morze, nabijają różnemi rodzajami mass i kompozycyj prochowych. W ciemną noc zapalają tę massę za pomocą nici saletrowanéj. Zrazu daje się słyszéć grzmot podziemny — potém bucha płomień, nareszcie wszystko grżmi i tętni. Cały wulkan ognia wydobywa się ku niebu, tysiące rac pęka z niesłychanym hukiem w powietrzu, ognie wszystkich kolorów migają się i przelatują, ziemia ryczy w swéj głębi, góra się rozsadza i rozlewa strumienie lawy do syczącego jeziora odbijającego obraz ten prawdziwie okazały.

Widowisko to sprawia mocne wrażenie na ludzi a nawet na niebie; gdyż najczęściéj chmury się ściągają i nieraz grzmot niebieski wtóruje sztucznemu gniewowi ziemi, tak jak gdyby szło na prawdę. Tak słaby człowiek sztuką swą potrafi rozdąsać wieczne żywioły. Ja się napatrzéć nie mogłem temu widowisku, i byłem ze sześć razy na niém.

Takie są zabawy publiczne klass wyższych towarzystwa w Londynie, prócz wielkiéj opery włoskiéj, teatrów *Hay-Market*, *Drury-Lane*, *Covent-Garden*, kilku wielkich koncertów. Niewielkie zasoby radości na tak liczną ludność, każdy przyzna.

Ale lud jakie ma zabawy i rozrywki publiczne? Żadnych, prócz exekucyj kryminalnych i swych *gin-palaces* (pałaców gorzałczanych). Nie wstępujmy na pole dziennikarzy angielskich, i nie wdawajmy się w opisy owych exekucyj, z których aż zanadto jasne można powziąść wyobrażenie o srogości charakteru do jakiéj doprowadzić może chrześcian zaniedbanie umysłowe, nędza i chciwość silnych wrażeń.

Powiédzmy słów kilka o pałacach dżinowych, owych stekach zepsucia, w których zbiera się lud jak roje pszczół około ula, a gromadzą się nędzni, obdarci, wychudli wyrobnicy jak chmury szarańczy w każdą sobotę wieczorem. Sąto wspaniałe przybytki, owe szynkownie, wzniesione groszem tego z głodu umierającego wyrobnika, i owego żebraka żyjącego z łaski publiczności. Patrz na facyatę pałacu! Istna świątynia grecka, stoi oparta na słupach koryncklego porządku, naokoło płaskorzeźby, w framugach statuy marmurowe, przedstawiające *Brutusa*, *Wenerę*, *Fauna* i *Satyra*. Drzwi, arcydzieło sztuki snycerskiéj. Wejdź do przybytku, a zobaczysz z dwóch stron długie szeregi beczek dębowych z obręczami i kruczkami mosiężnemi. W środku długi stół pokryty grubą blachą mosiądzu świecącą jak złoto. — Po obu stronach pompy hydrauliczne najpiękniejszéj roboty także z mosiądzu. Z jednéj leje się porter — z drugiéj dżin (wódka jałowcowa). Za stołem szynkarz z tuzinem pomocników

czyściuchno ubranych; szafa z niezliczoném mnóstwem szklanek i kieliszków, fajek gipsowych i słonych śledzi.

Pomiędzy drzwiami a stołem stoją ściśnięci w łachmanach owi wyrobnicy, którzy pracują codzień 17 godzin w pocie czoła, w sobotę tylko 12. Ich wychudłe lica, zapadłe oczy i piersi, pokrzywione nogi, pokaleczone ręce świadczą o wpływie téj pracy na ich zdrowie. Obok nich stoją z kieliszkami w ręku, z klątwą w ustach nadobne ich żony i dzieci, z których nawet sześcioletnie już się upija regularnie przynajmniéj raz w tydzień.

W téj zapowietrzonéj atmosferze żyje — i z niéj żyje ów szynkarz milionowy. Dziś usługuje temu ludowi dla którego ma odrazę i obrzydzenie, ale o północy, kiedy wyprosi swych gości mogących ustać na nogach, a nielitościwie wyrzuci za nie tych którzy leżą na ziemi—skoro przerachuje swój zarobek dzienny, zmówi uroczyście paciérz i spać się położy,— wówczas marzy o przyszłém szczęściu i świetności swych dzieci.

Syna pośle do *Eaton* do szkół łacińskich; drogo tu kosztuje wprawdzie utrzymanie, 500 funtów szterlingów (21,000) na rok,—ale się nauczy w siedm lat komponować hexametry łacińskie (korzyść wprawdzie niewielka, gdyż przytém prawie nic innego nie wykładają),—ale przedewszystkiém będzie siedział w jednéj ławce z synami parów Anglii — najwyższe dla ambicyi mieszczaństwa angielskiego szczęście!

I to zaiste nie jest jeszcze zapewnieniem losu, gdyż ten sam syn lorda, który jako dziecko zawarł przyjaźń z synem kommonera (to jest nieszlachcica) wy-

prze się jéj na uniwersytecie, gdzie wprawdzie w jednéj sali będą słuchać tych samych prelekcyj, ale gdzie akademik syn najstarszy lorda-para, będzie siedział na uprzywilejowaném miejscu, w czerwonym złotem wyszytym barecie i podobniéjż todze, a akademik syn mieszczanina o cztery stopnie niżéj stojący w randze, w czarnym barecie i todze na ostatniém miejscu.

Wszakżeż młodszy brat piérwszego syna lorda już mniéj świetne nosi odznaki i o stopień od niego niżéj siedzi,—on już i zabaw starszego brata nie dzieli, bo go na nie nie stać, i u równych sobie *młodszych* braci musi szukać towarzystwa.

Gentry czyli mieszczaństwo uszlachcione urzędem lub téż zawodem uczonym (adwokaturą, doktorstwem, wyższą klassą sztuk wyzwolonych) zajmuje średnie miejsce pomiędzy szlachtą młodszą a mieszczaninem.

Ale szynkarz nie rozpacza. Mój syn będzie górował w naukach, zyska publiczne nagrody — zostanie prawnikiem,—kupię mu dobra, zostanie trybunem ludu, — obiorą go deputowanym do izby niższéj jako szczerze radykalnego syna ludu, strasznym się stanie ministrom swą oppozycyą — dadzą mu urząd sędziego dla zamknięcia mu ust,—napisze dzieło w którém zręcznie wykaże ile może być pożytecznym rządowi modyfikacyą swych opinij, — dadzą mu honorowy tytuł lorda—a późniéj kto wié? mając majątek, umiejąc nim władać, gromadząc intratne urzędy, — kupi jeszcze większe dobra—uzyska przywiléj majoratu, i zostanie parem Anglii, tak jak niejeden kommoner już został.

W taki sposób rozumują najczęściéj prawie wszyscy ci dorobkowce, których majątek wzrósł na grun-

cie zaprawionym krwią i potem tego im obmierzłego ludu.

Z tego cośmy teraz nadmienili i wprzódy już mieli sposobność spostrzedz, wynika, że arystokracya angielska silny wywiera urok na klassy niższe towarzystwa, i że prócz małéj liczby ludzi, niezdolnych do powodowania się czém innémjak czystą miłością prawdy, cnoty lub prawdziwie zacnéj filozofii, — niémasz w Anglii nikogo, któryby nie zazdrościł arystokracyi wysokiego jéj stanowiska, i nie życzył sobie z nią je dzielić.

Gdzie są przyczyny tego uroku?

Pojąłbym je z łatwością, gdyby szlachta dzisiejszéj Anglii była rycerską jak owi dawni bohaterowie okrągłego stołu za króla *Artura*; żeby wspierała nauki jak Medyceusze; żeby się odznaczała gracyą i wykwintnością gustu jak szlachta francuzka; — starożytnością rodu jak niemiecka; wspaniałością i gościnnością jak niegdyś, niegdyś Polska.

Ale nic z tego nie widzę.

Ogół szlachty angielskiéj podobny zresztą do szlachty innych krajów, odznacza się od niéj tylko bezrozumną rozrzutnością z jaką pieniądze swe trwoni, gotowością do wszystkich płochości, namiętném ściganiem za kaprysami, za modnemi rozpustami, chwilową rozkoszą. W długi zaś brnie codziennie: mało jest dóbr nieobarczonych hypoteką! żydzi i negocyanci zahaczyli już trzy czwarte majątków wysokiéj szlachty. — Arystokracya tutejsza poddając się tak jak reszta świata ślepo panowaniu mody, — władając pomimo długów jeszcze bardzo wielkiemi zasobami pieniężnemi, a wiedząc że niedość błyszczy świetnością swego

rodu, aby się mogła obejść bez innego odznaczenia— udała się do innych środków, aby się stać głośną. Ambicya nią powoduje przedewszystkiém, i ona wyrodziła owe współubieganie się o wygórowanie w dziwnych fantazyach, któremi ludzie pozbawieni istotnego wychowania umysłowego zdołają jedynie zapełnić próżnią życia bez celu.

Par Anglii, dumny z swego rozumu którego daje codziennie dowody jako prawodawca, wysyła z najpoważniejszą w świecie miną syna swego pierworodnego za granicę, aby tam utrzymywał zazdrości godną reputacyą Anglików wygórowania nad wszystkie inne narody dziwactwami i excentrycznością.

Ze strony więc moralnéj i z usposobienia intellektualnego ogółu, niémasz prawdziwie czego zazdrościć arystokracyi angielskiéj, i nie w niéj leży przyciągający magnes.

Przyczyna leży raczéj w samém usposobieniu Anglików średniéj klassy, zamiłowaniu w swéj wolności politycznéj, lecz nieprzypuszczającéj ani na chwilę istności takiéj równości jaką pojmują Francuzi, i jaką po części mają, choć mniéj daleko posiadają wolności niż Anglicy.

Ktoby powiedział, że Anglik któregośmy wystawili praktycznie i teoretycznie hołdującego zanadto *materyi*, który jest nieczułym prawie w swych stosunkach z światem zewnętrznym, obojętnym prawie z przyjaciołmi, zimnym w objawieniu miłości familijnéj, poważnym w swych stosunkach z Bogiem, — chowa całą swą czułość, swój entuzyazm, cały swój zasób poezyi na zubóstwienie.... czego? na zubóstwienie próżnych okazałości któremi się otaczają w tém życiu

znikome wielkości ziemskie, na zubóstwienie pomp magnackich, szumiących tytułów, złoconych herbów.

A tak jest w istocie.

Tu leży bazyliszek czarujący oczy Anglików. Z dziecinną naiwnością przyznają się do tego po największéj części, mówiąc; „*We must have something to worship.*“ (Musimy miéć cośkolwiek do ubóstwiania). Wszystko zaś wychodzi z poszanowania dla starodawnych instytucyj kraju, poszanowanie nieosłabione tegoczesnemi tendencyami, nieosłabione w niczém burzą purytańską. *Cromwell* był owym piorunem który padł na sztuczną budowlę towarzystwa angielskiego, najwyższa przyciągnęła go wieża i skruszała pod jego wściekłością. Reszta budowli zadrżała lecz się nie zawaliła — i wnet odbudowali wieżę. Dziś w towarzystwie chcącém uchodzić za *respectable*, a z Anglików średniéj klassy złożoném, nie można wspomniéć o *Cromwellu* bez wzbudzenia manifestacyi wstrętu. Prędzéj jeszcze arystokracya uzna że kraj winien wiele zdobywcy *Jamaiki* i zwycięzcy potęgi morskiéj *Hollandyi*, niż kupiec londyński który z tego najwięcéj skorzystał.

ROZDZIAŁ VII.

Przyczyny sił żywotnych arystokracyi angielskiéj — Wcielanie mieszczan do arystokracyi—Utrudzenie wychowania—Szkółki wiejskie niedzielne — Ile kosztuje wychowanie prawnika, a ile lekarza ?—Wskrzesiciele — Okropny przemysł — Lord protektor—Zapis dla Polaka protestanta w Edymburgu—Piekarz i lekarz —Protegowani—Dr. B., Szewc — Pan A. wyrobnik w fabrycce cynku — Pan X. F także wyrobnik — Odcienia polityczne.

Nie odstępujmy jeszcze arystokracyi angielskiéj bez wyłożenia tego, co ją tak mocno utrzymuje na nogach, że jéj budowy żadna jeszcze burza zachwiać nie zdołała.

Dwie są według mych spostrzeżeń najważniejsze przyczyny tego zjawiska: 1° sposób rekrutowania się arystokracyi Wielkiéj Brytanii, i 2° utrudnienie nauk z przyczyny ich kosztowności.

Nie cała arystokracya Anglii składa się z boxujących ambasadorów, z pojedynkujących się biskupów (anglikańskiego kościoła), z prawodawców wyjeżdżających do Norwegii polować na niedźwiedzie i brać kułaki od stróżów nocnych, zakładających się kto sobie piérwszy w łeb wystrzeli lub nogę utnie, z ministrów zgrywających się w karty, dyplomatów pijących do upadłego.

Nie! są i tacy których wszystkie chwile życia całego poświęcone są dobru kraju i tryumfowi zasad, są i tacy którzy z nieporównaną czynnością łączą wielkie serce i wysokie talenta. Mała liczba tych mężów wystarcza na utrzymanie całości na swojém stanowisku, a część téj liczby składa się z plebejuszów, którzy okazawszy cnoty i zdolność i przebiegłszy wszystkie stopnie sądownictwa i urzędowania, czasem nawet wprost z ławek Izby niższéj, powołani są do zaszczytu zasiadania w izbie parów.

Najznakomitsze talenta Anglii wsiąkają w ten sposób w arystokracyą, i to tak szczerze i serdecznie, że raz zostawszy parami Anglii bronią instytucyi arystokratycznéj z taką zaciętością jak gdyby od wieków do jéj ciała należeli.—Koledzy téż tyle taktu posiadają że takiemu płaszczem purpurowym z gronostajami przykrytemu parweniuszowi rzadko pochodzenie jego przypominają. Zresztą duma szlachecka, heraldyczna w arystokracyi téj byłaby w istocie rzeczą zanadto zastanawiającą, śmieszną poniekąd. — Nie należę wprawdzie do rzędu ludzi wierzących oskarżeniom *O'Connelu* jak słowom ewangelii. ale nie widzę w angielskim parlamencie jako kilka imion reprezentujących czasy poprzedzające zwycięztwa *Wilhelma Normanda.* Późniejsza szlachta ród swój wywodzi od awanturników towarzyszących owemu zwycięzcy który był, jak wiadomo, synem naturalnym *Roberta Djabła* księcia Normandyi i biednéj praczki z *Falaise.*

Prawie wszyscy książęta zasiadający w izbie parów pochodzą od dzieci naturalnych *Karola* II. Niémaż przyczyny być tak nadzwyczajnie pysznym z swego urodzenia?

Powiedzieliśmy wyżéj, że druga przyczyna zabezpieczająca arystokracyą angielską od upadku, leży w kosztowności nauk. Świątynie Muz tylko dla bogatszych są dostępne.

Lud wiejski ma swe szkółki do których wysyła dzieci, kiedy może obejść się bez ich pomocy przy uprawie roli lub żniwie. W nich się nauczą wieśniacy czytać, pisać, cokolwiek rachować, katechizmu, i na tém koniec.

Lud miejski, niemogący wydźwignąć się z nędzy pracą siedmnastogodzinną na dobę, posyła swe dzieci od szóstego roku życia do fabryk. Szkółek niedzielnych nie braknie wprawdzie, lecz ileżto w nich się nauczy dziecko, pracujące cały tydzień, a ileżto nie zapomni przez 6 dni z tego co się w jeden nauczyło?

Dla średnich nawet klass pobieranie nauk jest rzeczą dość uciążliwą, i w żadnym kraju nie znajdzie tyle wykwintnie ubranych nieuków jak w Anglii; tyle ludzi ogołoconych zupełnie z naukowego wychowania, a obracających się po najlepszych towarzystwach klass średnich. Nieuk najsurowszy byleby nie był ubogim, i byleby znał wszystkie etykietalne formy towarzyskie, nie będzie raził oczu żadnego Anglika. Powié o nim: „*indeed he is not a scolar*“ (w istocie on nie jest uczonym), i na tém koniec. Angielki daleko więcéj są wymagające, gdyż w ogóle w średnich warstwach towarzystwa nieskończenie więcéj posiadają nauki od swych braci. W tym względzie też same tutaj zachodzą stosunki co i u nas między szlachtą wiejską. W Galicyi widok ten jeszcze daleko więcéj w oczy bije. Jak mało trzeba miéć prawdziwéj chęci do nauk, żeby się dać wyprzedzić kobiécie pobierającéj je od guwernantek?

Zakładów naukowych *rządowych* niéma właściwie w Anglii, gdyż i uniwersyteta winny swój początek, wzrost i kwitnienie najczęściéj zapisom prywatnym, a są takie które po prostu wynikły z spekulacyj handlowych, z kapitału zebranego akcyami, jak naprzykład „Uniwersytet Londyński“ założonych przed 20 laty dlatego, że piérwszy uniwersytet stolicy zwany „*Kings College*“ (wyższa szkoła królewska) zraził publiczność *nietorysowską* swemi dążnościami, kosztownością nauk i niedostatecznością tychże.

Spekulacya ta handlowa bardzo się dobrze powiodła, i akcyonaryusze ciągną teraz jedenasty procent z téj fabryki rozumu.

Pomimo tego ułatwienia nauki i kursa uniwersyteckie drogą jeszcze są rzeczą. Wychowanie syna na adwokata kosztuje przy największém szczęściu i oszczędności do 160,000 złp., — a na doktora medycyny do 180,000 przynajmniéj, — dawniéj jeszcze więcéj dla kosztowności lekcyj anatomicznych.

Wprzódy wykonawcy wyroków śmierci byli jedynymi dostarczycielami anatomicznemi. Późniéj *Botany Bay* weszła w modę, zaczęto przestawać karać śmiercią małe kradzieże, brakło *przedmiotów* anatomicznych. Potrzeba wyrodziła nowy przemysł, tak nazwanych *resurectioners* czyli wskrzesicieli, odkopujących ludzi nocną porą z ostatnich swych siedzib.— Zaczęto czuwać lepiéj nad umarłemi, staranniéj daleko jak nad żyjącemi. Z tego korzystali odważniejsi wskrzesiciele, dusili późno wracających pijaków na ulicach i sprzedawali ich trupów. W Anglii wszystkie przedsięwzięcia idą na wielką skalę: utworzyło się towarzystwo wskrzesicieli morskich, które prowa-

dziło handel *en gros.* Można było u tych piratów zapisać *przedmioty anatomiczne* wszystkich narodowości, płci, wieku a nawet i konstytucyi — tojest konstytucyi ciała. Wszystko to przychodziło pod firmą towaru zabranego na cmentarzach, ale późniéj przekonano się że ludzie żywi znikający często tu i owdzie na brzegach Francyi nawet, służyli na żywienie tego okropnego przemysłu.

Teraz dopiéro prawodawcy angielscy postanowili prawo, upoważniające administracye szpitalów do przeznaczania na sekcye anatomiczne ludzi zmarłych w szpitalach a nie reklamowanych w trzy dni.

Ustała odrazu przebrzydła spekulacya, któréj pomysłu sam czart podobno Anglikom miał pozazdrościć. —

Wracam do mego zadania. Znajduje się w każdém kollegium wszystkich uniwersytetów kilka, często kilkanaście burs dla zdatnych lecz ubogich uczniów lecz prawie wszystkie uniwersyteta w ręku są ludzi szczerze oddanych arystokracyi, a bursy rozdzielane są z widoczną stronnością pomiędzy z wierności swéj znanych synów sług lub zwolenników wielkich domów. — Każdy o tém wié, i nikt się temu bardzo nie dziwi. Anglik bowiem nieożywiony wyższém pojęciem filantropii, jeśli wznieść się zdoła nad swój własny egoizm, to chyba nigdy poza granice interesu swego stronnictwa politycznego lub towarzystwa dobroczynnego, do którego urzędowo należy.

Nigdy na krok jeden daléj.

Powiedzieliśmy już wyżéj mówiąc o jednostronności uczonych, że Anglik z zbytniéj obawy rozstrzelenia na wiatr swego rozumu, ścieśnia go i koncentruje w za-

nadto szczupłe, na *erudycyą* niewystarczające ognisko. Toż samo można powiedzieć o ich uczuciu, i przykładami stwierdzić.

Sir Arthur R. jest bardzo majętnym i wysoko ukształconym filantropem, — cały oddany cierpiącéj ludzkości, tojest téj części która cierpi w skutek ślepoty fizycznéj. Syn własnych swych dzieł, twórca własnego znaczenia i majątku, poświęca od lat dwudziestu owoce swéj pracy *jedynie i tak jednostronnie* ulżeniu niedoli niewidomych, że kulawy lub rąk pozbawiony żadnéj u niego pomocy nie znajdzie. Wielu ma ubogich krewnych, gdyż się wzniósł z łona ludu, — lecz nic im nie wyświadczy dobrego. Niedawno własny jego synowiec stracił w nieszczęśliwych spekulacyach handlowych cały swój majątek. „Jaka szkoda żeś przytém nie stracił i wzroku mój synowcze, więcéj daleko mógłbym dla ciebie uczynić „mówił serdecznie wzdychając stryj nieszczęśliwego i dając mu bardzo małą jałmużnę. — Pomimo tego publiczność ubóstwia *Sir Artura R.* i wzniesie mu spiżowy posąg po śmierci, może nawet umieści w *West Minsterze* pomiędzy nieśmiertelnemi.

Lord D.S. jest szlachetnym i niezmordowanie dobrym człowiekiem, to rzecz niezaprzeczona. — Cierpliwość jego przetrwała najboleśniejsze próby, w usłudze dla nieszczęśliwych *bliżéj nas obchodzących* nie dał się zachwiać ani na jednę chwilę. — Jednakże *Lord D. S.* nie jest w swéj ludzkości wolnym od ducha partyi. Kto nie uznawał prawności dzikich pretensyj politycznych wysokiego jego przyjaciela pana *C.*, ten nie uzyskał nigdy względów Lorda.

Zdarzyło się podczas mego pobytu w Londynie, że *Lord Profost* (burmistrz) Edymburga uwiadomił *Lorda D. S.* o wynalezionym w archiwach zapisie jednego oficera polskiego rannego w Hiszpanii w bitwie pod *Talaveyra de la Reyna* roku 1809, zabranego przez Anglików do niewoli, i przesłanego późniéj z pontonów do *Szkocyi* do *Dumfries.* — Oficer ten protestant z wyznania umarł w skutku ran 1820 i zostawił resztę swego bardzo szczupłego majątku uniwersytetowi edymburskiemu pod warunkiem żeby go tenże obrócił na utrzymanie jakiego protestanta urodzonego w Polsce w przypadku, gdyby traf jaki nieprzewidziany a możebny zarzucił do Edymburga osobę łączącą w sobie potrójne własności: Polaka, protestanta i uczącego się.

Rodak nasz musiał mieć umysł bardzo skołatany cierpieniami, kiedy swą chęć wyświadczenia dobrodziejstwa określił i ograniczył niepotrzebnym wcale warunkiem wyznania religijnego.

Dość że *Lord Profost* wezwał lorda *S.* do wynalezienia zpomiędzy protegowanych, osoby kwalifikującéj się na spadkobiercę.

Dwóch się przedstawiło współzawodników, jeden był medykiem kochającym swoj zawód i zdolnym ze wszech miar korzystać wiele z nauki. — Ten miał to jeszcze prawo do względów *Lorda,* że nie z własnéj woli lecz zapędzony burzą losu przybył do Anglii.

Drugi współzawodnik wyszedł był dwa lata temu z kraju opatrzony regularnym paszportem i opisany nim i wanderbuchem jako piekarz. Przewędrował całe Niemcy piekąc dla nich chléb i bułki, nareszcie puścił się do Anglii, gdzie nie znalazłszy zaraz pracy zapisał

się do obozu pretendenta.—Poświadczono jednakże że teraźniejszy piekarz był dawniéj uczniem uniwersytetu. Zrobiono jak ów sumienny ksiądz nie chcący gwałcić postu, a niemający w spiżarni nic prócz kiełbasy. Przeciągnął ją przez święconą wodę mówiąc: „*fiat anguilla*“ i kiełbasa stała się węgorzem.

Kto uzyskał protekcyą Lorda *S.*? Piekarz—dlatego że był zwolennikiem *jedynéj kotwicy ratunku.* Lekarz innego był zdania i dlatego uległ srogości losu.

Lord *D. S.* jest prawdziwym *gentlemanem*, i dlatego nie chciał bez *apology* (bez usprawiedliwienia się) puścić skrzywdzonego lekarza, przystąpił tedy do niego i rzekł: „Przepraszam pana, że mu tą razą służyć nie mogłem, choć przekonany jestem że więcéj skorzystałbyś z dobrodziejstwa nauk jak pan *M.*, któremu trudno będzie wrócić duchem z ciasta do książki. — Ale sam pan zważ, jesteś jawnym przeciwnikiem „*of my party*“ (mego stronnictwa), jakżeż mógłbym bez uchybienia powinnościom które każdy prawdziwy Anglik za święte uważa, przekładać przeciwnika nad współpracownika?“

Oddać należy sprawiedliwość Lordowi że nie znał różnicy opinii tam, gdzie szło o przedłużenie życia wszystkim swym *protegowanym*, których trzecia część nie miała żadnego stałego funduszu i utrzymywała się tylko z dobrowolnych składek, i z funduszów zbieranych balami, koncertami, widowiskami, obiadami i t. d. Lorda *S.* poświęcenie przechodzi wszystko, sam niemajętny (miał jako syn młodszy z 200,000 złp. rocznie *najwięcéj*), sam nieszczęśliwy w swém pożyciu domowém (żona jego jest córką *Lucyana Bonapartego* księcia *Canino*), nie tracił jednéj chwili, jednéj sposobno-

ści na wyszukanie pomocy dla protegowanych utrzymywanych przy życiu od dnia do dnia. Pomimo wszystkich jego usiłowań nędza była okropną, przechodziła nieraz wszelkie granice możliwości zniesienia jéj— szczególniéj kiedy zima nadeszła i Anglicy sami *na ulicach* z głodu umierali.

Wielu z protegowanych umierało z tęsknoty, na suchoty i tyfus — wielu nikło na sposób owego filozofa niemieckiego — samobójstwem. Pracy dostać trudno było nadzwyczajnie człowiekowi nieposiadającemu jakiegoś szczególnego usposobienia,—protekcyi, i rzeczy bardzo ważnéj w Londynie—pięknych wykwintnych sukien. Wielu bardzo zdolnych naukowych ludzi wzięło się do rzemiosła. Znany major *Ben...* doktor medycyny, sławny professor *Mnemotechniki* człowiek dziwnie hojnie przez naturę obdarzony, wziął się do szewstwa i szył damskie trzewiki. — Dr. *Szczap...* zawołany lekarz, obdarzony w Szwajcaryi obywatelstwem, w Londynie zrobić sobie *klienteli* nie mógł, (gdyż kto ją sobie zrobi w tém mieście nie żyjąc wystawnie, nie tracąc z 50,000 złp. rocznie przez lat kilka), i utrzymywał się z przygrywania na skrzypcach w orkiestrze na teatrach, balach.

Biedny *Aw....* człowiek młody, świeży, zdrów— wesoły jak dziecko — nie dał się ugiąć losowi w żadném położeniu, ducha dodawał wszystkim. W szkołach uczył się doskonale, znał dobrze kilka języków. Toby mu wystarczyło na zapewnienie sobie dobrego utrzymania, ale należał do *stronnictwa* i żadnéj nie uzyskał protekcyi. Wziął się do szycia trzewików damskich pod przewodnictwem pana *Laurent* Francuza wybornego szewca, a pracując dniem i nocą nauczył

się wkrótce rzemiosła bardzo popłacanego podczas zimy, dla częstych balów pomiędy *„high life“* tojest wysokim tonem. Przeszła zima, tańce ustały, pracy zabrakło. Mój przyjaciel *Aw...* wegetował czas niejaki, starał się napróżno o lekcye, a nareszcie znaglony biedą i przyjazdem żony i dziecka szukał zatrudnienia w fabrykach i znalazł je w fabryce cynku, należącéj podobno do naszego rodaka pana *Steink.....*, przynajmniéj wiem, że szwagier jego nią dyrygował. — Tu pracując 16 godzin na dzień zaledwie zdołał wyżywić siebie i rodzinę. Ale jakażto była uciążliwa ta praca, powietrze jak niezdrowe w téj fabryce! Jednak wytrwał w niéj biedny *Aw...*, wytrwał aż do końca. Znękany, osłabiony, zapadł na tyfus i już nie wstał więcéj—amarł w trzy dni po urodzeniu drugiego dziecka. Miał wtenczas lat dwadzieścia pięć.

Podobnemu losowi o mało co nie uległ kolega mój szkolny *X. F.* w téjże saméj fabryce. Syn majętnych rodziców, pięknéj familii — musiał wziąść się do najuciążliwszéj pracy, musiał w gorącéj jak żar otmosferze wydobywać niezmierne i gorące blachy cynku zpod jednych walców i podkładać je pod drugie szczelniéj zbliżone walce — i to przez 16 godzin na dobę. Za to zarabiał 4 złp. na dzień.—Poprzecinał sobie palce i ręce ostremi kantami blachy,— ręce jego były jedną zaognioną raną, ślady krwi swéj zostawił na każdéj sztuce.—Późniéj zapadł na chorobę wątroby długą i okropnie bolesną, gdyż się uformowały kamienie żółciowe, które przy przechodzie przez kanał żółciowy męczarnie mu sprawiały niewypowiedziane.—O mało co nie umarł, i nigdy do zupełnego zdrowia nie przyszedł.

Takie były męki ludzi mogących pracować, lecz większych jeszcze doświadczali ci, którzy pracować nie byli w stanie.—Wiemy już czém jest tęsknota!

ROZDZIAŁ VIII.

Sztuka lekarska w Anglii—Szarlatani—Morisson—Dr R...—Teorya—Duma ludzi pozbawionych wyobraźni —Poezya—Nauki klassyczne — Zawód literacki—Praktyka lekarska — Kuryer Hannowerski—Indyanka z Bengalu—Miss Emily—Pan Wood — Melancholia—Teatr Drury — Lane—Szekspir —Maiready—Miss Warrens — Lady Macbeth—Juliusz V—Matka jego —Delikatna reklamacya.

Z tego cośmy już tu i owdzie o lekarzach Anglii, o jéj sztuce lekarskiéj napomnieli. nie można jeszcze powziąć jasnego wyobrażenia o téj ważnéj gałęzi nauk. Kraj który wydał *Wilhelma Harwey*—wielkiego *Sydenkama*, słusznie przezwanego *Hippokratesem* Anglii—*Browna*—*Ewerarda Home*—*Jana Hunter*—*Jennera*—*Abernethego*, i jeszcze w czasie pobytu mego w Londynie posiadał *Sir Astleya Coopèr*, księcia chirurgów jak go tu nazywano, nie mógł nie zasługiwać na uwagę medyka kochającego swój zawód. Istotnie pobyt tych wielkich ludzi na ziemi, zlał nieskończone dobrodziejstwa na całą ludzkość; lecz niestety szukać należy śladu ich przejścia więcéj w literaturze, w zbiorach naukowych, w głowach niektórych uprzywilejowanych ludzi, jak w usposobieniu ogółu lekarzy, w du-

chu instytucyj lekarskich naukowych i administracyjnych.

Oddaję sprawiedliwość należną usiłowaniom, talentowi lekarzy, jak panowie *Babington*, *Bransby Cooper*, *Clarke*, *Liston*, *Lawrence*, *Charles Bell*, *Monro*, *Alison*, *Graves*, *Stokes*, których miałem szczęście znać osobiście i wielu innym znanym mi z pism i sławy;— oddaję nawet sprawiedliwość praktyczności i dobroci sztuki lekarskiéj angielskiéj do jakiéj doszła pod ręką wielu innych lekarzy, — a pomimo tego występuję z śmiałém zdaniem i utrzymuję, że niémasz narodu ucywilizowanego gorzéj leczonego jak naród angielski,—że niémasz lekarzy mniéj się znających na swéj sztuce jak *ogół* lekarzy angielskich; instytucyj naukowych zarozumialszych i niedostateczniejszych jak fakulteta lekarskie Anglii.

Klassa niższa narodu zgłasza się w przypadku choroby nie do doktorów medycyny, którym nie można ofiarować za wizytę mniéj jak gwineę w złocie, tojest 45 złp.,—ani nawet do *Licencyata medycyny* lub *chirurga* mających prawo do połowy lub trzeciéj części téj ceny, lecz do aptekarza niebiorącego nic za wizytę i za pomacanie pulsu, lecz każącego sobie płacić po aptekarsku za lekarstwa, które przysyła. — Nie istnieje tu żadne prawo zabraniające aptekarzom lub komukolwiekbądź sztuce zupełnie obcemu, praktyki lekarskiéj; lecz domagać się prawnie wynagrodzenia może tylko dyplomem angielskim lub szkockim opatrzony lekarz. Dyplomy doktorskie zagraniczne, lub nawet irlandzkie zyskują prawomocność dopiero po potwierdzeniu, tojest po zapłaceniu 35 funtów szterlingów (1,500 złp.).

Liczba *Szarlatanów* zacząwszy od *Morissona*, skończywszy na wróżkach, jest bardzo wielką. Część mędrsza publiczności gardzi niemi; — pomimo tego, wielu z nich jeśli zręcznie mamią i prowadzą swe intrygi, zyskuje wielkie majątki. Za mojéj bytności pan *Morisson* i Spółka już wyszedł był z mody w Londynie, Anglii i krajach sąsiednich.— W Londynie samym nawet sława jego do tego stopnia była zachwianą, że kolega mój i rodak Dr. *Rat*, jeden z zdatnych lekarzy wyszłych z fakultetu wileńskiego, walczący z nędzą pomimo ciągłéj swéj czynności, nie chciał przyjąć w zakładzie *Morissona* miejsca ofiarowanego mu z rocznym dochodem 10,000 złp. — Dr. *Rat*. wolał cierpiéć i tracić zdrowie w bezpłatnéj służbie dla ludzkości, niżeli uświęcać tytułem swym doktorskim szarlataneryą *Morissona*.—Przemysł jego pigułkowy stracił jak mówią swą wziętość w Anglii, Francyi, Niemczech i Hiszpanii, kwitnął jednakże i kwitnie jeszcze w Mołdawii, Wołoszczyznie, na Podolu, Ukrainie, w Tartaryi, Galicyi i innych krajach odległych od środka cywilizacyi; i dlatego téż z *wdzięczności Morisson* chciał miéć Polaka do korrespondowania z swemi entuzyastycznemi zwolennikami.—Dr. *R*... odrzucił propozycyą, w rok potém padł ofiarą swego niezmordowanego poświęcenia dla ludzkości. Umarł w skutek znękania, nędzy i tęsknoty.

Ogół lekarzy nie zna się na swéj sztuce, pomimo usilności z jaką stara się korzystać z nauk drogo płaconych, i które ceni dlatego właśnie, że drogo kosztują. Niedostateczność przygotowawczych, teoretycznych nauk i sekcyj anatomicznych, czyni ich niezdolnemi do korzystania z praktyki przy łóżku chorego

w sposób odpowiedni wymaganiom tegoczesnego stanu sztuki lekarskiéj.

Teoryą zaprawiamy łany naszego pojęcia, praktyka służy na ziarno w nie wrzucone, plony będą tém obfitsze im zaprawa głębiéj w pojęcie wsiąknie i im ziarno będzie zdrowsze jędrniejsze. — Smutna to i źle zaprawiona ziemia na któréj brat brata rodzi -- a tak bywa z głowami wspierającemi jedynie na pamięci zasoby swego rozumu. Angielscy lekarze są dumnemi z tego że rozum ich nie wychodzi z ciasnych granic rutyny nabytéj w szpitalach, i że odrzuca wszystko co w głowę, ich nie wejdzie jako marzenia teoretyczne, szkodliwe w zastosowaniu, — ani chcą wierzyć żeby to było pojętném dla drugich co dla nich nie jest dostępném.

Usiłowanie chwalebne nowszych lekarzy francuzkich i niektórych prawdziwie uczonych Anglików, dążące do wyzwolenia sztuki lekarskiéj zpod jarzma systematyki niemieckiéj i empiryzmu aż zanadto upowszechnionego, do wydoskonalenia części dyagnostycznéj nauki medycznéj, — nie wywierają jeszcze żadnego wpływu na ogół lekarzy angielskich niedość uzbrojonych w wiadomości historyczno - naturalne, w fizykę i chemię, żeby mogli wejść głęboko w naturę choroby, i wyśledzić jéj przyczyny materyalne.

Zarzuciłem szkołom lekarskim Anglii już poprzednio bardzo wiele wad, jakoto: drogość kursów, brak katedr przygotowawczych — wspomnę teraz o braku klassycznego wychowania w młodzieży przypuszczanéj do nauki lekarskiéj.

Klassyczność jest tém dla rozumu ludzkiego, czém jest zapach dla kwiatka. Nie przyłoży ona się do do-

skonałości lekarza jako *człowieka fachowego* w ścisłém znaczeniu tego słowa, ale się przyłoży do doskonałości lekarza jako członka ciała uczonego, jako członka i opiekuna téj ludzkości, któréj cierpienia przez całe swe życie będzie miał przed oczyma.

Umysł człowieka krążący ciągle i bezprzestannie w szczupłych obrębach świata dotykalnego, niezdolny wznieść się ponad poziom przypomnieniami obrazów czarujących niegdyś klassyczną jego młodość, — musi nareszcie uledz wpływowi materyi, i pozbawić nas tego, czego najwięcéj potrzebujemy do wykonania trudnego zawodu lekarskiego—poezyi! Tak jest, niech się nikt nie śmieje—lekarz powinien być poetą, nie poetą widzącym wszystko w kłamliwie pięknych kolorach, łudzącym się jak dziecko kalejdoskopem własnéj wyobraźni—o nie! poetą widzącym wszystko— i najbrzydsze w *prawdziwych* kształtach i barwach, gdyż to jest piérwszą jego powinnością, lecz nietracącym nigdy z swego oka szlachetności celu zdolnéj utrzymać duszę w ciągłym uroku.

Lekarz powinien być poetą, jeśli nie chce zbrzydzić sobie swych obowiązków, jeśli nie chce być poniżonym niewdzięcznością ludzką, w razie gdy talent jego cenić nie umieją,—jeśli zbogaciwszy się nie chce zostać zimnym kutwą,—lub jeśli z czasem *otarłszy się w świecie* nie chce być podobnym do owych rzeźniczych chirurgów targujących się przy łóżku jęczącego bliźniego o cenę krwi, którą ma przelać w imieniu ludzkości i dla tryumfu swéj sztuki! Cała atmosfera poezyi powinna otaczać duszę lekarza, kiedy jest w styczności z chorym nędznym lub z chorym nędznikiem, aby się ani chwili nie zrażał widokiem obrzydze-

nie sprawiającym materyaliście. A cóż go pocieszy za szczebiotliwość niewieściego areopagu okupującego sobie *ceną jednéj wizyty* prawo cenzorowania, krytykowania iego wiadomości nabytych wieloletnią mozolną pracą?

Zarzuci mi kto że można mieć poezyą bez uczenia się klassyków. — Lecz ta poezya którą gieniusz natchnie człowieka natury, zatraca się naukami fachowości, jeśli ją wprzódy nie ujmiemy w szczytne formy klassyczności; a mało wierzę w bezwarunkową romantyczność mającą siłę przeniknienia pomroku materyi przyciskającéj, jak owa mgła zawieszona nad Londynem, — duszę lekarza angielskiego.

Nie brakło mi w Londynie sposobności utrzymywania w ciągłém ćwiczeniu wiadomości mych lekarskich i zdobywania nowych teoretycznie i praktycznie. Wielu z panów professorów obdarzyło mnie pozwoleniem uczęszczania gratis na ich prelekcye, i kursa kliniczne. — Prace me literacko-lekarskie nowy wzięły polot za pomocą stosunków listowych w które wszedłem z niektóremi uczniami uniwersytetu paryzkiego. — Prelekcye tamtejszych sławnych professorów mianowicie pana Lisfranc już nieżyjącego niestety i pana Ricord stenografowane i przysyłane mi pocztą umieszczałem w tłumaczeniu angielskiém w nowo wychodzącym lekarskim czasopiśmie „*The medical times*“ trzy dni po piérwszém usłyszeniu ich w salach szpitalów: „*La piété*“ i „*St. Lazare*“ — Nowa ta industrya literacka któréj byłem twórcą przyczyniła się wiele do rozpowszechnienia dziennika i sprowadziła za kilka miesięcy konkurrencyą innych, w skutek czego wynalazca jak późniéj zobaczymy, bardzo szkodował.

Obowiązki me dobrowolne a niepłatne w *foreigu Dispensary* zapoznały mnie z biedą londyńską w całéj swéj ohydnéj nagości i stawały się coraz uciążliwszemi. Zabiérały mi wiele czasu i pieniędzy na omnibusy i dorożki. —Chętnie byłbym się zrzekł tych obowiązków i poświęcił więcéj czasu na prace me literackie, lecz zrzekając się ich, byłbym stracił sposobność opatrywania w lekarstwa wielkiéj ilości cudzoziemców niebędących w stanie wydać ani szeląga, byłbym oraz stracił sposobność wykazania méj strony praktycznéj, jak się wyraża Anglik,—a na tém budowałem nadzieję przyszłego zawodu, w razie gdyby los zechciał przedłużyć mój pobyt w Londynie.

Zawiązał się jednakże, pomimo tylu trudności zaród praktyki prywatnéj, płatnéj, a to w miejscu bardzo odległém od mego mieszkania i od środka innych prac i czynności— w *Chelsey*, téj wielkiéj wsi, stanowiącéj przedmieście Londynu od strony zachodniéj.— Wiémy już, że tu leży dom Inwalidów armii lądowéj, przy tym ogród botaniczny. Przypadkowi byłem winien nowe te stosunki. U pana *Weiss* fabrykanta instrumentów chirurgicznych, Niemca osiadłego od czterdziestu lat w Anglii i bogatego na dziesięć milionów złp. przynajmniéj, zapoznałem się z kuryerem króla hanowerskiego, panem *B.*, także Niemcem.—Żona jego chorowała od długiego czasu na jednę z tych cierpień *hysterycznych,* bardzo dziwacznych w swych przypadłościach. -— Nie mówiła ani słowa po angielsku i znieść nie mogła Anglików i doktorów angielskich; nie można było sprowadzić ją do niemiec dla wielu zachodzących trudności. Pan *B...* prosił abym ją wziął w kuracyę. Mieszkała na *Chelsey*, w bardzo ładnym, wykwintnym domu wiejskim.

Pani *B*... doznawała wielkich bólów; osłabienie jéj i drażliwość dochodziły do najwyższego stopnia, przytém nie znosiła żadnego najdelikatniejszego nawet pokarmu. Pod wpływem kilkutygodniowéj kuracyi, pani *B*... odzyskała jednakże znaczną część zdrowia, i z téj korzystnéj zmiany tyle była zadowoioną, iż żadnéj nie zaniedbywała sposobności sławienia mnie pomiędzy znajomemi i sąsiadkami.

Kuryerem wjechawszy do praktyki, — ta musiała pójść prędko i szybko—niedziw temu, że mnie zawiodła aż do Indyów wschodnich,—tojest do domu, którego panią była Indyanka z Bengalii, wdowa już niemłoda, po Angliku, zostającym kiedyś w obowiązkach podrzędnych w kompanii Wschodnio-indyjskiéj.—Matka syna szesnastoletniego, pięknego jak Sylfa, pracującego w kantorze kupieckim na *City*, dokąd co rano wyjeżdżał i zkąd wieczorem powracał, — liczyła wprawdzie dopiéro lat 30, ale była prawie zgrzybiała;—przytém cierpiała na głowę i ślepła na oba oczy, i téj właśnie okoliczności byłem winien znajomość, któréj następstwa i skutki na całe me życie głęboki, bolesny wpływ wywarły.

Indyanka tęskniła do swéj uroczéj ojczyzny i przywyknąć nie zdołała do zimnéj Anglii, któréj języka nawet dobrze nie posiadła nigdy.

Jéj stan poprawił się znacznie. Raz, w chwili, kiedy mi namiętnie wdzięczność swą okazywała, byłoto nad brzegiem *Tamizy*, w małym ogródku, weszła do tegoż z lokajem za sobą młoda, blada dama, bardzo pięknych rysów, oka czarnego, bystrego, ale wyrazu twarzy tak smętnego, że sprzeczność ta pomiędzy młodym wiekiem panienki, a usposobieniem duszy, za-

raz mnie boleśnie przeniknęła i nagłą sympatyą ogarnęła. Wolno się ku nam, długą, zwirem wysypaną aleją, zbliżała tak, że mogłem podziwiać piękną jéj kibić i sam się siebie zapytać zkąd Angielka wziąć może tyle nadobności w ruchach, tyle gracyi w chodzie, ile jéj rozwijała młoda dama, skromnie w ciemne kolory, lecz w najbogatsze materye, przybrana. —Zasłonięty szerokiemi liśćmi roślin, pnących się z jednego drzewa na drugie, mógłem wszystko widziéć, a nie być widzianym.—Istotnie młoda dama spostrzegła mnie dopiero, kiedy się tuż do nas zbliżyła; spojrzenia jéj padły na me oczy zachwycone, i lekki, bardzo lekki rumieniec, błysnął na bieli jéj lica, — tak, jak ostatni połysk zachodzącego słońca na śnieżnym szczycie *Montblanku*.—Bladość tego lica nie była jednakże zupełnie białą, lub biało-niebieskawą, biało-różową — nie! wpadała lekko, ale tak lekko, jak cień idei w bronzowy, a brzegi powiek cudnie wykrojonego oka dość mocno wpadały w ten kolor, tak, że to im dodawało blasku i bystrości.—Cały typ twarzy miał coś poetycznie oryentalnego, ale nic żydowskiego — tylko indyjskiego, malajskiego. — „To zapewne twój doktor moja dobra *Abigail*?“ zapytała się pani *Norton*, a odebrawszy potwierdzjącą odpowiedź, rzekła do mnie z niewymowną gracyą, podając mi rękę podług mody angielskiéj: „Pani *Norton* była moją mamką i z przyjaźni dla mnie opuściła lat temu dwanaście piękną swą ojczyznę, i przeniosła się pod to smutne niebo Anglii. Może sobie pan wystawić ile mnie martwiła jéj choroba, mianowicie, że *Abigail* nie wierzy w żadnych doktorów angielskich. Wszyscy się dziwimy, że pan byłeś tyle szczęśliwym zyskać tak zupełne zaufanie przyja-

ciołki, a ja oddawna pragnęłam mieć sposobność podziękowania panu za uwolnienie nas od dotkliwego zmartwienia.“ Nie wiém, com odpowiedział na to grzeczne, niespodziewane przywitanie, jąkałem się, wzruszenie jakieś, nigdy niedoświadczane, nie dało mi zebrać mych myśli.

Miss Emily spostrzegła moje wzruszenie, tak było widoczném, i w nieznanym mi zupełnie języku, zadała w uroczystym tonie mowy pytanie jakieś swéj mamce, — a ta wznosząc ku niebu oczy, w których nagle łzy błysnęły, odpowiedziała coś, co wnosząc z giestów, towarzyszących słowom, musiało zapewne znaczyć toż samo, co nasze: „Broń Boże.“

Powoli nieznane uczucie, władające mną jak bezsilną istotą, opuściło mnie przecież o tyle, żem mógł wejść w rozmowę z piękną Angielką. — Szczególne zjawisko, że pomimo solennéj melancholii, rozlanéj w całéj osobie gracyi, melancholii zidealizowanéj nadobnością młodocianą, — nie było w układzie panny *Emily* nic zimnego, dumnego, w mowie nic opryskliwego lub sztucznego. Wszystkie jéj słowa tchnęły słodyczą, a kwiaty, które namiętnie kochała i w wzroście i rozwijaniu się ich oczami czułéj matki pielęgnowała, były piérwszemi punktami zetknięcia naszego gustu, piérwszym przedmiotem naszéj rozmowy.

Szczególniejsze jeszcze zjawisko, że tyle słodyczy i naturalności nie kalała ani kokieterya, ani płochość, owszem, że łączyła się z taktownością o wiele przechodzącą wiek młody panienki, taktownością nienabytą w świecie i jego sztucznych stosunkach, lecz wyrobioną w sobie, w swéj duszy i sercu, w długich i głębokich rozpamiętywaniach umysłu.— Ta ostatnia oso-

bliwość charakteru panny *Emilii*, była wyraźną dla każdego oka wyćwiczonego przenikać głębie duszy swego bliźniego. — Rozmawialiśmy z sobą bardzo wiele, przechodząc od kwiatka do kwiatka, od klombu do klombu.

„Jeżeli pan lubisz kwiatki i masz czas je podziwiać, wówczas towarzysz mi do ogrodu domu naszego, tuż blizko; ojciec mój będzie rad poznać się z panem, już mi to oświadczył kika razy, słysząc pochwały któremi *Abigail* pana obsypywała.“

Przyjąłem te zaprosiny, pożegnałem się z Indyanką i podałem pannie *Emilii* me ramię. —Chętnie je przyjęła, — zdawała się być zmęczoną, szybko oddychała i pokaszliwała cokolwiek.

Ogród pana *Wood* piękny i rozległy ciągnął się wzdłuż brzegu Tamizy, od którój go odgraniczał taras dość wysoki, wysadzony gęstemi krzewy i przejmujący zimne powiewy rzeczne. W środku ogrodu stała altana, cała okryta wijącym się bluszczem, pysznym powojem, świeżym liściem wina.—Obszerną była altana wewnątrz, trzy miała wnijścia, czwarte od rzeki zastawione wielkiém zwierciadłem, zresztą urządzono ją z tym znanym nam comfortem angielskim, umiejącym przewidziéć wszystkie możliwe niedogodności i zaradzić im stosownemi środkami.—W środku altany siedział pan *Wood*... z książką w ręku, — spostrzegł mnie postępującego ku niemu z młodą jego córką, lecz nie wstał; —patrzał się na nas bez dziwienia się obcéj mu fizyonomii. — Na twarzy jego szlachetnéj, pełnéj dobroci i rozumu te same ślady głębokiéj melancholii, co na licach córki. „*That's my good, dear father*“ (to jest mój dobry, drogi ojciec) mówiła panna

Emilia przedstawiając mnie — „*that's the miraculous doctor of our Abigail*" (to jest cudotworny doktor naszéj *Abigail*).

Pan *Wood* przyjął mnie serdeczniéj niż się było można spodziewać sądząc z pozoru. Wszczęła się dość długa rozmowa. Z pola medycznego przeszliśmy na filozoficzne, skoro się pan *W*. dowiedział, żem w Królewcu nauki me pobierał. Filozofia *Kanta* dla małéj części głów dostępna, a w Anglii tak mało wówczas znana, jak dziś jeszcze u nas, miała w panu *W*... wielkiego wielbiciela, lubo się sam przyznawał do inkompetencyi sądzenia o niéj.

Do widoku Anglików ideologów przyzwyczajony nie byłem, — tém więcéj mnie zdziwiło żem go znalazł w kupcu, a nie w uczonym z professyi. Pan *Wood* bowiem był kupcem zbogaconym, jak się zdaje, w Indyach Wschodnich, zkąd przybył do Anglii kilkanaście lat temu. W ciągu mowy, unikając wszelkich niedyskretnych pytań, starałem się wybadać przyczyny, które mogły na ten tor wyjątkowy sprowadzić umysł Anglika;—lecz cytadela dobrze była pilnowaną—i żadnego w tym względzie nie zdołałem powziąść wyjaśnienia. Postanowiłem sobie szanować tę tajemnicę i żadnemi dopytywaniami jéj nie przenikać.

Słońce schyliło się ku poziomowi i zapraszało do korzystania z reszty swych promieni. *Miss Emily* zaprowadziła mnie do swych kwiatów;—pięknym oddawała piérwszeństwo przed rzadkiemi. Nigdzie nie widziałem piękniejszego zbioru gwoździków, róż, geranij, georginij i lilij. Najwięcéj lubiła białe kwiaty, w jednym klombie były zebrane najmilsze reprezentantki godeł niewinności:—śnieżki, jaśminy, pyszna Cala indica, li-

lie, białe róże i gwoździki, późne hyacynty i narcyzy. „Czyż może być coś piękniejszego jak me białe kwiatki?“ zapytała. „Pani niewolno tego pytania zadawać kiedy pomiędzy niemi stoisz“ odpowiedziałem wcale nie w chęci pochlebiania komplementem, lecz w istocie wyjawiając pomimowolnie myśl swą prawdziwą.—Panna *Emily* pojęła myśl méj odpowiedzi i jéj poczciwość. Uśmiechnęła się. Nie byłto uśmiéch pochlebionéj miłości własnéj, ani téż uśmiéch ambarasu,—było coś w tym uśmiechu tak smutnego, że mię wskróś przenikło. „Ja panią obrazić nie chciałem, daruj jeżeli pomimowolnie zawiniłem,“ powiedziałem w tonie proszącym. „O! ja wiem o tém dobrze; ja już teraz znam pańskie serce, jak gdybym pana oddawna znała; obrażoną nawet nie jestem, zaręczam pana. Pan mnie porównał z kwiatkami, ja je oddawna za swoje rodzone siostry uważam“ rzekła tuląc do swego łona lilię białą i znów się uśmiechnęła wznosząc oczy ku niebu, ale już nie smutna, tylko jak natchniona, jak święta.— O jakże była cudnie piękną w téj chwili!

Proszono abym bywał, proszono bardzo szczerze.— W kilka dni wróciłem.—*Miss Emily* błąkała się pomiędzy swemi kwiatkami i zachwycała ich widokiem. — „Jakie pan poweźmiesz smutne wyobrażenie o wychowaniu młodéj damy, która prócz pielęgnowania kwiatów, prócz haftowania ich na kanwie, nic zgoła nie robi, tylko czasem przeczyta książkę jaką religijną.“— „Istnieją zapewne przyczyny tego zaniedbania modnych gustów, tego wyrzeczenia się chwilowego przyjemności literatury, muzyki, towarzystwa i innych zabaw“ rzekłem.

Miss Emily odpowiedziała; „Nie chwilowe to wyrzeczenie się; ja już od kilku lat i nazawsze porzuciłam wszystko, co mnie może odwieść od Stwórcy mego i od natury.“

Dalsze me pytania nie zdołały odkryć mi nic nowego. Nie nalegałem. Spostrzegłem że wielka jakaś i uroczysta tajemnica otacza jak obłok nieprzejrzany ojca i córkę, i trzyma ich serca w więzach melancholii głębokiéj, ale tak świetnéj i pełnéj uroku, że nic w niéj nie było rażącego dla sympatycznéj duszy człowieka, który sam nie był szczęśliwym.—Długo i wolno, odpoczywając często, błąkaliśmy się po umajonych ściezkach ogrodu. Panna *Emily* wspierała się na mém ramieniu; rzadko które z nas przemówiło słów kilka, a te nie ściągały się nigdy do potocznych przedmiotów, lecz zawsze były objawem wyższéj myśli czerpanéj w widoku natury lub uczuć religijnych nim wzbudzonych.—Dusze nasze pragnęły się pojąć i wybadać, obiedwie błąkały się na obszernych błoniach instynktu, gdyż na cóż służy rozum i domniemywania tam, gdzie jest grobowe milczenie z jednéj strony, a względy dyskrecyi z drugiéj? *Miss Emily* spostrzegła że i mnie ogarnia powoli smętność, a chcąc wyrwać mnie z toru myśli smutnych, opowiadała mi dzieje swéj piérwszéj młodości i czarowała me ucho opisem cudów nieba i ziemi Bengalu, swego kraju rodzinnego.—Ileż było poezyi i bogactw myśli w tych obrazach skreślonych z dziewiczym zapałem serca pełnego uczuć i ognia!—w tych chwilach drogich dla mnie i pamiętnych poznawałem dopiero całe skarby wyobraźni zawarte w głowie, która gardziła wszelką literaturą, prócz pisma świętego i ksiąg na niém opartych!—Wówczas ją podziwia-

łem oddech mój wstrzymując, aby on nie przytłumiał ani jednego odcienia głosu.

Pożegnałem się... „Przyjdzie pan wkrótce odwiedzić pustelników?“ zapytała *Miss Emily* z tak wdzięcznym wyrazem twarzy, jak pogodny lazur nieba?

„Mogęż nie przyjść?“ odpowiedziałem oczarowany. „Boże! czém mogłeś zakrwawić serce tego aniołu, który niczém nie zdaje się należéć do ziemi, a tyle jednakże cierpiéć musi?“ pytałem patrząc w gwiazdziste niebo. — „Miłość, zapewne miłość, uczucie to namiętne, już w najpiérwszéj młodości ognistéj téj kreolki poczęte, uczucie tłumione lub téż zawiedzione w swych nadziejach,“ odpowiedziałem sobie, i czując jak mnie niepowściągliwie owładywała sympatya dla pięknéj *Emilii*, postanowiłem strzedz mego serca walecznie i unikać sposobności jéj widywania.

Aby się wyłamać zpod jarzma niebezpiecznego uroku, oddałem się z zapałem pracom moim. Kilka godzin spoczynku wystarczało mi na dzień cały, wieczory przepędzałem w *Drury-Lane*, w teatrze, gdzie *Macready*, ów wymowny tłumacz *Szekspira* występował w rolach kardynała *Wolsey*, *Ryszarda*, *Hamleta* i *Macbetha*. — Piękności *Szekspira* przewidywałem już prawie w latach dziecinnych, nawet w tłumaczeniu *Dmochowskiego*. Znudzony paradną deklamacyą tragedyi *Rasyna*, którą mnie urzędownie w szkołach żywiono, uciekałem się z zapałem pod skrzydła gieniuszu angielskiego tak rodzinnego, naturalnego, pełnego wzniosłych i jędrnych pomysłów, nieprzykrojonych na długość wiersza alexandryjskiego, lecz wyrywającego się z wszystkich form znanych, a krępujących umysł.

Późniéj w Niemczech doskonałe tłumaczenia niemieckie wtajemniczyły mnie głębiéj w ducha nieśmiertelnego poety.— *Szekspirowi* winien jestem piérwszą myśl uczenia się języka angielskiego:—piękności literatury angielskiéj wynagrodziły mi tysiąc razy wszystkie trudy i mozoły téj nauki.

Nareszcie miałem tu przed sobą sposobność nasycenia się pięknościami jeszcze nieodgadniętemi ulubionego poety. — *Macready* tak jak wprzódy *Kemble* i *Kean* sławnym już był wtenczas z swego nieporównanego talentu oddawania muzy tragicznéj *Szekspira*, — uzupełnia go w miejscach, gdzie sam autor zostawia późniejszym dziedzicom ducha jego sposobność wykazania własnéj muzy myśli. Nieraz przechód z jednéj myśli do drugiéj zdawałby się być nienaturalnym przeskokiem, gdyby gest i wyraz twarzy aktora nie tłumaczył przejścia, i nie pomógł widzowi odgadnąć najskrytsze tajniki ducha poety.—Chcąc korzystać należycie z przedstawień *Szekspira*, trzeba znać prawie na pamięć sztukę jeszcze przed jéj oddaniem na widowni.

Niewypowiedziana rozkosz! Język angielski tak nieharmonijny w potocznéj mowie, gdzie go kaleczą połykaniem całych syllab, a szpecą intonacyą jakąś dziwną, przyjętą konwencyonalnie,—nabiera w ustach *Macreadego* piękności, ale przez co? przez dodawanie mu jeszcze większéj szorstkości w miejscach, gdzie maluje wzburzenie uczuć, namiętność woli lub rozpacz toczącą serce. — Tony te brzmią jak echa grzmotów w uszach mych do dziś dnia, i jeszcze widzę twarz na któréj połyskują namiętności jak błyskawice na za-

chmurzoném niebie, jeszcze śledzę tego gestu gwałtowną naturalność i pełną prawdy nadobność.

Nieporównana rozkosz, któréj pamięci nie szkodziła ani cudna gra panny *Mars*, ani téż szczere hołdy oddawane późniéj zubóstwionéj pannie *Rachel*.

A potém, jaka tu wystawa pompatyczna tragedyi *Szekspira*, jaka dekoracya, maszynerya, jakie hufce żołnierzy żelazem okrytych, orszaki świetne złotem i kamieniami połyskujące.—To wszystko przemawia do zmysłów — tu się biją bohatérowie z zapalczywością godzących na swe życie szermierzy, z mieczów pryskają skry rzęsiste,—pada przebity na wylot *Ryszard*, pada i sili się wyciągnąć krwią zbroczone żelazo z głębokiéj rany — umiera w okropnéj agonii pasując się z śmiercią, jęki jego przenikają najnieczulsze serca— już umiera, już z strumieniem krwi duch jego ulatuje—nie! zrywa się, wstaje, jak gdyby pchnięty wewnętrzną siłą wydzierającego się ducha — ryknie przeraźliwie i znów pada na wznak jak długi, jednym kawałem jak się wyraża Francuz, — teraz skonał; lecz agonia ta męcząca trwała z dziesięć minut i tak znękała aktora, że ledwie dziewięć szklanek grogu wystarczy na jego wskrzeszenie za kulisami.

Królowie *Szekspirscy* nigdy nie występują na scenę bez odgłosu trąb i puzonów — a czarownice zjeżdżają z obłoków na łopatach, niespuszczane w pionowym lub ukośnym biegu na powrozach; lecz bujając sobie tu i owdzie według fantazyi w powietrzu jak gdyby na skrzydłach sokoła.—Spadają nareszcie przebrzydłe istoty — mężczyzni wysocy i chudzi je przedstawiają. Są Anglicy zdatni jedynie do tych ról.

A *Lady Macbeth?* Jak ona wysoka, piękna i biała, ta *Miss Warren* która ją przedstawia,—bardzo podobna do panny *Julii Grisi*, może jeszcze piękniejsza. O pewno! Chcąc namówić swego męża, tak walecznego, tak wiernego dotychczas do szkaradnego czynu królobojstwa—trzeba być piękną jak anioł, i złośliwą, chytrą, jak kobieta ambitna.

W chwili, kiedy wstępuje na scenę obłąkana, z rozpuszczonemi do kolan włosami, w długiéj, śnieżnéj, spływającéj szacie i mówi: „nienawidzą mnie nawet dzieci moje tém mlekiém karmione“ chwyta się za pierś wykwitającą w cudnie pięknéj plastyczności zpod cienkiego muślinu. — Publiczność cała zyskała tym gestem doskonałe wyobrażenie o pełności wdzięków panny *Warren*, ale stare i chude panny w lożach piérwszego piętra zakryły także oczy i krzyczały w niebogłosy: „*O fy! shoking!*“ (o pfe! jakie zgorszenie!). — Nie wiém co więcéj obrażało wstydliwość tych panien: gra gorsząca panny *Warren*, czy téż że miała czém zgorszyć.

Mówiąc o teatrze i wstydliwości, nasuwa nam się bardzo charakterystyczna przygoda, w któréj pomimo méj woli musiałem przyjąć obowiązki współ-aktorstwa.

Jeszcze w Królewcu miałem dość często sposobność widywania na balach młodego *Juliusza V*.... i podziwiania zręczności jego tancerskiéj odróżniającéj go korzystnie od swych braci germańskich, słynnych więcéj z filozofii niż z tańca.—Nie wiedziałem nigdy z pewnością czém i kim jest młody *Juliusz*; jakaś tajemnica pokrywała stosunki jego familijne.—Wiedziałem tylko że był od lat kilku na pensyi u bardzo uczciwych lu-

dzi, i że im dosyłano bardzo regularnie fundusze z Berlina na wykwintne wychowanie młodzieńca.

Straciłem go z oka nie wiem na jak długo przed moim wyjazdem z Królewca. Raz, kiedy sobie siedzę w domu i pracuję, służąca wprowadza do mnie młodego człowieka bardzo przystojnego, z twarzą jak panienka, a ubranego w ubiór prostego majtka marynarki kupieckiéj. Poznałem w nim młodego *Juliusza V*.... i choć zdziwiony metamorfozą przyjąłem go jak się przyjmuje dawnego znajomego w obcym kraju. *Juliusz* miał wówczas lat siedmnaście. Opowiedział mi ze łzami w oczach smutne koleje życia swego. — Ojciec jego naturalny, innego nie miał biedaczek, nie tak szczęśliwy jak wielu innych mających naturalnego i prawego, — ojciec jego naturalny był bogatym bankierem w Berlinie. To samo koło fortuny, które wznosi bankierów, często ich pogrąża w bankructwo; — i tak się stało z panem *Oe*..: stracił majątek i ze zmartwienia umarł, lecz przed śmiercią posłał synowi swemu ojcowskie choć naturalne błogosławieństwo i radę żeby korzystał dla swéj przyszłości z papierów przyłączonych z których dowiedział się, że jest synem sławnéj aktorki i baletniczki panny *V*., posiadającéj wówczas teatr własny zwany „*Olimpic theatre*“ w Londynie.

Pospolicie chrzcimy wszystkie dzieci naturalne pięknem nazwiskiem zadatków miłości, — mnie się jednak zdaje, że dzieci spłodzone z bankierów i baletniczek powinny być raczéj zwane kwitami miłości. — Takim był istotnie uciekający się pod mą ważną protekcyą młody majtek. Ogołocony odrazu z wszystkiego, okupił sobie miejsce na okręcie dążącym do Londynu wstąpieniem w trudną i uciążliwą służbę okrętową; —

dawny tancerz balowy musiał tańczyć niebezpiecznie piruety na linach okrętowych od jednego masztu do drugiego.

Dla lubowników choreografii nie będzie bez interesu dowiedziéć się że panna *V.* była wnuczką naturalną *Gaetana Apolina Balthazara Vestris*, tegoż samego dumnego baletnika, który utrzymywał, że trzech tylko było wielkich ludzi w owym czasie w Europie: *Voltaire*, *Frederyk Wielki* i on sam;—tegoż samego który się sam przezwał: „*le Dieu de la danse*" póki jeszcze Bóg był w modzie we Francyi, a którego syn (syn naturalny rozumié się: *Vestrisowie* rozmnażali się na sposób bogów mitologii), a którego syn mówię *Maria August Vestris*, również sławny baletnik przezwał się *Napoleonem* tańca, wówczas kiedy *Napoleon* był jeszcze w modzie we Francyi.—Koniec końcem, *Vestris* II syn naturalny *Vestrisa* I, był ojcem naturalnym panny *V.* matki naturaléj młodego *Jaliusza*, proszącego mnie o protekcyą z rzewnemi łzami w oczach, przynoszącego listy rekomendacyjne od mych znajomych z Królewca.

Nie lubiłem nigdy wdzierać się w sprawy familijne, a cóż dopiéro w interesa familijne podobnego rodzaju. Jednakże nie zdołałem oprzéć się łzom i prośbom biednego młodzieńca, zostawionego bez funduszów, bez związków na tym wielkim świecie, zawsze skorym do potępienia bliźniego za jego nieszczęścia.

Udałem się tedy sam, opatrzony papierami, do panny *V.* sławnéj w swoim czasie z piękności i talentu dramatycznego, najuniwersalniejszego jaki się kiedykolwiek w jednéj łączył osobie. Grała bowiem tragedyą i komedyą w czterech językach, śpiewała w o-

perze, tańczyła w balecie, na linie, a nawet na koniu.— Brakło jéj tylko wyłamywać sobie stawy w sposób *Clownów*, dźwigać ciężary jak *Rappo*, i połykać noże i widelce jak *żonglery* chińskie.

Przypuszczony do świątyni *Terpsychory* znalazłem w niéj muzę już niemłodą i mało piękną. Przeprosiwszy za niedyskretność mego postępowania, starałem się wyłożyć całą sprawę jak mogłem najdelikatniéj. Pomimo tego, muza nasza wpadła w gniéw szalony i rzekła: „pan tak młody, mógłbyś być synem moim i mieszasz się w interesa podobnéj natury?“ „Miałżem je powierzać innemu, któryby je rozgłosił?“ odpowiedziałem.— „Pan musisz wiedziéć, że akcye mego teatru bardzo źle teraz stoją: wyjeżdżam do Ameryki z młodym *Mathews* (*), którego chcę zaślubić. I ja w tém położeniu mam się obarczać dzieckiem, zapewne do niczego niezdolném,—Niemczykiem jakimś niezgrabnym?— Już dla samego przykładu tego nie zrobię. Wkrótce miałambym z pół tuzina dzieci z wszystkich stron na karku.

(*) Syn sławnego aktora *Mathews*, który sam jeden na całą scenę wystarczał, i na nią jako autor i aktor występował w swych zawołanych sztukach zwanych: „*Mathews at home*“ (czyli Mateusz w domu). Przez trafne spostrzeganie śmieszności nałogów ludzkich, przez dowcipne ich wystawienie, zwabiał co wieczór liczne towarzystwo na swe widowiska, i kilka godzin najprzyjemniéj nieporównanym sposobem bawił. Treść jego krotofil jest nowa każdego roku, raz opowiadał przypadki jakie mu się wydarzyły w podróży odbytéj dyliżansem, inną razą przypadki z podróży po Francyi, opisywał przygody własnego życia, życia swych krewnych; nie ochraniał przytém żadnéj z publicznych osób, wytykał śmieszności wielkich,—malował nędzę ludu. Rozśmieszał aż do konwulsyj i naprzemian łzy wyciskał. —Bilet wnijścia na tę pogadankę kosztuje złp. 15. Teatr zawsze jest pełnym.

„Gdybyś pani widziała młodego *Juliusza*, polubiłabyś go natychmiast. On bardzo do pani podobny i odziedziczył część jéj gracyi“ rzekłem daléj.

„I tego nie chcę,—nie chcę go lubić, — ja nie mam miejsca w mém sercu na żadne święte uczucie,—ja niczém nie jestem, jak cyniczną aktorką ubiegającą się więcéj o pieniądze jak o oklaski publiczności. Pan nie wiész, czém jest aktor w téj Anglii: tém samém, czém jest często i literat—kupcem tém nędzniejszym im mniéj materyalnym towarem handluje. Całe życie musi spekulować na zły gust publiczności, gdyż z dobrego w miejscowości zawartego żyć nie zdoła. Przyciągać massy a nie wybranych, to nasze zadanie, to nasz interes, a w ubieganiu się za tym interesem zatracamy naprzód uczucie, potém i wiedzę dobrego. Gdybyś pan wiedział czém jest aktor w Anglii, nie byłbyś może zaszczycił mnie swą wizytą“ dodała panna *V*. uśmiechając się wcale nieprzystojnie.

„Tak źle nie jest; dobrze wszakże jest wiedzieć że talent tak wszechstronny jak pani, może być przywiedzionym do smutnéj konieczności wyrzeczenia się własnego dziecka.—Ja nie jestem ani krewnym ani nawet rodakiem syna pani, przytém obcy jestem w tym kraju; jednakże gdybym się miał wyzuć z ostatniego szeląga, nie opuszczę syna tak sławnéj muzy“ rzekłem wstając i kłaniając się aktorce tak ceremonialnie jak tylko byłem w stanie,

Naruszyć miłość własną! o to jeszcze jedyna ostatnia sprężyna w sercu egoisty, ona przetrwa wszystkie inne popędy uczucia. – Panna *V*. zapłonęła się z gniewu, poszła do biurka, wydobyła 35 funtów szterlingów, wręczyła mi je i odpowiedziała. „Pan *Juliusz*

niech wraca do Królewca, a jeżeli się do wyższych zdolności nie ma prawa poczuwać, niech się uczy rzemiosła. Corocznie przez lat trzy tęż samą na ręce pana *Oppenheim* bankiera, przeszlę ma summę.—Żegnam.“— Tak mnie przyjęła i pożegnała wnuczka boga tańca i córka *Napoleona* baletu. *Juliusza* przesłałem do Królewca, gdzie poszedł za radą matki i poświęcił się nauce rzemiosła u fabrykanta instrumentów chirurgicznych. Lecz matka nieczuła, która go w Londynie widzieć nie chciała, zapomniała zupełnie o synu w Ameryce, lubo się tam po czwarty czy piąty raz w swém *burzliwém* życiu majątku dorobiła.

Młody *V.* nie mogąc płacić swego majstra, musiał go opuścić i w smutne wpadł położenie. Ale od jednego razu duch sławnych przodków odzywa się w jego nogach—*Juliusz* biegnie na scenę, i wkrótce zdumiewa publiczność,— wkrótce także inne własności mieszkańców *Olimpu* w nim się ukazały.

Juliusz nie chciał być ostatnim swego rodu synem miłości—i nie mając lat dziewiętnaście, został ojcem.— Tak mocnym już w młodym człowieku jest głos krwi rodzinnéj.

ROZDZIAŁ IX.

Cierpienia poetyczne — Bóle wyobraźni — Duma Królewca — Kant—Filozofia — Wiara w nieśmiertelność duszy— Nieoddzielność wiary od z drowéj filozofii -Postęp umysłu, serca i ducha — Szczerość filozofów—Ojciec mój — Przyjaźń — Rozum—Tajemnica — Zagadka — Przeczucie.

Pracą i rozrywkami walczyłem przeciw urokowi wywartemu na mnie przez młodą mą znajomą z *Chelsey*. Lękałem się szczerze wpaść nanowo w jakieś łudzące mnie swym powabem romantyczne usposobienie dla kobiety, któraby nie mogła wzajemnością wywdzięczyć się za me uczucia. Dotychczas wprawdzie cierpienia me pochodzące z zawodów uczuciowych były jeszcze bardzo do zniesienia, nie przybrały jeszcze nigdy postaci Werterowskiéj ani téż z Tantalicznemi żadnego nie miały podobieństwa. Cierpieniami innego rodzaju od lat tylu nękany uważałem czasem prawie za ulgę jeśli mnie cóś mniéj głęboko, choć dotkliwiéj zabolało; to mi służyło za lekarstwo tak jak suchotnikowi wezykatorya. A zresztą, przy ciągle towarzyszącéj mi wiedzy niepewności mego losu mógłżem choć na jednę chwilkę przypuścić na seryo, że tkliwość, któréj się często biernie poddawałem dla

przerwania monotonii mego życia była istotnie już tym naglącym popędem do potrzeby odrodzenia się w familii? Nie mnie świeciła błoga nadzieja życia familijnego, o którém tak piękne wywiozłem z kraju mego wyobrażenie; nie mnie się śmiała nadzieja pracowitéj lecz spokojnéj przyszłości.

Pomimo tego łudząc się Platonizmem mogłem raz na dobre wpaść w łapki tkliwego bożka i zostawić w nich zamiast płatka méj estetyki kawał mego serca. Tego się lękałem nadzwyczajnie; za nic w świecie nie chciałbym żeby przyjaciele moi mieli prawo oskarżać mnie o to,—byliby mnie posądzili o płochość charakteru, a już sam pozór płochości w nieszczęściu byłby zakałą.

I dlatego wytrzymałem dwa tygodnie zdala od *Miss Emily*, wytrzymałem, choć oko jéj wielkie, pogodne, choć twarz jéj blada tak smutna i szlachetna ścigała mnie wszędzie.

Przyszedłem. Ojca i córkę znalazłem w altanie; córka haftowała kwiatki, ojciec czytał na głos książkę, przerwał lekturę dopiero, kiedym przed nim stanął, tak żem mógł dosłyszéć kilka *frazesów.* Przyjęto mnie uprzejmie, lecz z powagą tak jak zawsze.

„Piękną pan i głęboką czytasz książkę, panie *Wood...*, nie wiedziałem że ona jest na język angielski przełożoną.“

„Jakto, pan z kilku *frazesów* poznajesz tę książkę“ zawołał zdziwiony i nie dowierzając.

„Pan czytasz *Sintenisa* o wiecznobycie w śmierci, książkę która przed czasy z rąk mych nie wychodziła, któréj żadna myśl nie jest mi nieznaną„ odpowiedziałem,

Bardzo się dziwił pan *Wood*,—nawet prawie ucieszył; — ojciec i córka spojrzeli po sobie, potém oko jéj pełne padło na mnie jak gdyby się pytała „byłżebyś i ty nieszczęśliwym?„

Wszczęła się teraz rozmowa dla mnie tak pamiętna, że wszystkie jéj słowa po tylu już latach oddać jestem w stanie bez zmienienia porządku zdań i frazesów.

Wróciliśmy raz jeszcze do Królewca i do jéj wiecznéj ozdoby—do *Kanta*.—Pan *Wood*... chciał wiedzieć jak w Niemczech w teraźniejszym stanie filozofii rozumują o ważnéj kwestyi nieśmiertelności duszy.

Wyłożyłem mu rzecz tę w następujących prawie słowach:

„Wiecznobytu po śmierci, czyli nieśmiertelności duszy starano się dowieść na różny sposób; w nowszych czasach wywodzono go z niemateryalności duszy. Niemateryalność jednak także nie może być ściśle dowiedzioną; a gdyby nawet udało się dowieść tego, wówczas wypadłoby, że dusza nie może być zniszczoną tak jak ciało przez śmierć, a jeszcze nie — że ona nie przestaje być i działać z pełną wiedzą siebie saméj. Zawszeby bowiem jeszcze możebném zostało, że dusza przechodzi po śmierci w stan bezwiedny, podobny temu, w którym pozostaje podczas głębokiego snu, albo téż podczas długiego omdlenia. To jednakże nie byłoby prawdziwym wiecznobytem, tylko czémsiś od zniszczenia niewiele różném. Myśl, że człowiek po śmierci swéj ma przestać działać, jako rozsądna i wolna istność, jest do tego stopnia rozpacz i oburzenie wzbudzającą, że ją najmędrsi i najlepsi ludzie od niepamiętnych czasów odrzucili, i że wszystkie do cy-

wilizacyi jakokolwiek dążące ludy uznały nadzieję wiecznobytu. jako ważną i nieodłączną część przekonania ich religijnego. — Nadzieja nieśmiertelności jest samąż wiarą religijną. Rozum wymaga od człowieka aby ciągle dążył do doskonałości nieskończonéj, a zpod tego wymagania człowiek uchylać się lub wyłamywać nie może, jeśli nie chce zrzec się całéj swéj powagi jako rozumne i swobodne stworzenie. Dlatego téż prawnie może spodziewać się wiecznego trwania swéj lepszéj samoistności, jako niezbędnego warunku postępu;—choć możliwość tego wiecznobytu jest dla niego nieodgadniętą zagadką. Wiara w nieśmiertelność w téj saméj czerpie się krynicy, co i wiara w bóstwo, i nikt nie może wierzyć z pełną ufnością w Boga, kto zarazem nie wierzy w swą nieśmiertelność. Wiara w nieśmiertelność znajduje się przeto w religii najoświeceńszych ludów każdego czasu, idea jedynie téj wiecznotrwałości ulega pewnym zmianom w wyobrażeniu różnych narodów. Idea ta zależy najwięcéj od zdania, które sobie utworzono o duszy i jéj stosunkach do ciała. —Najsurowszy materyalizm jedynie niezdolnym jest do wyobrażenia sobie tego; ktokolwiek jednak pocznie postrzegać się na działaniu duszy i zdolnym jest odwrócić wzrok swój od zmysłowéj teraźniejszości, ten także pojmie myśl o wiecznotrwałości, uwierzy w nią i w wierze swéj wspieranym bywa wzruszeniami nadziei i bojaźni, różnemi po części jeszcze niewytłumaczonemi zjawiskami natury, nawet różnorodnemi ułudzeniami. Naprzód wierzono w wiecznobyt duszy zależący od wiecznobytu ciała i dlatego też balsamowano trupów jak w Egipcie; — późniéj wierzono w wiecznobyt duszy połączony z odno-

wieniem się ciała. Tu przedstawiono sobie duszę jako ciało subtelne, jako gaz lub téż jako cień który odłączony od ciała, żyje po śmierci. — Lecz to są już późniejsze wyobrażenia, wyrodzone pod wpływem zmysłowości, — pod jéj panowaniem powstały wszystkie wyobrażenia o podziemnym świecie; — późniéj przyjęto postęp duszy i wiecznotrwałość jéj w coraz doskonalszych kształtach czyli metempsychozę. Z wiary w świat podziemny wyrodziła się wiara w widma i wpływ nieboszczyków na żyjących.

„Dziwić się nie można także że człowiek wpadł na myśl naturalną zrobienia wiecznotrwałości po śmierci, zawisłéj od życia na téj ziemi. Ztąd powstały wyobrażenia o nagrodach i karach pośmiertnych, i o różnych siedzibach duszy, o piekle i niebie. — Nauka o zmartwychwstaniu ciała wywiązała się dopiero po wyobrażeniach powziętych o stanie nagrody nas czekającéj, a ztąd i z połączenia z ideami metempsychozy wyrodziła się wiara o stanie przeciwnym snu duszy, o stanie czyszczenia się jéj, o sądzie pośmiertnym, o świecie podziemnym, o sądzie ostatecznym na końcu świata, albo o powrocie na świat nadziemny. — Tak nauka o nieśmiertelności była częścią ograniczoną i surową, — częścią objętszą i spirytualniejszą.

„Najpiérwsze ślady wiary w nieśmiertelność znaleźć można w czci oddawanéj umarłym; lecz czystą wiarę w nieśmiertelność dopiero religii chrześciańskiéj winniśmy. — Wiara chrześciańska w nieśmiertelność duszy odróżnia się od innych ufnością i pewnością z jaką ją ogłasza. Szlachetniejsza tylko część ludzi według niéj ma żyć wiecznie. Będzie posiadał życie wieczne, którego dusza w tém życiu zbudzi się z cha-

otycznego letargu do pewności wiedzy, wyrobi się z tłumiących jéj sprężyny myśli kłamliwych i namiętności do szlachetności prawdy i wiary w jednę, wieczną, czynną i mężną cnotę.—Z tego życia przygotowawczego przejdziemy w drugie lepsze; na progu jego zostawiamy cisnący ciężar ciała naszego, lecz zabieramy z sobą zaspokajającą lub martwiącą wiedzę wolnych naszych czynów, — to będzie nagrodą lub karą szlachetniejszego człowieka.

„W taką nieśmiertelność wierzyć nauczyli mnie filozofowie, których znam uczciwość w życiu prywatném, a których świat zna cały rozum z życia publicznego; a w taką nieśmiertelność uwierzyć może najmędrszy człowiek bez uchybienia swemu rozumowi i najprostszy człowiek uwierzyć zdoła, jeśli ma dobrą wolę.“

Słowa te wyrzeczone z tym zapałem, z tą radością i dumą serca, jakie tylko dać może szczere, niezachwiane przekonanie, zrobiły głębokie wrażenie na ojcu i córce. Znikło zimno z twarzy ojca, ustąpiło wzruszenie, którego zaledwie mógł się stać panem; w oczach córki błyszczał święty jakiś ogień, a blade lica owionął rumieniec, na wargach igrał uśmiéch niebieski.

„A możesz ręczyć, że uczeni, ozdoby naszego świata, kiedy są na katedrze lub kiedy piszą książki, nie są powodowani raczéj interesem ludzkości niż miłością prawdy, że sobie żadnéj nie zatrzymają myśli w rezerwie, że nie mają podwójnych doktryn jak podobno *Plato*, jednę dla pospolitych, a drugą dla wybranych?“ pytał się pan *Wood*, a w twarzy jego przebijała się tak widocznie żądza być przeświadczonym o prawdziwości i mocy mego zdania, żem łatwo mógł pojąć, ile

go kosztował gwałt zadany sobie samemu tém pytaniem.

„Odpowiem panu najprzód na drugie pytanie nim przystąpię do odpowiedzi na piérwsze. *Platon* nie miał dwóch doktryn, tylko dwa sposoby dowodzenia jedynéj.—Piérwszy dostępniejszy służył mu dla ogółu słuchaczy, drugi głębszy, chował dla wybranych.

W szczerość uczonych professorów, których ja miałem szczęście być uczniem i znajomym, mianowicie sławnego *Herbarta* i *Rosenkrantza* nie mam najmniejszéj nieufności— z życia zaś prywatnego i publicznego wielkiego *Kanta* tyle pozostało anegdotycznych, pełnych naiwności, popularnych wspomnień, że cała atmosfera Królewca niemi przesiąkła — ale gdyby mi wiary w wymienionych filozofów zbywało, nie rozpaczałbym jeszcze i nie zachwiałbym się ani jednéj chwili w mém przekonaniu. Niedaleko szukałbym pociechy i podpory.—Byłem wychowany pod okiem człowieka którego żaden z znanych mi ludzi nie przeszedł w uczoności, miłości prawdy i szczerości, któregoby imię głośném było na świat cały, gdyby był w innym kraju rozpoczął swój zawód długi, a teraz już dokonany, choć jeszcze jest żyjącym.— Żadna gałęź nauk nie była mu obcą, wszystko zgłębił aż do ostatnich granic możliwości. Pilność jego i cierpliwość w badaniach wyrównała pojętności, wyobraźni i pamięci—tym trzem głównym filarom rozumu, rzadko kiedy w równéj sile u jednego człowieka istniejącym.— Wszystkie gałęzie nauk były mu znanemi, a wszystkie w wieku dojrzałym służyły mu jedynie do dostąpienia jedynego celu—do przeświadczenia się o gruntowności prawd odwiecznych. Grecki język i łaciński

które tak dobrze posiadał jak własny i wszystkie inne nowożytne, nie wystarczały mu jeszcze. Mając lat pięćdziesiąt kilka wziął się do nauki hebrajskiego, dlatego tylko żeby mógł w piérwotnym języku czytać części pisma świętego w nim pisane.—Dla badań naukowych opuścił, żyjąc w świecie i kochając go serdecznie, wszystkie ubiegania się za bytem materyalnym; w potoczném życiu tak był niewinnym jak dziecko, pieniędzy przez trzydzieści lat przeszło nie miał w ręku i wartości ich rozeznać zapomniał. W szczupłym i zdolnościom jego mało odpowiadającym zakresie obowiązków umiał tyle wywrzéć ducha życia i myśli, że uczniowie jego liczni i wdzięczni pamiętać go będą w miarę własnych zdatności i w miarę własnéj cnoty.

Nie mogę powiedziéć, żeby się brzydził kłamstwem, gdyż go wcale nie znał—czysta jego dusza nie dopuszczała istności kłamstwa umyślnego.—Zresztą, tak się postawił w świecie jak szczery swym zasadom filozof, wolał być ofiarą niesprawiedliwości, niż widzem kłamstwa. — Mały zakątek ziemi wystarczał dla jego ciała, a dusza obejmowała świat cały, w ciągłéj uroczystéj była styczności z jego Twórcą.

Serce jego pełne zapału dla wszystkiego co było piękném i szlachetném nie zadało ani razu fałszu jego szczytnéj filozofii, i w wieku, kiedy każdy inny starzec chyli się ku grobowi, on śpiewał tryumf prawdy, i w wierszach tchnących ogniem młodzieńczym.—Taki człowiek kłamać nie mógł ani światu ani swym dzieciom; z jego nauk i wiary czerpałem ziarno mych nauk i méj wiary,—ziarno tak silne i jedrne, że się jęło wszędzie, gdzie tylko burze losu od ośmiu lat mną miotają: na piaskach pruskich i skałach norwegskich;

i że rośnie i krzewi się pomimo cierpień, tęsknoty i zmartwień życia tułackiego.

„I kim był ten człowiek tak znakomity ze wszech względów," zapytał pan *Wood*....

„Mym własnym ojcem," odpowiedziałem.

Pan *Wood* wstał i podał mi rękę, drobna łza błysła w jego oczach jak iskierka. „Zawieram z panem przyjaźń, rzekł mi z wzruszeniem ściskając mą rękę, i odbiegając szybko ku domowi.

„A ojciec pański, spytała *Miss Emily* z niepowściągnioną czułością, kiedy go pan zobaczysz?"

„Kiedy Bóg zechce" odpowiedziałem.

„Ah, teraz widzę, że i pan nie jest szczęśliwym, że głęboko czujesz w sercu to oddalenie. Ale powiédz pan, czemu tak długo nie przyszedłeś, ja już myślałam że cię zraził dom nasz smutny, że go unikasz umyślnie — ale czemubyś unikał nieszczęśliwych kiedy sam nim jesteś ? "

„Jednak przyznam się, żem umyślnie nie przychodził tak długo."

„Powiédz pan przyczynę jeśli możesz, proszę, proszę"—nalegała *Miss Emily*.

„Nie będę jéj tail— nasunę ją, pani odgadnie niezawodnie. — Lękam się poddawać urokowi towarzystwa młodéj damy, któréj uczucia jak wnoszę z tego wszystkiego co widzę, do innego już należéć muszą."

„Więc pan nic a nic nie wiész i mylisz..... lecz cicho, ojciec mój wraca, pojutrze przyjdź pan jeśli możesz rano po 10téj. wszystkiego się dowiész. Oh! niech się pan mnie nie obawia" dodała podając mi rękę i ściskając moję tak serdecznie! Wrócił pan *W*..... za nim służący z tacą, na niéj butelka wina i trzy kieliszki.

„My musimy zawrzéć przyjaźń z panem, przyjaźń dobrą i szczerą, abyś pan często wstępował do domu naszego.“—Zawarliśmy wzajemną przyjaźń, było coś uroczystego w tym prostym akcie. *Miss Emily* dotknęła ustami powierzchnią wina, ojciec spoglądał pogodniejszém okiem i rozmowa toczyła się dość żywo, swobodniéj niż dotąd—ojciec i córka wypytywali się o bliższe życia mego stosunki z współczuciem, już zupełnie niepowściąganém. — Pan *Wood*.... rzekł mi nareszcie: „Z wrażenia, jakie wyznanie wiary pana na nas sprawiło, mogłeś poznać, że nie należymy ani do kwakrów ani methodystów, ni do pietystów, ci bowiem są dumni i zarozumiali, i nigdy się nie przyznają do jednéj chwili powątpiewania we względzie religijnym. Mnie się znów zdaje, że chwile niepewności, które nas czasem ogarniają, zstępują na nas wprost z woli Boga, chcącego ukrócić nas w naszéj dumie, a zarazem wzywać do niezaniedbywania żadnéj drogi, którą dojść można do prawdy.—Rozum lubo w wielu ludziach nie jest najmocniejszą lub jedyną władzą przeznaczoną do zdobywania pewności religii, jest jednakże w wielu innych ludziach władzą tak silną, że się jéj zrzec nie sposób, ze ją przytłumić żadną miarą nie można. Rozum powinien także być środkiem do dojścia prawdy odwiecznéj, i mnie się zdaje że niebezpiecznym jest tylko w głowach w których siła wyobraźni przeważa o wiele siłę rozsądku, i w sercach, w których więcéj jest daleko namiętności jak rzetelności.“

Z tych słów poznałem że przyczyna nieszczęścia rodziny musiała być szlachetną, gdyż ich religia tłe znamiona nosiła.—Półgłówek zbrodniarz i tchórz ucho-

dząc przed ścigającém go sumieniem, lub drżąc przed czekającą nań karą, wyrzeka się rozumu, i sfanatyzowaniem uczucia, zgalwanizowaniem wszystkich żywiołów skruchy chce sobie zdobyć to, co całe życie lekceważył lub obrażał. — Człowiek rozsądny, silny w duchu i mężny w sercu zawczasu bada swój rozum i pyta sam siebie, czy go już zaczyna zatrudniać ważna kwestya *przeznaczenia i powinności* na téj ziemi.

Pożegnałem się obiecując że będę bywał częściéj, codziennie jeśli można. Ojciec i córka odprowadzili mnie do drzwi ogrodu—żegnając się ze mną *Miss Emily* rzekła: „*remember*“ to znaczy: nie zapomnij.

Nie zapomnę—pewno nie—mówiłem do siebie samego — choć przewiduję że mnie za powiernika użyć myślisz piękna *Emilio*,—choć przeczuwam, że wielkie jakieś dla mnie z tego wyniknie zmartwienie. I to mnie przeczucie nie myliło—niestety!

ROZDZIAŁ X.

Smętność—Walka z nią — Westminster — Struktura zewnętrzna,—wewnętrzna — Obrządki kościoła anglikańskiego — Wieczność gieniuszu ludzkiego — Wawel — St. Denys — Królowa Elżbieta — Wierna żona dwóch mężów — Lady Walpole — Edward wyznawca — Kaplica Henryka VIII—Rycerze orderu kąpieli—Jerzy—Howe Hargrave—Grattan obrońca Irlandyi — Lord Mansfield—Pitt i Fox—Newton — Kopernik — Poezya — Szekspir — Tomson —Milton — Jonson—Butler — Haendel — Byron — Arystokracya pieniężna — Profanacya — Gabinet figur woskowych — Nelson i Elżbieta — Anglia kupcząca sławą Anglików.

Smętność ogarnęła mą duszę, więziła umysł w swych czarnych nieubłaganych objęciach, a wyobraźnią nękała tysiącznemi domniemywaniami, pomiędzy bałamucącą grą których rozum mój ani mógł znaleźć wątku prowadzącego do prawdy.— Tylko silném, a harmonią usposobienia umysłu nierażącém wrażeniem, mogłem wyzwolić się zpod cisnącego jarzma myśli trapiących a niewiodących do celu. Silném, poetyczném, a jednak smętném wrażeniem chciałem, idąc tą razą za metodą „*similia similibus*“ wyleczyć się ze swego smutku.

Gdzie miałem szukać lekarstw, jeżeli nie w Westminster Abbey, w tym świętym przybytku w którym

od wieków leży zaklęty skarb poezyi, niewyczerpany zasób zachwyceń umarły i zimny, lecz zawsze gotowy odżyć w całéj swéj sile i piękności na piérwsze wezwanie każdego dziecka gieniuszu, na piérwszą prośbę stęsknionego syna dalekiéj krainy.

Otulona grubą pomroką mgły stała gotycka świątynia odosobniona od reszty świata dżdżystym obwodem. Wspaniałe jéj formy zdawały się kończyć dopiero w nieprzejrzałéj nieskończoności. Na szczytach wież połyskały złocone kopuły mdło i blado, ale tak wysoko, wysoko jak gwiazdy na firmamencie, gwiazdy blednące w blasku wschodzącego słońca. I kawki krakały jakoś smutno i przelatywały z wieży na wieżę jak czarne cienie na tle szarém.

Tam, w ogromności rozmiarów — nieskończoność bez granic; — i tu w ozdobach każdéj cząstki nieskończoność bez granic. Czy odkryjesz choć jeden atom tych ozdób, któregoby kształt nie nabrał nieznanéj piękności pod dłutem anioła boską myślą natchniętego?

Wejdźmy do starożytnego poważnego przybytku, ale wprzódy uzbrójmy się w cały zasób poezyi i rezygnacyi, jaki tylko w stanie jesteśmy z siebie wydobyć, aby dusza nasza mogła oprzéć się prozaicznemu wpływowi owych ichmości, którzy każde wrażenie będą nam przedawać na szylingi i złotówki.

Świątynia Westminsterska (*) tém uroczystszą jest dlatego może, że jednym rzutem oka jéj wewnętrznych

(*) Początek *West-Minsteru* jak wszystkich gotyckich świątyń, kryje się w cieniu niewiadomości. Miejsce które teraz zajmuje w zachodniéj części miasta, niedaleko lewego brzegu Tamizy niegdyś było znaném pod nazwiskiem wyspy *Jernikowa*, i byłto niewielki pagórek okryty zaroślami i otoczony błotem, który przy wezbraniu

rozmiarów i kształtów ani zmierzyć, ani odgadnąć nie można. — Pomniki grobowe wznoszą się ze wszech stron w powietrze wzdłuż ścian obszernych i snują się po filarach, na których ciąży wysokie podniebienie przybytku. — Ozdoby filarów pierwotne znikły w cieniu posągów zmarłych bohaterów i figur allegorycznych, mnóstwo pobocznych kaplic z początku nie wchodziło w skład świątyni, a największa z nich sta-

wody w Tamizie zmieniał się w jezioro, tak dalece że sam środek tylko nie był zatapiany. Podanie mówi że na téj wyspie podczas panowania Rzymian stała świątynia *Apollina*, zniszczona trzęsieniem ziemi. — W czasie heptarchii, mianowicie w VII wieku, król wschodnich *Saxonów Sybert* przyjął chrześciańską wiarę, i dla okazania swéj gorliwości wzniósł kościół na miejscu pogańskiéj świątyni. Król prosił biskupa *Mitemę* o poświęcenie nowego kościoła, lecz cudowne zdarzenie temu przeszkodziło (jak utrzymuje *Sulkardus* mnich *westminsterski*, rękopism którego dotąd się znajduje w brytańskiém muzeum):—*Piotr* święty z chórem aniołów sam raczył zstąpić z Niebios i obrządek biskupa odprawić. — Przytém jeszcze przewożącemu go rybakowi obiecał wieczną obfitość łowu, jeśli on i jego towarzysze i następcy nigdy nie zapomną składać dziesiątą część połowu na klasztor.

Następcy *Syberta* wrócili do bałwochwalstwa, w skutek czego kościół zniszczono. Późniejsi królowie zaś jakkolwiek prawowierni, zajęci ciągle wojną z domowemi i obcemi nieprzyjaciołmi nie mieli czasu myśléć o odbudowaniu kościoła.

Edgardowi dostał się ten zaszczyt. Otrzymawszy koronę za pomocą duchowieństwa i Śgo *Dunstana*, obsypał je nowemi dobrodziejstwami, i pomnożył liczbę klasztorów. *Westminster* odbudował za pokutę —Dowiedział się był o cudnéj piękności *Elfrydy* córki *Olgara*, hr. *Dewontu* , rozkochany samą reputacyą piękności, posłał swego ulubieńca *Etelwoda* dla sprawdzenia tych wieści. — Poseł sprawdził piękność, i sam się w niéj rozkochawszy zaślubił. W krótkim czasie król dowiedział się o prawdzie, sam zobaczył *Elfrydę* i opanowany namiętnością kazał zabić *Etelwoda*. Wdowę poślubił, a na ułagodzenie zgryzot sumienia wystawił kościół i klasztor *Westminsteru* i osadził go *Benedyktynami*.

Budowle jednak nie były obszerne aż do *Edwarda Wyznawcy*. W czasie swego wygnania z Anglii uciśniony od Duńczyków, zro-

nowiąca właściwy kościół, w którym się odbywa nabożeństwo, tak jest zasłoniętą cieniami, pomroką, i tak jest odległą, że pojąć nie mogłem, zkąd pochodziły uroczyste głosy śpiewu pobożnego (*). Słabe światło słoneczne w przechodzie przez szyby kolorowe naby–

bił ślub odprawienia pielgrzymki do Rzymu dla oddania czci tronowi Śgo *Piotra*, w razie gdyby Bóg zechciał mu wrócić koronę przodków.

Żądania się spełniły, należało tylko ślubu dokonać. Baronowie i biskupi nie pozwolili na odjazd króla lękając się ztąd wyniknąć mogących zaburzeń. Posłano poselstwo z darami. Papież najwspanialéj posłów przyjął i rozwiązał śluby króla,—zalecił mu zamiast pielgrzymki zwolnić ciężarów ludowi i wystawić klasztor. Król za namową duchowieństwa skłonił się do upiększenia a raczéj do wzniesienia z gruntu *Westminsteru*. Roboty zaczęły się r. 1050. W przeciągu lat 15 stanął pomnik pobożności. W r. 1220 *Henryk* III położył fundament na kaplicę Bogarodzicy, gdzie przeniósł prochy założyciela *Edwarda Wyznawcy* i żony jego zmarłéj panną.—W czasie długiego panowania *Henryka* III i *Edwarda* I postawiono część trapezu, a w roku 1307 skończono oba skrzydła. Klasztor sam i zabudowania opata i mnichów przyległe zachodniéj części kościoła, wybudowali właściwie *Edward* II, *Edward* III i *Ryszard* II.

Henryk VII założył fundament wschodniéj kaplicy zwanéj jego imieniem. Ukończył ją syn jego *Henryk* VIII, lecz zabrał dochody mnichów i wygnał ich z *Westminsteru*.

Królowa *Marya* przywróciła prawa mnichów. Wygnała ich ostatecznie *Elżbieta*, obróciwszy *Westminster* w kapitułę Śgo *Piotra*.

Królowie z domu *Brunświckiego* nie mniéj pamiętali o upiększeniu tego gmachu. Pod *Jerzym* II przybudowano zachodnie okno i ukończono dwie zachodnie wieże. Są one prześliczne; nie zlewają się może zupełnie z stylem dawniejszych zabudowań, lecz nie rażą dysharmonią, przeciwnie zdaleka dodają wspaniałości całemu gmachowi przypominającemu znakomite pomniki orleańskiéj i paryzkiéj Bogarodzicy.

(*) Księża odbywający nabożeństwo siedzieli w wspaniałych stalach tak jak duchowienstwo katolickie; śpiewacy w chóralnych białych komżach na siedzeniach niższych, młodzież zajmowała ławki pośrednie. — Obrzędom religijnym kościoła anglikańskiego acz mniéj okazałym od kościoła katolickiego, nie zbywa na uroczystości. Przeplatanie głosów duchowieństwa z głosami młodocianego zboru na-

wało barwy i powlekało, jak gdyby magiczném, drżącém półświatłem, niepewne zarysy świątyni i posągi grobowców gęsto rozsiane, bo od tylu wieków gromadzone.—Miejsce jest poważne, urocze i posępne jak jego przeznaczenie,—każdy tu uczuł wpływ jego korzący, stąpał nie śmiało, głos i niemal ducha tłumił w swych piersiach.—A jeśli czasem śmiałek jakiś urągający się z wpływu miejsca świętego na słabe nerwy ludzkie, chciał dać dowód wyższości swéj odwagi, udać obojętnego i przechadzał się stąpając i rozmawiając głośno,—wówczas ozwały się potężne echa sklepień strzegące świątyni i zgromiły śmiałka.—Smutny to dowód męztwa, i smutna to duma która pochodzi z braku czucia i poezyi!

Tu więc leżycie pochowani wielcy królowie, piękne i dumne królowe, waleczni bohaterzy i czarujący muz synowie. Tu leżycie pochowani wy którzyście kiedyś całemu światu berłem rozkazywali lub nim władali siłą gieniuszu i poezyi. — Dziś leżycie nieporuszeni, zimni, i każdy człowiek w którym tli jaka iskierka życia, lub téż tkwi potrzebna mu jego ilość do *roślinkowania* od kolebki do grobu, i każdy człowiek mówię który jeszcze żyje, ma się za coś nieskończenie wyższego i szczęśliwszego od was: *Wilhelmie* zwycięzco, *Henryku*, biczu Francyi, dumna *Elżbieto*, waleczni *Pèrcy*, *Kongrewie* i *Nelsonie*; — *Newtonie*, *Szekspirze* i *Miltonie*, wy epitetu uczczenia nie potrzebujecie!

daje mu solennego wdzięku. — Młódź powtarza dyskantem i altem modlitwę księży odśpiewaną tenorem i basem, tak jak gdyby jednomyślnie przystawała na prośby w niej wyrzeczone.

Kto wié! może nie w jedném sercu pospolitém, widok tylu wieków śmiercią do jednego szczupłego grobu strąconych, wzbudzi uczucie jakiéjś nizkiéj dumy!— Tu byłoby miejsce pójść za śladem tylu innych wrażenia swe z widoku wielkich grobowców wykwitłe opowiadających—tu byłoby miejsce rozkwilić się czułemi wykrzyknikami nad znikomością rzeczy ludzkich!

Lecz nie! wyobrażenie znikomości rzeczy ludzkich nigdy w mém sercu nie powstało na widok grobów zawierających szczątki wielkich lub téż pamiętnych w dziejach świata mężów.

Inne mnie wówczas przejmowało uczucie, uczucie więcéj pocieszające,— uczucie wieczności dzieł ducha i gieniuszu ludzkiego.

Widziałem groby, w których złożono obok zwłok świętego *Stanisława* szczątki dawnych królów i bohatérów polskich. Niewypowiedziane uczucie! śmiertelna powłoka wielkich ludzi leżała tu w głębi ziemi, pod starym grodem królów, dziś....

A w St. *Denys* pod Paryżem, jaki widok przerażający, trujący wszelkie wyobrażenia materyalnych wielkości! Tu ręka świętokradzka przeklętych wyrodków chcących wybudować świat nowy na ruinach wszystkiego, co w dawnym jeszcze było dobrém, dopuściła się tak ohydnéj zbrodni, że wiele cnót zaledwie wystarczy na zmazanie jéj w pamięci ludzkiéj.—Popioły *Ludwika* Śgo, *Ludwika* XII ojca ludu, dobrego króla *Henryka* IV zostały tu wywleczone z ostatniéj swéj siedziby i rozproszone w powietrzu. Waszego ciała i atom już nie został w skupieniu z drugim, o wielcy mocarze dawnéj świetnéj Francyi! Tu więcéj niż gdziekolwiek

idea znikomości rzeczy ludzkich powinna była ścisnąć serce niewymownym żalem i zrazić najodważniejszego do chęci służenia rodzajowi ludzkiemu tyle niewdzięcznemu.

Lecz nie zrazi człowieka zdolnego w każdéj chwili utrzymać się rozumem i sercem na téj wysokości, do któréj ducha ludzkiego powinna wznieść nauka Chrystusa, jeśli jest godnie pojętą. — Niémasz znikomości rzeczy ludzkich! przynajmniéj ta część naszéj istności, którą objawiamy przez wielkie czyny na téj ziemi, oprze się zniszczeniu, dopóki trwa pamięć ludzi i ich rozumu. Reszta niech zniknie, niech powróci do składu pierwiastków ziemi, mniejsza o to; część jedyna ludzkiego życia godny sobie przytułek znajdzie w pamięci późnych pokoleń.

O ile szczęśliwszemi jesteście od pochowanych na *Wawelu* i rozproszonych w *Saint-Denys*, o wielcy umarli w *Westminsterze!* Leżycie w waszych metalowych trumnach, nietknięci pod cieniem szanownych sklepień gotyckich, wpośrodku godnych was towarzyszów! ubóstwiających was rodaków jeszcze żyjących, — w poważnéj ziemi angielskiéj! Tu nic nie wzywa do ponurych dumań! owszem, urocza smętność, pogodna rezygnacya — zazdrość jakaś szlachetna duszę ogarnie, oczaruje ją. — Radbyś tu został między temi umarłemi o przechodniu znękany już w młodym wieku widokiem tylu bliźnich poświęcających lepszą część swéj istności służbie materyi, tracących w ubieganiu się za doczesném szczęściem wiedzę o wieczném, ba więcéj jak to — sposobność zasłużenia sobie na nie!

Radbyś tu zostać młody przechodniu na wieki i w pożyciu z nieboszczykami doczekać się końca żywota którego już burzy doświadczyłeś!

Bieglejszym piórom, ludziom z architekturą, sztuką rzeźbiarską lepiéj obeznanym, zostawię opisanie szczegółowe pomników pięknych, zasługujących na uwagę znawców. — Ja nie jako artysta zwiedzałem groby *Westminsteru*, ja żądałem od nich czego mi potrzeba było: pociechy, —i znalazłem ją obficie.

Wiele tu jest arcydzieł sztuki ubiegających się o zaszczyt wyrównania przepychem i gustem sławie mężów, talentowi artysty powierzonych — lecz tego nie dokazało żadne. Żadne nawet nie wzniosło się do szczytności pomysłu i poprawności wykonania owego przedziwnego pomnika strazburskiego, którym sława marszałka *Saskiego*, syna naturalnego króla polskiego *Fryderyka Augusta* I przejdzie do późnéj potomności.

Napisy w ogóle odznaczają się trafnością i niezatarte w pamięci zostawiają ślady; mało jest czczych, tchnących próżnością, lecz w wielkiéj liczbie i tych nie braknie niestety.

W kilkunastu pobocznych kaplicach stoją grobowce królów i możnowładców. Na wielkich sarkofagach leżą królowie i królowe w całych postaciach, w koronach, z berłami; rycerze z mieczem, w zbrojach, z głowami na ramionach wspartemi, z podobieństwem rysów twarzy i noszonego za życia ubioru. U nóg mężczyzn spoczywają lwy, godła męztwa; u nóg kobiet psy, godła wierności.

Jedna dama nieboszczka leży pomiędzy dwoma mężczyznami kolosalnéj wielkości. Ona z zamrużone-

mi oczami w postaci śpiącéj, oni wsparci na rękach i na nią spoglądający. Następujący napis wychodzi z głośnéj trąby *Klii*:

„*Pia, casta, prudens, utrique marito bona fidelis uxor.*“

„Nabożna, czysta, mądra, każdemu z obu mężów dobra i wierna żona.“

Pomimo świętości przybytku, jedność miejsca zajętego przez obu mężów nasuwa gwałtem ideę jednoczesności, a wówczas i napis przy postawie dziarskiéj bohaterskich mężów przybiera dziwnego jakiegoś znaczenia.

Autor napisu tego musiał być filologiem niemieckim, umiejącym wiele rzeczy, ale nieznającym się na głównéj — na dobrym guście.

Mówiąc o pomnikach niewiast wypadałoby właściwie zacząć od piérwszéj, najświetniejszéj z Angielek, o wielkiéj „*Virgin Queen*“ panieńskiéj królowéj, jak ją grzeczna nazywa historya.

Królowa *Elżbieta*, długa, poważna postawa leży na swym wyniosłym sarkofagu w głównéj wielkiéj kaplicy, w któréj się odbywa nabożeństwo. Cierpki jakiś i rozkazujący wyraz jéj twarzy ujmuje jéj tyle wdzięku, że nic prawie nie zostaje. Pompatyczny napis głosi świetność panowania *Elżbiety*, zwycięztwa jéj flot i armii, przewagę zabraną w sprawach Europy, jéj mądrość i zdumiewającą uczoność.

Późniéj, za czasów zapewnie *Oliwiera Kromwella* dodano, że ciało *Elżbiety* spoczywa w grobie obok ciała nieszczęśliwéj jéj krewnéj *Maryi Sztuart*. — Tak grób pojednał zazdrosną mścicielkę z ofiarą. Berło którém umiała władać za życia zostało wydartém jéj posągowi po śmierci. Było całe szczerozłote, wielkiéj wartości.

Henryka V^{tego}, przezwanego *Chłostą* Francyi, spotkało jeszcze większe nieszczęście. Urwano mu całą głowę, była bowiem z srébra.

Między pomnikami niewiast celuje okazałością pomnik dla lady *Nightingale* wzniesiony. Umarła w 27 roku, w wiośnie życia. Wystawiono ją piękną jak bóstwo, z marmuru, jak się chroni przed śmiercią w objęcie małżonka; on ją przyciska do serca jedną ręką, drugą zaś zasłania od grotu śmierci.—Jaka szlachetna, tkliwa rozpacz w jego twarzy!—Śmierć, brzydki, nagi szkielet wypada z napół otwartego grobu, zrzuca z siebie biały całun i porywa za nieubłaganą kosę.

Inaczéj zupełnie, lecz niemniéj pięknie uczczono pamięć lady *Walpole.* Cały pomnik wystawia statuę z najpiękniejszego białego marmuru wyobrażającą lady *Walpole* w długiéj zasłonie, spadającéj z głowy do stóp, w postawie skromnéj lecz niewymownie miłéj, godnością tchnącéj i rozważnéj. Gdyby nie twarz charakterystycznie angielska powiedziałbyś, że to *Westalka* wyszła zpod dłuta *Praxytelesa*;—tyle jest klassycznéj piękności w pomyśle, wykończoności i talentu w wykonaniu.

Najdawniejszym pomnikiem *Westminsteru* jest grobowiec *Edwarda Wyznawcy*, zmarłego w roku 1066 a kanonizowanego późniéj przez papieża *Alexandra* III w roku 1179.

Byłto człowiek sprawiedliwy, dobry, lecz dziwne wyobrażenie bogobojności przeszkadzało mu być dobrym mężem, przezornym królem, a nadewszystko jakim takim ojcem. Napis na pomniku mówi że żył

od kolebki do grobu w ścisłym celibacie, pomimo że miał za żonę młodą i prześliczną *Edythę* córkę *Godwina*.

Gdyby *Edward Wyznawca* miał mniéj pobożności, nie byłby umarł bez potomka; *Wilhelm* zwycięzca nie byłby miał pretextu wkroczyć do Anglii z swemi awanturnikami, zdobyć koronę i wytępić prawie doszczętu ową gościnną i poczciwą szlachtę saxońską, którą znamy bardzo zblizka dzięki rycerzowi *Iwanhoe*, cudnemu utworowi *Walter-Scotta*.

Słusznie że tu na czele leżysz o wstydliwy *Edwardzie*, bracie rodzony pobożnego *Eneasza*. Gdyby nie twa wielka cnota, miałbyś wcale innych towarzyszy wiecznego odpoczynku twego niepokalanego ciała. Nie przebudzałby się jęk *Edwarda* II zabitego rozżarzonym rożnem z rozkazu jego własnéj żony *Izabelli* francuzkiéj, — płacz dzieci *Edwarda* IV, przekleństwa ich mordercy *Ryszarda*; nie słyszałbyś narzekań ani *Maryi Sztuart*, ani *Anny Boleyn* i *Katarzyny Howard*, ściętych z rozkazu ich własnego męża *Henryka* VIII; nie słyszałbyś wyrzutów młodéj, pięknéj, uczonéj *Jane Grey*, ani też dobrego *Karola* I, którego *Kromwell* śmiał skazać na śmierć, lecz nie śmiał pozbawić grobu w *Westminsterze*.

Takichto krwawych skutków przyczyną była nieczułość twa na wdzięki pięknéj *Edythy*, z któréj popiołami mieszają się teraz twoje.

Na jednym grobowcu leży *Edward* I z rasy *Normandów*, a przy nim *Eleonora* z Kastylii jego małżonka, tak pamiętna z swego poświęcenia się dla męża, że się przy jéj grobie każda dama długo zatrzymywać zwykła. — *Edward* w pochodzie swym do Palestyny

z wojskiem krzyżowém w roku 1279 został ugodzony zatrutą strzałą. — Śmierć musiała nastąpić niechybnie, jeśli kto jadu z rany nie wyssie. -- Dworacy nie odważyli się nie chcąc ważyć własnego życia. — lecz się poświęca żona i ocala męża.

Co tu jest nadzwyczajnego w tém poświęceniu żony dla własnego męża? może w Anglii, gdzie rozwaga każde uczucie poprzedza lub przynajmniéj każdemu towarzyszy. — Ale jestem pewny, że u nas większa część kobiet poświęciłaby się w tenże sam sposób dla swych *mężów*, nie robiąc sobie z tego żadnéj zasługi; jestem nawet pewien, że w liczbie tak się poświęcających byłoby wiele żon należących do rzędu tak nazwanych sekutnic, łających swych mężów od rana do wieczora. — Serce jest lepsze u nas, u samolubów rozum niém włada.

Kaplicę *Henryka* VIII piękną i okazałą uważają za arcydzieło budownictwa gotyckiego. Za życia swego miał sześć żon, dwie z nich odepchnął, dwie ściąć kazał, jedna mu umarła w połogu, jedna go przeżyła, — lecz żadna z swym mężem nie chciała dzielić pośmiertnego ostatniego łoża, jak gdyby się obawiała przebudzenia lwa i krwawych jego wyroków.

Na ścianach kaplicy wiszą chorągwie rycerzów orderu Kąpieli, (*order of Bath*), przy nich wypisane są imiona i wymalowane herby. — Chorągwie tych, którzy jakim niegodnym czynem honor rycerski splamili zrywane są, a miejsca pozostają próżne. — Próżne jest miejsce gdzie tkwiła chorągiew admirała lorda *Cochran*, którego na utratę orderu Kąpieli naraziła bezprawna jego chciwość.

W kaplicy *Edwarda* przechowuje się tron koronacyjny i ów bajeczny kamień, do którego rządy królestwa Szkocyi są przywiązane. — Prosty szary głaz znany w historyi od szesnastu *wieków* (*).

Opuśćmy pomniki koronowanych, a pójdźmy zobaczyć groby mężów dębowym liściem lub laurem uwieńczonych. Tu leżą waleczni wodzowie zastępów lądowych i fortec unoszących się na falach morskich. — Szereg bohatérów otwiera *Henryk Percy*, przezwany „*hot-spear*“ (czyli gorący grot), wsławiony w wojnach Lankastrów z Yorkami za panowania *Edwarda* IV; — poległ w bitwie r. 1403. — Z *Szekspirem* który go uwiecznił w tragedyi *Edward* IV, przejdzie on do najpóźniejszéj potomności, — chociaż zawód młodego rycerza był bardzo krótkim.

Tu wznosi się pomnik lorda *Ryszarda Howe*, admirała wsławionego zwycięztwem zupełném, odniesionem nad flotą francuzką w kanale *Manszy* w r. 1794. W téj zaciętéj bitwie wiekopomną okrył się sławą okręt francuzki *Le Wengeur*. Wolał zginąć szlachetnie niż poddać się Anglikom.

Tu są pochowani: waleczny generał *Wolf* i półkownik *Kongrew*, ten sam który się wsławił wynalazkiem rac, których skuteczności doświadczyli Francuzi pod *Boulogne*. *Lipskiem*, *Waterloo*, a *Algier* przy bombardowaniu go przez lorda *Exmouth*.

Pomnik generała *Hargrave* zastanawia ogromem. Bohater wystawiony jest wyłamujący się z grobu. Czas pod postacią starca, kruszy grot śmierci i wtrąca ją samą w otchłań.

(*) Król *Kennet* kazał na tym głazie wyryć następujący napis:
Ni fallat fatum, Scoti quocunque locutum,
Invenient lapidem, regnare tenentur ibidem.

Nie wszystkich bohatérów angielskich groby znajdują się w *Westminsterze*, wielką ich część ujrzymy późniéj w kościele Śgo *Pawła*, w tym panteonie uzupełniającym świątynię chwały.

Przejdźmy do sławnych mężów którzy w mniéj głośnym zawodzie zdobyli sobie prawo spoczywania pomiędzy najsławniejszemi synami Anglii.

Tu spoczywa wymowny *Henryk Grattan*, Anglik i protestant, a jednak — rzecz zastanawiająca! — obrońca uciśnionych Irlandczyków, prześladowanego katolicyzmu, obrońca bezinteresowny, niepłacony żadnemi składkami, człowiek szlachetny, broniący w imię sprawiedliwości i przeciw chciwości własnych rodaków, prawa słabszego skrzywdzonego.

Trzeba znać wszystkie te szczegóły nim się wstąpi pod te sklepienia. — *Cycerone* angielski wam ich nie powié, i da wam przejść około skromnego pomnika nie namawiając nas do złożenia winnego hołdu pamięci szlachetnego *Henryka Grattan.*

Lord *Mansfield* siedzi w krześle sędziowskiém w todze i peruce. Bystre jego oko zwrócone na szalę sprawiedliwości, w twarzy nieugięta bezstronność, obok niego gieniusz mądrości i sprawiedliwości, za nim zaś śmierć w postaci pięknéj i młodéj kobiety gasi pochodnię. Nie powinni ją nigdy wystawiać w obrzydłéj postaci skieletu, gdzie tylko spotyka na swéj drodze dobrego człowieka.—Śmierć niech będzie straszydłem dla dzieci niesfornych i powinna być postrachem dla złych ludzi, *ale niech* będzie przyjaciołką dla prawego człowieka wiedzącego, że ona przyjść musi niechybnie powiedziéć: „już dosyć pracowałeś, dosyć cierpiałeś, teraz użyj pokoju.“ Starożytni Grecy w tym

względzie doskonalsze i piękniejsze mieli pojęcia.— W wieku średnim oddalono się od wzoru estetycznego i z przestrachu śmierci zrobiono narzędzie ujarzmienia tchórzów za życia jeszcze.

Lord *Chatham* leży obok lorda *Holland*, *Pitt* obok *Foxa* tak blizko że łza wylana na grobie *Foxa* potoczy się na grób *Pitta*, jak mówi *Walter-Scott*. — Niémasz tu innego napisu na tych grobach jak litery *P.* i *F.* Brytania powierzyła pamięci swych synów całą sławę *Pitta* i *Foxa*, dwóch zaciętych przeciwników za życia (*), i tém zaciętszych im więcéj, im sumienniéj służyli swemu krajowi. Jeden jest uosobieniem *Torysów*, drugi uosobieniem *Whigów*; a obaj, choć w ciągłéj walce z sobą, umieli służyć i ratować ojczyznę i zasłużyć na wdzięczność Anglików.

Lecz jakieżto nazwisko wyczytuję na marmurze?— to samo które błyszczy na czystém tle nieba, wypisane wiecznemi gwiazdami: *Newton*.—Tak, to grobowiec wielkiego *Newtona*, owego astronoma, który odkryciem praw ciężkości ogólnéj wytłumaczył bieg planet około słońca, bieg księżyca około ziemi, bieg komet,— przypływ i odpływ morza — *Newton* który prawami ciężkości i przyciągania wytłumaczył światu, co niedościgły gieniusz naszego *Kopernika* pomyślił i stwierdził.—Anglia tak jest dumną z *Newtona* jak my mamy być prawo z naszego *Kopernika*, wyższego jeszcze.— Lecz stokroć szczęśliwsza Anglia! Granice jéj zewsząd strzeżone morzem, a my już nie wiemy gdzie się koń-

(*) Przeciwników nawet po śmierci—bo *Fox* wymownie sprzeciwiał się pochowaniu *Pitta* w *Westminsterze*. — Śmierć obu, dopiero ich pogodziła.

czy słowiańszczyzna, a gdzie poczyna żywioł niemiecki. — Ufając w zabałamucenie geografów cudzoziemskich, Niemiec niezadowolony jeszcze ziemią śmiał sięgnąć po narodowość naszego *Kopernika*, chwałę całéj słowiańszczyzny, gdyż jedném tém nazwiskiem możemy wszyscy Słowianie odeprzéć zarzut niższości intellektualnéj czyniony nam przez dumnych z swego rozumu Niemców.

Pozostaje nam jeszcze do zwiedzenia część bardzo ważna świątyni, przytułek poetów „*the poets corner*," jak go tu nazywają. Stanowi on przedsionek grobów królów i bohaterów. Nie wiem czy to było w myśli architekta, czy téż przypadkiem się stało, że droga prowadząca mocarzy do spokojności przechodzi przez skromne ustronie poetów, bez których gieniuszu i pióra niémasz sławy dla największego nawet zdobywcy.

Ale i my jeszcze żyjący oddajmy już przy wstępie do tego świętego przytułku szczery hołd nieśmiertelnym władcom uczucia, owym tkliwym opiekunom naszéj młodości i naszych dzieci młodości, owym pocieszycielom, do których i w dojrzalszych latach chętnie się uciekamy, gdy przejdzie wiek ambicyi i ubiegania się za majątkiem i honorami. — Za życia i my także mało ich uznajemy, gdyż po największéj części z grubéj jesteśmy utworzeni materyi, i wolimy ugiąć się przed człowiekiem oślepiającym nas blaskiem swéj powierzchowności, jak przed gieniuszem w niepozorném ubraniu. Mało ich znamy zaprawdę, i mało godni jesteśmy ich znać i pomiędzy resztą ludzkości rozróżnić, — chcielibyśmy ich widziéć już za życia błyszczących na zenicie chwały, tak jak ciebie *Wiktorze* i ciebie *Alfonsie*, którzy żyjący frymarczycie sławą waszą i pamiętni-

kami pośmiertnemi.—Ah! nie bądźmy tak niebacznemi! Przekonajmyż się raz że w tym kraju nic nie może iść dobrze dlatego, że wszystko przychodzi zawcześnie, i że wkrótce tam się rodzić będą poeci, którzy jeszcze w pieluchach płacić zechcą swym mamkom za wyssany pokarm bonami assekurowanemi na cenie pamiętników swych pośmiertnych.

Staję u stóp *Szekspira*. Święty dreszcz ogarnia mą duszę i miota serce w niezliczonych pulsacyach o me jak gdyby trwogą ściśnione piersi. — Czemuż w téj chwili miałem świadków mego wzruszenia? zostawiony samemu sobie nie byłbym się wstydził wywrzéć go całkowicie, byłbym ukląkł przed twym grobowcem *Szekspirze* i podziękował ci za wpływ dobroczynny, któryś z twym rodzonym bratem *Adamem* wywarł na najpiękniejsze lata życia mego,— na jedyne lata swobody spędzone pod okiem Boga i rodziców na błogich *Nidy* brzegach!

Ah! są tu myśli wielkie jak świat w téj marmurowéj głowie *Szekspira* wspartéj na ręku, a te księgi o które się wspiera łokieć, to są dzieła nieśmiertelnego wieszcza, to są niewyczerpane skarby dla każdego zdolnego pojąć, że najszczytniejsza poezya leży w rzeczywistości natury wiecznie pięknéj nawet w swych potworach.

I ciebie witam *Thomsonie*, któryś nie wychodząc nigdy z Anglii zdołał ubrać wszystkie pory roku w tak świetne barwy harmonii, obrazów, czucia i myśli, że się i pod twego kraju zimném niebem cudnie pięknemi wydają. Ty jesteś angielskim Wincentym Polem, i umiész ziemi, którą kochasz, nadać postać przez ciebie ubóstwianą, i umiész ją zrobić godną ubóstwienia dla in-

nych niewidzących w własnéj ojczyznie jak nagość płaszczyzny i piaski.

Kogo przedstawia ta piękna twarz pełna słodyczy i rozumu? *Miltona*, nieśmiertelnego twórcy „*Raju utraconego*." Występując w życiu praktyczném pod krytycznemi okolicznościami, jako sekretarz *Kromwella*, przeciwko któremu sam stawał w oppozycyi w obronie wolności druku, *Jan Milton* walczył długo z przeciwnościami losu, dopóki był w położeniu świetném; późniéj zaś, gdy z przywróceniem *Karola* II do tronu postradał swe posady, wielki poeta walczył w zapomnieniu z biedą, dokuczliwą chorobą i kalectwem. *Milton* oślepł zupełnie nim żonie swéj i dwom córkom podyktował poemat, „*Raju Utraconego*," sprzedał go księgarzowi za biedne 30 funtów szterlingów i umarł ani się spodziewając, jaką mu on zjedna sławę. Nie poznano się na nieporównaném dziele, aż je *Addisson* wywlókł z zapomnienia, w 20 lat po śmierci autora, i dał cenić światu. Poemat *Raju utraconego* jest dziś dumą Anglii, i najzdolniejsi krytycy wszystkich krajów uważają go za jeden z najszczytniejszych płodów gieniuszu ludzkiego.

Z wdzięczności dla znawcy *Miltona* zwróćmy się tu do tego posągu przedstawiającego nam poetę *Addissona* w postaci filozofa greckiego w długim, fałdzistym, bogato drapowanym płaszczu. Piękne to dzieło sztuki wyszło zpod dłuta *Westmacotta*. *Addisson* wsławił się najwięcéj swemi pismami i pamfletami politycznemi, jako téż swą tragedyą *Kato*, któréj cenić trzeba klassyczność i poprawność stylu.

Niemniéj zadziwia okazałość pomnika *Priora*, wcale nie w stosunku z jego poetyckim talentem. Lecz

Prior był dyplomatą, późniéj ministrem nawet, i to tłumaczy świetność pomnika.

Skromny bardzo pomnik ma *Dryden* stojący na czele poetów angielskich co do wykwintności, harmonii i gustu.—Był on ojcem krytyki w swym kraju.

Niemniéj skromnym pomnikiem uwieńczono pamięć *Chaucera*, ojca poezyi angielskiéj, urodzonego roku 1328, a zmarłego roku 1400. - Był on przyjacielem i szwagrem króla swego *Henryka* IV (Lankastra).

Daléj *Cowley*, *Spencer*, *Gray*, *Dowenant*, *Goldsmith* — daléj urna z napisem: „*O rare Ben Jonson!*“ poświęcona spółczesnemu i przyjacielowi *Szekspira* poecie, który, nim synem muzy został, był malarzem, żołnierzem i aktorem. — Wiele jest dowcipu w jego teatralnych sztukach. Umarł w nędzy.

Znalazłeś tu przecież przytułek pod sklepieniami *Westminsteru* gienialny *Samuelu Butler*, autorze *Hudibrasa*, poematu pełnego dowcipu i prawdy.—Musiałeś umiérać z *głodu*, tak z *głodu*, nie powoli, w kilka lat, kilka miesięcy, tak jak wielu umiera ludzi w Anglii lecz odrazu, w dni kilka.

Mieszczanin jeden londyński wielbiciel muzy *Butlera* wystawił mu tu marmurowe popiersie z następującym napisem:

„*Ne cui vivo deerat fere omnia*
Deesset etiam mortuo tumulus.“

„By temu, któremu za życia prawie wszystkiego brakło,
Nie brakło przynajmniéj grobu po śmierci.“

Znakomici synowie wszystkich *muz* znaleźli pod temi sklepieniami zaszczytne schronienie. *Garrick* najsławniejszy aktor angielski, choć był z rodu prześladowanych francuzkich protenstantów, sławny poeta

dramatyczny, reformator sceny, wystawiony jest jak za podniesieniem kurtyny występuje na scenę. Nad głową jego w obłokach wznosi się *Szekspir* w towarzystwie *muz* tragedyi i komedyi.

Haendel najukochańszy kompozytor Anglii, choć był Niemcem, silny, śmiały, szczytny i porywający w swych boskich utworach, wystawiony jest na płaskorzeźbie przysłuchującym się tonom niebieskiéj muzyki wydobytéj ze stron harfy anioła unoszącego się w obłokach. Przed natchnionym kompozytorem leży partycya *Messyasza*, którą raz wykonywał z takim duchem i sercem w kościele podczas wielkiego postu, że i życie ubiegło na skrzydłach uczuć wzniesionych ku Bogu.

Nie zapomniano i *Causabona* filologa, *Knelera* malarza, *Taylora* architekta, nawet *Tomasza Parr*, który zasłużył na pomnik w *Westminsterze* sztuką przedłużenia sobie życia. Urodził się roku 1482, umarł zaś r. 1634 przeżywszy lat 152. W roku 120 życia swego z okoliczności ślubu swego prawnuka, ożenił się pradziadek po czwarty raz z młodą kobietą, z którą miał jeszcze dwoje dzieci.

W najnowszych czasach znalazł w grobach *Westminsteru* miejsce inny jeszcze mąż sławny jedynie z przeżycia sto i dziewięciu lat.

Wy, którzyście waszém długiém życiem nic nie zrobili, coby na uwagę zasługiwało, wy długowieczne rośliny znaleźliście nieśmiertelność w *Panteonie* angielskim, a ty *Byronie*, ty jesteś z niego wykluczonym, choć twe krótkie życie umiałeś uwiecznić—blaskiem wiecznéj chwały. — *Kapituła Westminsterska* odmówiła ciału twemu przytułku dlatego, żeś nie był dość prawowiernym zwolennikiem anglikańskiego ko-

ścioła. — *Byronie!* puszczając się na lotnym *Pegazie* z szczytów parnasu w niedościgłe okiem sfery eteru, powinien byłeś zabrać z sobą katechizm téj wiary, która zachowała hierarchią katolicką dla przywilejów i pieniędzy do niéj przywiązanych, a przyjęła dogmy protestantyzmu dlatego, żeby *Henryk* VIII mógł zerwać ślub swój ze starą *Katarzyną Arragońską*, a zawrzéć inny, z młodą *Anną Boleyn*.

Powiedźmy jeszcze okiem na okół kościoła. W zachodniéj jego stronie przytykają szczątki dawnego klasztoru (Westminster), w którym już niéma ani dawnego azylum, tego nietkniętego schronienia, — ani cel zakonnych, ani tego budynku, gdzie w roku 1474 *Wiliam Caxton* założył piérwszą w Anglii drukarnią i wydrukował piérwszą książkę — o grze w szachy. Lecz jeszcze dotąd dotrwał klasztor, ogromny czworobok, w którego bocznych murach mnóstwo się mieści grobowych kamieni. Przechowała się jeszcze część kapituły przebudowanéj w późniejszych czasach i obróconéj w archiwum koronne, w któróm dotąd znajduje się oryginał znakomity *Doomes day Book*, czyli wielki kadastr Anglii, ułożony w XI wieku.

Ale opuśćmy już te święte podwoje, pożegnajmy cienie wielkich ludzi.—Powróćmy z tego świata podziemnego gdzie tak dobrze, tak cicho, tak święto, do świata nadziemnego, gdzie ani dobrze, ani cicho, ani święto. Zakrystyan nie pozwala nam tu zostać dłużéj i zaręcza nam że *„he must have his dinner"* że musi miéć swój obiad.

Oh teraz jesteśmy znów na bruku londyńskim. łoskot i wrzawa budzi we mnie człowieka, powietrze ulic owionęło mnie, jestem znów krytykiem nieprze-

błaganym; — i powiedziéć wam mogę że prócz ludzi sławnych jedynie z długiego życia znalazłem w *Westminsterze* jeszcze innych, *sławnych jedynie z majątku.* Pieniądz, podły pieniądz zabezpieczył tym ludziom nieśmiertelność!

W tym względzie niestety *katedra krakowska* staje się aż zanadto podobną do *Westminsteru.* I w niéj znalazłem pomniki, całe kaplice poświęcone dumie arystokratycznéj, dumie pieniężnéj, i tym torem idąc jeszcze daléj przez pół wieku znajdziemy wpośród pomników, które wdzięczny kraj wznosił bohatérom, pomniki spekulantów, fabrykantów i innych mydlarzy.

W jednéj z kaplic *Westminsteru* pokazują dwie trumny stojące na ziemi.—Trumny te zawierają zwłoki dwóch ambasadorów zagranicznych, którzy straciwszy po śmierci przywiléj nietykalności, służący ambasadorom za życia, dostali się jako nieboszczyki w ręce wierzycieli.—Nikt nie reklamował panów ambasadorów, ktorzy tym sposobem zostaną w *Westminsterze* aresztowanemi aż do dnia sądnego.—Idea, żeby *Panteon* służył za zakład pomocniczy więzieniu za długi, jest jedyną w swoim rodzaju, i tylko w głowie angielskiéj wyrodzić się może.

Niedość na tém. W innéj jeszcze kaplicy pokazywano nam *Elżbietę* i *Nelsona* z wosku, w ubiorach *prawdziwych* jakie nosili za życia. Stoją za szkłem, z owemi twarzami rysem i kolorytem małpującemi życie a nieruchomemi -- jak maski. — Nieznośny widok, rażący niestosownością w tym świętym, okazałym przybytku wieczności, wzbudzający wstręt i nasuwający myśli, które tu przynajmniéj wolelibyśmy zapomnieć.

Ta woskowa *Elżbieta* nie może być ową królową, która zwyciężyła *Armadę* i prawa dyktowała Europie,—lecz raczéj ową nieubłaganą zazdrośnicą, która wysłała na śmierć swą siostrę *Maryą*, która umarła po ścięciu hrabiego *Essex*.

A ten woskowy *Nelson*. To nie ów bohatér zpod *Abukir* i *Trafalgar* wołający: „zwycięztwo lub grób w *Westminsterze*“ lecz raczéj ów podlący się kochanek *Emmy Lyony*, ów zazdrosny kat admirała *Caracciolo*.

Anglicy! uznajcie brak smaku w tych bohatérach woskowych i przetopcie ich na świece lub téż sprzedajcie do jakiego gabinetu.

Jeszcze tylko jedno spostrzeżenie o podatku który Anglia nie wzdraga się ciągnąć z sławy pośmiertnéj swych wielkich ludzi. Wystawicie sobie że taki *Milton*, *Jonson*, którym dano umrzéć z nędzy, taki *Butler* któremu dano umrzéć zgłodu, muszą po śmierci swéj żywić owych tłustych rumianych, poważnych cyceronów, opowiadających z monotonią automatyczną i ziewając, ich życia historyą! To sprzeczność zanadto rażąca. Niektóre większe pomniki wypuszczone są szczególnym cyceronom w entrepryzę. Ichmościowie ci obstawiają pomnik drewnianemi baryerami jak pajęczyną i czatują, zaczaiwszy się jak pająki, na publiczność. Niechno się kto posunie blizko pomnika! pająk wypada z swéj dziury, porywa ofiarę, wtrąca ją w siatkę, pokaże pomnik, opowié, ziewając i kalecząc najnieznośniéj nazwiska, jego historyą, i żąda za to szylinga lub pół szylinga.

O Anglio! poznaj się na twéj własnéj szlachetności i zaniechaj tego szachrowania wrażeniami wywie-

ranemi przez pomniki twych wielkich ludzi.— A jeśli już żadnym sposobem duch twój kupiecki nie może zrzec się téj sentymentalnéj spekulacyi, wówczas zmień przynajmniéj przeznaczenie dochodu:— zaprzestań żywić podatkiem poezyi owych brzuchatych zakrystyanów z rumianą twarzą, złotemi zegarkami i pękiem breloków złotych; przeznacz dochód ten na utrzymanie przy życiu jakich starych synów *Thalii* lub *Melpomeny* którym wiek i choroby nie pozwalają pracować, a którzy giną tuzinami na ulicach Londynu. I publiczność na tém skorzysta: zamiast monotonnych, na pamięć nauczonych, a jednak kaleczonych panegiryków, będzie miała opowiadania ludzi obeznanych z historyą i literaturą. Publiczność chętniéj da pół korony weteranom sceny, niż szyling waszym zakrystyanom.

ROZDZIAŁ XI.

Ogród botaniczny w Chelsey—Rozmowa z Miss Emilą—Miss Arabela—Miss Jenny— August— Betey — Cmentarz — Pomniki grobowe—Napisy — Ozdoby — Niémasz pokoju dla popiołów w Anglii—Nieśmiertelność — Grabarz — Rękawiczka — Poezya — Opisy podróży — Scholastyka — Doświadczenie — Cnota — Odwaga — Szalbierstwo.

Wiem, *my dear friend*, że my jesteśmy dziwną dla pana zagadką —wiem że nie możesz sobie wytłumaczyć naszego odosobnienia, naszego smutku, naszéj obojętności na wszystko w czém największa część ludzkości przyjemność i szczęście znajduje.“ Tak do mnie mówiła *Miss Emily* przechadzając się po ogrodzie botanicznym w *Chelsea*, w dniu w którym mnie do siebie zaprosiła. Wiadomo już że pannom angielskim wielką w tym względzie zostawiają wolność.

„Nie przeczę bynajmniéj, odpowiedziałem. Widok młodéj osoby z sobą tylko żyjącéj, oddalającéj się z własnéj woli od świata, któregoby była tak piękną ozdobą, zastanawia mnie bardzo i nie kryję wiele, że usiłując sobie wytłumaczyć oziębłości téj dla świata tak niezwykłéj w tym wieku powody, wpadam na domniemywania....

„Tak dziwnego rodzaju“ przerwała mi *Miss Emily* uśmiechając się, „że one właśnie nakłaniają mnie do powierzenia panu przyczyn postępowania naszego.— Długo się wahałam, w téj jeszcze chwili nie wiem zupełnie, czy dobrze robię, zatrudniając serce pana losem ludzi tak mało ci znanych.

„Mało mi jesteście znani, to prawda, lecz nie wiem czemu w waszém towarzystwie dusza moja nie czuje więzów żadnych, wam powierzyłem bez ogródki najskrytszych myśli mych tajniki,—méj wiary obręby, mych cierpień przyczyny. Mało kogo do tych powiernistw przypuszczam.“

„Spostrzegliśmy to. I my także uczuliśmy wpływ pańskiego towarzystwa, i my uznaliśmy, że człowiek myślący i czujący, zdolny zdać sobie rachunek z swych myśli i uczuć, musi wiele cierpieć trawiąc najpiękniejszy swój wiek zdaleka od kraju w którym się urodził. Jest pewien węzeł braterstwa pomiędzy nieszczęśliwemi wszystkich narodów, z jakiéjkolwiekbądź przyczyny nieszczęścia ich pochodzą. I dlatego też ośmielam się zedrzéć zasłonę kryjącą naszych cierpień dziwne, niezwykłe przyczyny.—Lecz wprzódy, nim moję zacznę jeremiadę, na dwa pytania odpowiedziéć mi musisz, — ale odpowiedziéć rzetelnie, bez ogródki, nie robiąc sobie żadnego zastrzeżenia w myśli.“

„Gotów jestem do tego, *dear Miss Emily!*“ odpowiedziałem zdziwiony tém długiém i ostróżném przygotowaniem.

„Dobrze. Więc powiédz naprzód, czy wierzysz, że są ludzie dla których myśl śmierci nie przedstawia nic okrutnego, nic srogiego; ludzi, którzy w śmierci wi-

dzą tylko odrodzenie, długo oczekiwane wyzwolenie się z cisnących więzów?"

Wierzę. — jakże nie miałbym wierzyć? wszakże oddawna sam nie uważam śmierć jako karę lecz jako nagrodę dla dobrych, za odpoczynek dla znużonych."

„Dobrze, drogi przyjacielu! — lecz teraz powiédz mi czy czujesz się na siłach zniesienia w żyjącym przyjacielu przekonania, że w pewnym jemu wiadomym czasie będzie nieboszczykiem, stanie się ofiarą losu pewnego jemu już znanego. Czujesz się na siłach szanowania tego przekonania, jeśli uznasz że ono jest uzasadnionėm, wstrzymania się od wszystkich słów próżnéj pociechy i niepotrzebnego żalu; rozmawiać o śmierci z chrześciańską odwagą jak o jakiéj podróży niezbędnie potrzebnéj, któréj żadnym sposobem uniknąć nie można? Czujesz się na siłach być powiernikiem rwiącéj się w świat wieczny istoty?"

Na to niespodziewane, niezwykłe, rozpaczą tchnące pytanie odpowiedzieć nie zdołałem natychmiast.— Dusza smutném przeczuciem trapiona śledziła w oczach *Miss Emilii* rozwiązania trwożącéj mnie zagadki; lecz w jéj oczach żadnego obłąkania, żadnego — owszem wyraz jakiś silny rozumem, a ujmujący dobrocią.

„Oh nie lękaj się pan, ja jestem w posiadaniu całego mego rozsądku," rzekła *Miss Emily*, „lecz odpowiédz na me pytanie?"

„Nie mam wysokiego wyobrażenia o odwadze ludzkiéj w ogólności, uznaję nawet oddawna że bojaźń śmierci jest nikczemności ludzkiéj i jéj nieszczęść główną przyczyną, — lecz mnie niewolno nie wierzyć w odwagę chrześciańską zwalczającą bojaźń śmierci, gdy wiem że filozofia poganów już nad nią wynosiła, i czuję się na siłach dać jéj dowody w po-

trzebie. Czemużbym tedy miał słabnąć na widok istoty spoglądającéj na śmierć jak na funkcyą życia, i odwodzić jéj myśli od oswajania się z nią, jeśli ma nastąpić niechybnie.“

„Dzięki panu niech będą za tę odpowiedź. Przebacz młodéj dziewczynie że postępuje z taką ostrożnością nim zawrze przyjaźń która nie potrwa długo, lecz przetrwa me życie. -- Pan na mnie spoglądasz zdumiałemi oczyma, i nie przewidujesz jeszcze co ci chcę powiedzieć, błąkasz się w labiryncie domniemywań, błąkasz się choć łatwiéj od innych mógłbyś przewidzieć co mi grozi. Lecz nie! Wszakżesz i najpiérwsi lekarze londyńscy nie przewidzieli możliwości choroby i śmierci w najstarszéj méj siostrze, nim jeszcze nie dojrzała do całéj świetności piękna. Ona była jak ten kwiat rzadki, którego najwyższy stopień rozwinięcia poprzedza tylko o chwilę piérwsze oznaki śmierci, który doszedłszy do doskonałości zaczyna raptownie więdnieć, chylić swój kielich ku ziemi, niknąć i umiérać. Nie przerywaj mi — opowiem całą opłakaną historyą długiego szeregu żałoby, któréj nieszczęsna ma rodzina była ofiarą i świadkiem“.

„Matka moja rodziła się w Indyach, pochodziła ona nawet w żeńskiéj linii od rayów indyjskich. Poszła za ojca mego mając zaledwie lat piętnaście, miała doszedłszy zaledwie do dwudziestego piérwszego roku życia pięcioro dzieci chowających się jak najzdrowiéj pod cudném niebem indyjskiém. Dziad mój, ojciec mego ojca, żyjący w Londynie umarł nagle lat temu ośm, zostawił wdową mą babkę i bardzo znaczny majątek, lecz w bardzo zawikłanych interesach. Babka obawiając się straty tego majątku nagliła na ojca mego

by wrócił jak najprędzéj do Anglii. Ojciec musiał zezwolić choć niechętnie na ten powrót. Przybyliśmy tedy do téj zimnéj, słotnéj Anglii. Matka moja rodziła się widać z usposobieniem do suchot, rozwinęły się one wkrótce w tym zabijającym klimacie. Żadna siła lekarska nie mogła wstrzymać biegu choroby, biedna moja matka umarła nie wiedząc że umiera. Miała wówczas zaledwie lat trzydzieści i dwa.“

„W dwa lata późniéj siostra moja najstarsza *Arabella* doszła do ośmnastego roku życia. Świętniała pięknością jak żadna z nas, wysoka, wysmukła jak lilia, cerę miała czystą i białą jak lilia. Zachorowała nagle, zaczęła kaszléć, pluć krwią i niknąć w oczach naszych. Cios śmierci znalazł ją zupełnie do niéj nieprzygotowaną, ona kochała i kochaną była z zapałem, ona marzyła wówczas o szczęściu godném jéj wyobraźni pełnéj ognia i rzewności. Ostatnie chwile jéj życia były okropne: przeczucie śmierci trwożyło ją do tego stopnia że sama trwoga przyspieszyć ją musiała; żadna pociecha religijna nie zdołała ją pojednać z smutnym losem. „Ja chcę żyć dla was, ja chcę żyć dla mego *Alfreda*, ja nie pragnę rozkoszy raju, ja je tutaj na ziemi znajdę,“ tak wołała nieboga jeszcze prawie w chwili zgonu.

„Po niéj zaczęliśmy znikać z tego świata w takich prawie odstępach, w jakich nań przybyliśmy. Corocznie jeden z naszego grona znikał pomimo wszystkich środków zaradczych. Za *Arabellą* poszła *Jenny*. Ta się gotowała na śmierć rok cały w modłach, skrusze i czytaniu pism religijnych. Oderwała się od świata więcéj jeszcze niż ja się odrywam, pogrążyła się całkiem w przygotowaniach do agonii, ona nie miała uśmiechu

dla nikogo, czułości dla nikogo, ani dla ojca. ani dla nas. Serce jéj jeszcze za życia otoczyło się lodem, pragnęła by chwila rozłączenia przyszła jak najprędzéj, i gdy piérwszy raz krwią kaszlnęła, spojrzała w niebo z zimnym uśmiechem i rzekła: „*I come, I am prepared.*“ (Przychodzę, jestem przygotowana.) — Umarła z stoicyzmem godnym Sokratesa, lecz bez żalu i rzewności. Mnie się zdaje że chrześcianka inaczéj konać powinna.“

„Interesa majątkowe méj babki ułatwiły się dodopiero po śmierci méj drugiéj siostry. Babka sama dotychczas tylko swym interesem zatrudniona, nagliła na ojca by nas zawiózł do Włoch. Zostawało nas jeszcze troje, trzech kandydatów do trumny, brat mój *August*, siostra *Betsey*, i ja.“

„*August*, wychowywał się w kollegium w *Epsom*, póżniéj zaś w uniwersytecie w *Oxford*, zdumiewał professorów i spółuczniów bystrością gieniuszu, polotem duszy, poetyckim talentem i odwagą. Tajono przed nim umyślnie przyczyny śmierci swych siostr. Lecz bystrym był nasz *August* i pełen serca i charakteru, choć tak jeszcze młody. On dobrze wiedział co mu groziło, że go nic w świecie nie jest w stanie ocalić, lecz umiał taić przed nami tę wiedzę, gdyż nas kochał czule. Lubił zabawy od maleńkiego dziecka i podczas naszego pobytu w *Neapolu* żadnéj nie zaniedbywał sposobności przepędzenia wesoło reszty swego życia. Tańczył, i jeździł konno, uczęszczał na widowiska i nas także odwodził coraz nowemi zabawami od myśli smutnych zalegających umysł. Łatwo tego dokazał z mą siostrą *Betsey*, umysł jéj tak był dziecin-

nym, że lada nowém wrażeniem można było oczarować jéj duszę.“

„Kochany nasz brat *August*, zapadłszy już nawet na złowróżbny kaszel usiłował nam taić swe cierpienia. Choroba szła nieubłaganie swym zwykłym torem. Wkrótce taić jéj nie można było. Aż do ostatniéj chwili nie stracił gustu do zabaw, mianowicie do muzyki. Godzinę może przed śmiercią mówił do mnie: „Żałuję tylko że dwa lata dłużéj żyć nie mogę, byłbym was moje biedne siostry przeprowadził przez to głupie życie śmiejąc się i żartując z niego.„ — On znał mą siostrę, lecz mnie nie znał nigdy; – ja nie chcę schodzić z tego świata ani śmiejąc się, ani narzekając, znam ja tego życia ważność i pragnę umrzéć z pełną wiedzą wielkiego mnie czekającego przejścia.

„Biedna nasza *Betsey*—umarła już w ośm miesięcy potém, umarła jak dziecko. Bawiliśmy ją aż do końca podarunkami, muzyką, opowiadaniem historyj, kwiatkami. Umarła głaszcząc swe ulubione pieski, pewna że na nią czekają tam w niebie brat i siostry.“

„Prosiłam ojca abyśmy wrócili jak najspieszniéj do Anglii i zabrali z sobą zwłoki brata i siostry. Ojciec długo się opierał mym naleganiom, on utrzymywał że mnie może łagodny klimat oszczędzi; po tylu stratach łudził się jeszcze nadzieją uratowania choć jednego dziecka, choć mu rozum i czterykrotne doświadczenia wszelką możliwość tego szczęścia odmawiały.“

„Dał się nareszcie nakłonić do powrotu. Wróciliśmy trzy miesiące temu do *Chelsey*, gdzie na cmentarzu leżała już matka i dwie siostry, a gdzie teraz prócz mnie cała spoczywa rodzina.—Teraz pan znasz smutną życia naszego historyą, — znaną ona jest niejednéj

osobie, mamy tu bowiem krewnych i tak nazwanych przyjaciół podostatkiem,—a jednak widzisz nas zawsze samotnych. Jedni lękają się mnie jak widma pośmiertnego już teraz, i unikają nas jak mogą, drudzy pojąć mnie nie są w stanie, i zanadto sobie zadają pracy odwodzić mnie płochemi rozmowami od myśli poważniejszych — przez to stają się dla mnie bardzo uciążliwemi gośćmi.—Wiem, że tylko nieszczęśliwy umié się postawić w położeniu nieszczęśliwego i szanować w nim smutek jako konieczny wynik położenia. Towarzystwo pańskie wielką było dla ojca mego i dla mnie ulgą, łączysz z wielkim zapałem wiele czucia, a co tak jest rzadkiém w młodych ludziach, wiele wiary. Lecz trzymać pana w niewiadomości losu mi grożącego byłoby niedyskretnością—nieroztropnością nawet, od czasu jak wiem że sobie tak dziwnie tłumaczysz powody méj posępności, mego smutku i odosobnienia.“ Tak skończyła *Miss Emily* rumieniąc się nieco.

Uszom mym nie wierzyłem kiedy *M. E.* zamilkła. Najsprzeczniejsze uczucia mną władały. Miałżem w młodéj dziewczynie znaléźć więcéj stoicyzmu niż dotąd u kogokolwiekbądź znalazłem? -- To prawie nie sposób! — Widziałem że do wysokiego stopnia można się oswoić z ideą śmierci, lecz z drugiéj strony jako lekarz byłem tyle razy świadkiem zgonu mych bliźnich i przyznać musiałem że wszystkim towarzyszyła aż do ostatniéj chwili życia nadzieja zachowania go. *Miss Emily* spostrzegła walkę która się w méj duszy toczyła, i chcąc mnie przekonać o szczerości swéj wiary, rzekła: „Niedaleko ztąd jest ostatnia ziemska siedziba licznéj méj rodziny. Jest tam i dla mnie miejsce przy-

gotowane. Pójdźmy je zwiedzić, tam pan znajdzie na zimnym kamieniu potwierdzenie tego o czém głos mój nie zdołał pana przekonać."

Podobny więcéj do automatu jak do stworzenia wolą obdarzonego wsiadłem do pojazdu zmierzając ku cmentarzowi miasta *Chelsey*.

Cmentarze w Anglii nie są temi powabnemi, sztuką rzeźbiarską i drzewami ozdobionemi przytułkami, jakie napotykamy tak często we Francyi, Włoszech i Niemczech. Ni szukaj tu wspaniałości cmentarza *père Lachaise* w Paryżu, ani téż pompatycznéj malowniczości cmentarza Liwurny, ani téż owych wyszukanych, tkliwych napisów i drobnostkowych wygód pola pokoju niemieckiego. Anglicy czczą wprawdzie swych wielkich ludzi i dogadzając narodowéj próżności pyszne dla nich wznoszą pomniki, lecz w ogólności mniéj daleko oddają cześci *zwyczajnym* umarłym niż inne oświecone narody.

Niémasz tu okazałych grobowców wzniesionych pobożną ręką dzieci dla rodziców, niémasz napisów tchnących żalem i smutkiem, rzadko ujrzysz kwiaty pielęgnowane staraniem na ziemi pozostałych krewnych. Prostota z oziębłością granicząca religii Anglików wzbrania im wszelkich powierzchownych oznak czułości. Anglik wystrzega ich się za życia swych krewnych, czemużby je miał udawać po śmierci?

Kamień czworoboczny przykrywa grób, na kamieniu napis zaczynający się nieodmiennie następującemi słowami: „Tu leży w Bogu i w nadziei szczęśliwego zmartwychwstania śmiertelna powłoka tego a tego i t. d." następuje wymienienie nazwiska bez tytułów, roku urodzenia i śmierci, — czasem dodają stosowny

wiersz z biblii. — Oto cała ozdoba pomnika; rzadko bardzo cyprys lub wierzba płacząca rzuca swój cień na ziemię kryjącą nieboszczyka.—

Wiemy że protestanci nie modlą się za dusze umarłych;—nie myślę nastawać na dogmy wzbraniające im téj pewno bardzo pocieszającéj wiary. téj pięknéj nadziei wpływania na los umarłych modłami żyjących,— lecz Anglicy idą jeszcze daléj i nazywają bałwochwalstwem wszelką cześć oddawaną umarłym.

Anglicy nie piszą na grobie umarłego: „pokój jego popiołom,“ pokoju bowiem popioły nie mają w tym kraju; dla szczupłości miejsca przeznaczonego na cmentarze nie można żadnemi pieniędzmi zakupić grobu na dłużéj jak na lat dwadzieścia. Jedna generacya musi ustępować drugiéj; popioły dzieci wracały do łona rodzicielskiego.

Rodzina *W*... miała tu osobne miejsce spoczynku wiecznego, odznaczało się od innych tylko mnóstwem krzaków i zaroślin kwitnących jak najpiękniéj, lecz zresztą skromne było to miejsce jak i inne. Pięć napisów, na każdym kamieniu jeden — matka zaledwie przeżyła rok trzydziesty, z dzieci żadne nie dożyło do dziewiętnastego—na szóstym kamieniu nie było jeszcze ni imienia ni nazwiska wyrytego, lecz napis następujący:

„I wróci się proch do ziemi, jako przedtém był, a duch wróci się do Boga, który go dał.“ (*Ekkles. R.* XII, *w*. 7).

„Tu jest miejsce spoczynku już dla mnie oznaczone,—tu w ziemi ciało me pozostanie przez lat dwadzieścia, cokolwiek dłużéj niż ich na ziemi strawię— potém zaś, potém już i śladu nie zostanie z téj wątłéj powłoki“ mówiła daléj *Miss Emily* spoglądając się

z smutkiem na swe drobne a białe jak alabaster ręce. „Ziemia wszystko pochłonie, a z téj licznéj niegdyś rodziny nie pozostanie jak jéj ojciec. — Biedny mój ojciec, wróci do Indyi, jak będzie po wszystkiemu. On chce oddać się na nowo pracy, by zebrać wielki majątek i przeznaczyć go na ufundowanie szkoły i szpitala tutaj w *Chelsey*. — I dobrze zrobi, — jemu trzeba szlachetnego jakiego celu do zniesienia tego życia odartego z wszelkiéj przyjemności. Jego nawet nic zmuszać nie powinno do życzenia sobie rychłéj śmierci; — on czerpie swą wiarę raczéj w filozofii i rozumowaniu jak w modlitwie, — a tamtą drogą nie tak prędko do celu dojdzie, — trzeba mu jeszcze wielkich walk na tym świecie. — Ja jestem szczęśliwszą w tym względzie; — oddawna już bardzo instynktem jakimś, przeczuciem wiedziona, tęskniłam do lepszéj jak ta ziemia siedziby. Nieraz nawet będąc jeszcze szczęśliwém dzieckiem, w gronie méj licznéj, wówczas zdrowéj rodziny, wyrzucałam sobie uczucie téj tęsknoty jakby dowód jakiéjś niewdzięczności. Potém, gdy śmierć wkraczać do nas zaczęła, poznałam że mnie Bóg już oddawna tym niewyraźnym głosem do siebie powoływał, i teraz dziękuję mu z rozrzewnieniem za tę łaskę.“

Mało odpowiadałem na słowa *Miss Emilii* dziś tak wymownéj, wylanéj. Cóż miałem odpowiadać? Serce me przepełnione chaosem uczuć nigdy niedoznanych ciężyło na méj duszy, — a nieprzygotowany rozum nie nasuwał mi myśli żadnéj godnéj okoliczności tak uroczystéj. *Emily* w mych oczach nie należała do ludzi, patrzałem na tę młodą i piękną istotę jako na anioła którego na chwil kilka ziemia od nieba wyżebrała.

Pytałem sam siebie czy to nie cud, czy nie jestem pod urokiem jakiego złudzenia.

„Jeśli istotnie nie jesteś aniołem, *Miss Emily*—mówiłem nareszcie idąc więcéj za wątkiem mych marzeń jak na drodze wskazanéj jasną myślą; jeśli istotnie nie jesteś aniołem, wówczas musisz być przeznaczoną być nim kiedyś; — schodzić z tego świata tak młodą i piękną, bez żadnéj złéj myśli wspomnienia,—czystą i bez winy, to ci już na téj ziemi daje przedsmak wiecznych rozkoszy.“

„Nie mów jeszcze że schodzę bez winy. Nie zapominaj że mnie jeszcze czekają wielkie próby na tym świecie. Dziś leży we mnie zarodek choroby uspiony, tak jak ziarno w skrzepłéj ziemi. Lecz przyjdzie czas kiedy to ziarno wypuści liście i wybuja, i zajmie gorączką całe me ciało. Wówczas widząc się codziennie niknącą, może i moja zacznie maléć odwaga; wówczas przez kilka miesięcy będę własnéj swéj agonii ofiarą i świadkiem. Kto wié czy siła méj duszy wystarczy na zniesienie katuszy, kto wié, czy nie ulegnę w trudnym boju.“

Opuszczając cmentarz spotkaliśmy grabarza, szedł z motyką i rydlem w ręku przygotować komuś ostatnie mieszkanie. Poznał on *Miss Emilię* i pokłonił się jéj z pewną smutną serdecznością.

„*You like us. old friend, we are good costumers for you, are we not?* (Ty nas lubisz stary przyjacielu, my jesteśmy dobrą praktyką dla ciebie) rzekła do niego *Miss Emily* kładąc mu w rękę kilka szylingów.

„Oh panno *Emily*,“ odpowiedział stary grabarz i łza zakręciła mu się w oczach „to żart okrutny. Ja

jestem ojcem licznéj rodziny, a jednakże oddałbym chętnie me życie za twoje.“

„Przebacz mi, mój dobry przyjacielu, przebacz“ zawołała z żywością *Miss Emily* obejmując swemi rączkami grube spracowane ręce grabarza, te same ręce które ją kiedyś zasypią ziemią; „wyznaję żem zbłądziła, oto jest guinea, rozdziel ją pomiędzy twe dzieci.“

„Chętnie przebaczam, — ja wiem, ile pani jest dobrą, przebaczam, lecz pieniędzy nie przyjmę. Jeśli mi chcesz zrobić podarunek, to mi daj jednę z tych rękawiczek drobnych. Będę ją chował na pamiątkę jak relikwię.“

Oh cudzie! Ja dotąd myślałem, że łatwiéj łzę wykrzesać z kamienia, jak znaléźć poezyą u zimnego Anglika, — a znalazłem ją u grabarza w *Chelsey!* Ale *Miss Emilią* otaczała już wówczas aureola świętości w oczach wszystkich ją znających osób.

„Patrz pan, niedawno porównywałeś mnie z aniołem, a ja się pospieszyłam przekonać się, że nim nie jestem wcale. — Płochym żartem obraziłam poczciwego grabarza, a on przecież będzie ostatnim mym sługą.“

Mamże daléj opisywać pamiętnego tego dnia wrażenia?

Nie! i to może dla niejednego za wiele. Zresztą czytelnik ma może prawo oczekiwać w opisie podróży czegoś innego jak sentymentalnych przygód samegoż podróżnego, może nawet wyrzucać mu będzie że go zawiele zatrudnia własnéj duszy wrażeniami?

Lecz ja nie opisuję krajów znanych światu oddawna z drobiazgową dokładnością podróżnego który je odkrył, ja staram się oddać jak może być najwier-

niéj ich obraz takim jaki się odbił na méj duszy, wówczas kiedym w nich był, kiedym w nich cierpiał, kiedy w każdym cierpiącym widziałem mego bliźniego, brata mego ducha. — Ja wiele chwil przecierpiałem w narodzie angielskim; i barwa mych wrażeń przesiąknie pomimo méj woli te karty życia mego; ja tylko pomiędzy cierpiącemi znalazłem przyjaciół i cześć ostatnią pragnąłbym oddać wszyskim. Cierpienia dowcipu nie zaostrzają — to szkoda! wieleby go było na tym goryczą przesiąkłym świecie, lecz cierpienia kształcą rozum poczciwego człowieka i dają mu poznać te subtelne odcienia serca ludzkiego, które wesoły za dowcipem goniący człowiek spostrzedz nie jest w stanie. Któż kształci człowieka nieodwołalnie na całe życie? książka czy doświadczenie?

Ja oddawna pożegnałem się z martwą scholastyką i w własnych przekonaniach zmysłami nabytych śledziłem wiecznych prawd odgadnięcia, gdy mi spisany rozum ludzki już nie wystarczył ni dla szczęścia, ni dla spokojności. — I znalazłem to odgadnięcie częścią w saméj naturze, częścią w tradycyonalnéj lub też z źródła znanéj a do pewnego zakątka ziemi wcielonéj, poezyi.—częścią też w samych mieszkańcach ziemi, nawet w ludziach.

I dlatego niech wam będzie cześć:—tobie oceanie! wam skały Norwegii, duchu Hamleta posępny którego tęskne westchnienia do dziś dnia powtarzają śnieżne fale Sundu! —niech ci będzie cześć o młoda istoto któréj duch pogodny unosi się w czystym etherze nieba nad owemi brzegami Tamizy, na których po raz pierwszy życia srogości doznałem.

Ileżto myśli nie nasuwa obraz téj pięknéj dziewczyny, która mówiła o swéj blizkiéj śmierci z tak uroczystą spokojnością?

Na tym nędznym świecie, na którym tyle widzimy ludzi bez odwagi, drżących jak liść bluszczu na samo wspomnienie śmierci, obraz młodéj, pięknéj, od wszystkich ubóstwianéj istoty wiedzącéj że ją grób wkrótce pochłonie i uśmiechającéj się do niego jak dziecko do swéj kolebki, jest zjawiskiem tak szczytném, tak pocieszającém, że warto do niego myślą wracać.

Lecz nie zabraknie sceptyków którzy utrzymywać zechcą, że obraz ten jest schorzałéj wyobraźni fikcyą.

Ludzie którzyście wszystkie wasze siły wywarli na zdobycie materyi, częstokroć nawet kosztem tych którzy bronić jéj nie umieli, choć jéj do utrzymania się przy życiu jednak potrzebują; ludzie przebiegli, którzyście się wznieśli ze szkodą rzetelnych, ludzie ambitni! wy nie uwierzycie w prawdziwość skreślonego obrazu, dumni z loiki która wam posłużyła do zabezpieczenia sobie wygodnego miejsca w świecie roślinkującym, nie będziecie przeczyć mi wyraźnie, lecz może litować się będziecie w głębi serca nademną.

Lecz nie dla was piszę, nie dla was maczam to moje pióro w najskrytszych tajnikach serca mego. — Są tacy którzy mnie pojmują, i znajdę ich pomiędzy temi którzy wiele cierpieli.

I dlatego też wróćmy się jeszcze czasem do *Miss Emily* nim się z Anglią na czas niejaki rozstaniemy.

ROZDZIAŁ XII.

Obcowanie z cieniami umarłych — Katedra Sgo Pawła — Świątynia Dyany — Krzysztof Wren budowniczy — Spekulacya — Pomniki—Nelson — Bożyszcze greccy — Duchowieństwo — Teologia — Sekty—Towarzystwo biblijne — Akenside — Sterne — Otway, — Kawaler St. Georges — Cudzoziemcy na cmentarzu katolickim — Eon de Beaumont — Król korsykański Teodor.

Anglicy, których najwięcéj podziwiam, najwięcéj poważam, spoczywają już oddawna pod zimném sklepieniem *Westminsteru*, lub pod wzniosłym tumem kościoła Ś. Pawła; osoby zaś które w Anglii najwięcéj kochałem schroniły się także już oddawna pod tę ziemię na któréj szczęścia nie znalazły. Cóż więc dziwnego, że raz wstąpiwszy do obszernego państwa umarłych, oddalić się z niego nie mogę? że tak niechętnie wracam na powierzchnią Anglii, jak niegdyś niechętnie opuszczałem kraj rodzinny?—Czemuż tak lubię obcować z cieniami umarłych? Może dla tego, że śmierć oczyszcza pamięć dobrego człowieka z wszystkich błędów nienależących do właściwéj jego przyrody, a może też i dla tego, że żadna bojaźń zmienności w przyjaźni nie łaczy się z ich wspomnieniem.— Oni mi pozostaną wiernymi, nie zakrwawią mi serca oziębłością, ani téż nie stracą nigdy w stosunkach z światem swéj wartości.

Katedra Śgo Pawła służy Anglikom za Panteon, za drugi Westminster, ta bowiem świątynia tyle już w swych obrębach sławnych ludzi mieści, że bez naruszenia spokojności dawnych nie może ustąpić miejsca dla teraźniejszego pokolenia.

Gmach ten zdumiewający swym ogromem drugie w tym względzie po katedrze Śgo Piotra w Rzymie zajmuje miejsce. Niemniéj w nim zadziwia czystość stylu, jak pełna majestatu okazałość.

Wzniesiony jest nad północnym brzegiem Tamizy na wzgórzu zwaném *Ludgate-hill*, na tém samém miejscu, na którém niegdyś stała majestatyczna gotycka katedra, tak wymownie spisana przez *Dugdala.* Szczątku z niéj nie pozostało po sławnym pożarze w roku 1666.

Kopiąc ziemię dla wzniesienia fundamentów teraźniejszéj katedry, znaleziono prócz fundamentów kościoła gotyckiego, szczątki świątyni chrześciańskiéj jeszcze za czasów prześladowców *Dyoklecyana* zburzonéj, a późniéj za *Konstantyna* odbudowanéj, jeszcze zaś późniéj przez *Saxonów* pogańskich w perzynę obróconéj.

Znaleziono nawet więcéj, jak to; znaleziono szczątki dawnéj świątyni *Dyany*, a pomiędzy głazami służącemi jéj za podstawę kilka kamieni z napisami charakterem runów dowodzących, że na tém miejscu niegdyś był las dziki i ołtarz *Druidów.*

Dziś na szczycie *Ludgate-hill* wznosi się wysoko w niebo szczytna kopuła Śgo Pawła. W środku Londynu, zpomiędzy mnóstwa domów i gwaru, w *centrum* życia kupieckiego, w atmosferze przesiąkłéj do tego stopnia kupiectwem, że się w niéj żaden atom poezyi

utrzymać nie zdołał Żal mi téj pięknéj, szlachetnéj świątyni, ściśnionéj domami, których mieszkańcy, ani są zdolni poznać jéj cuda architektoniczne, ani téż mają czas zwrócić swój wzrok na rzeczy, które nie są towarem lub pieniędzmi.

Stoi tedy samotna pomiędzy mnóstwem domów, tak jak niejeden człowiek stoi samotny pomiędzy swymi bliźnimi. Wznosi się w kształcie krzyża i budowana jest na wzór wspaniałego kościoła Śgo Piotra w Rzymie.

Budowniczym jéj był Anglik *Krzysztof Wren*, który odbudował i ozdobił Londyn po wielkim pożarze roku 1666, za panowania *Karola* II wydarzonym. Zajmuje 48,025 stóp kwadratowych przestrzeni. (*Bazylika* Śgo Piotra w Rzymie zajmuje 227,069. Kościół Panny Maryi we Florencyi 84,802. *Panteon* paryzki 60,287 stóp). Budowano katedrę Śgo Pawła 35 lat, Śgo Piotra Bazylikę 100 lat dłużéj. Tamta ma 340 stóp wysokości, ta zaś 437.) — Wystawić sobie kopułę, któréj ogrom przechodzi wysokość wieży strazburskiéj, to rzecz prawie bajeczna, zdawałoby się, że tego wyobraźnia objąć nie jest w stanie.

Pomimo ogromu katedry Śgo Pawła, pomimo wspaniałéj kopuły, która nad całą stolicą Anglii panuje, pomimo dwóch wzniosłych i pysznych po bokach wystaw na koryntskich filarach opierających się, jéj powierzchowność nie sprawia wrażenia, jakieby sprawić mogła, gdyby stała na otwartém miejscu. Wielkie budowle dla okazania się w właściwéj swéj postaci, potrzebują być widzianemi naprzód zdaleka, i na stosownem sobie stanowisku, by wielość rozproszo-

nych szczegółów nie uderzała wzroku odrazu, na czém cierpi całość architektonicznych rozmiarów.

Ale wstąpmy do środka Panteonu angielskiego. Rozumié się samo z siebie, że i w Panteonie angielskim wrażenia zaczynają się płaceniem szylingów. Wrażenia te miłe powtarzają się nawet systematycznie ośm razy: 1° przy wejściu do kościoła, 2° przy wstąpieniu na galeryę otaczającą kopułę wewnątrz, 3° przy zwiedzeniu księgozbioru bardzo mało interesującego, 4° sali trofeów wojskowych zakupionych na ten cel we Francyi, Hiszpanii, Danii, Holandyi i w Indyach, słowem we wszystkich krajach z któremi Anglicy mieli do czynienia, jako jawni nieprzyjaciele lub jako kupcy, co na jedno wychodzi, 5° za zaszczyt przejścia po schodach zwanych „*geometrical staircaise*“ schodami geometrycznemi dziś jeszcze nie wiem dlaczego, 6° za przyjemność oglądania wielkiego dzwonu, mniejszego jednakże od naszego Zygmunta krakowskiego, 7° za rozkosz podziwiania Londynu otoczonego mgłą i dymem z wysokości wielkiéj bani wzniesionéj nad kopułą tuż pod krzyżem; 8° za użycie chłodu w sklepieniach podziemnych.

Wszystkie te przyjemności kosztują razem 8 szylingów i pół, czyli złotych polskich ośmnaście. Wyrachowano, że do 100,000 osób odwiedza rok rocznie kościół Śgo Pawła; przychód roczny z niego dochodzi do miliona ośmkroć stotysięcy złotych polskich. Z tego wykazuje się, że *Panteon* angielski nieźle rentuje, że warto go było postawić.

Avis aux speculateurs!

Zamiast stawiać cukrownie, papiernie i mydlarnie, trzeba stawiać *Panteony*; nie zabraknie bohaterów!

Nad szczegółami architektonicznemi kościoła Śgo Pawła zastanawiać się nie będę, uprzedził mnie doskonałym ich opisem rodak nasz pan *Lach Szyrma* lat dwadzieścia kilka temu. Od tego czasu w strukturze zewnętrzéj nic nie przybyło, ani ubyło, w wewnętrznych zaś ozdobach mogło przybyć kilka pomników wystawionych morskim bohaterom, którzy świetnemi zwycięztwy zmusili Chińczyków do trucia się, a ułatwili fabrykantom angielskim odbyt towarów żelaznych i bawełnianych w Indyach, kontrabandę w Hiszpanii i Algierze. Kilka pomników wystawionych wielkim filozofom, którzy dowiedli, że poddanie się losowi jest najlepszym systematem dla ludzi biednych kiedy cierpią, kilku dobroczynnym spekulantom, którzy udowodnili, że towary bawełniane można fabrykować o pięć procent taniéj przedłużając pracę wyrobnika o dwie godziny stopniowo i zmniejszając mu cenę pracy o czwartą część, lecz stopniowo, żeby tego nie uczuł; kilku filologom, którzy odkryli, że *Szekspir* pisał nie ortograficznie, a *Byron* mijał się z ortodoksyą.

Poetów nie przybyło żadnych, to wiem dobrze; ci zwykli umierać z głodu i być chowanymi kosztem parafij w grobie wspólnym. Z artystów sławnych także nikt nie przybył, tych bowiem wcale nie było w Anglii, już oddawna.

Kościół Śgo Pawła służy za *Panteon* dopiero od końca przeszłego wieku, od kiedy zaczęło zbywać na miejscu dla wielkich ludzi w *Westminsterze*, lecz i teraz odprawiają w nim w jednéj z bocznych kaplic nabożeństwo choralne, na którém wykonywane bywają

często wspaniałe kompozycye *Haendla* i innych kompozytorów kościelnych.

Kilka razy do roku, mianowicie: 10 maja i 8 czerwca dają tu nawet tak nazwane *oratorya*, tojest: koncerta kościelne wykonywane przez pięciuset do sześciuset muzyków i śpiewaków. Nawałnica harmonii odbijająca się o wysokie sklepienie ogromnéj kopuły sprawia istotnie przenikające wrażenie, zdaje się, że to odgłos trąb zwalających swym głosem mury miasta *Jerycho*.

Reszta kościoła niezajęta wspaniałemi stalami dla księży, wygodnemi ławkami dla nabożnych, ławeczkami dla chłopaków choralnych i stołem figurującym ołtarz dla pana Boga,— reszta mówię kościoła, tojest: dziewiętnaście dwudziestych objętości wewnętrznéj jego stoi próżna bez żadnych ozdób, krom pomników kilkunastu, które choć kolosalne, giną w niezmiernym obszarze, jak rzeka w morzu.

Pusto téż i zimno w téj świątyni, jeżeli ją uważamy za świątynię Bogu chrześciańskiemu poświęconą, a łatwo się pomylić widząc na każdym prawie grobowcu kilku członków greckiego Olympu oddających różne hołdy posągom sławnego człowieka tu spoczywającego. Tu widzisz *Jowisza* z piorunami, tam znowu *Herkulesa* z maczugą, *Minerwę* z tarczą *Meduzy*.

Nelson, najznakomitszy téj świątyni mieszkaniec wspaniały tu ma pomnik. Wielki bohater morski wystawiony jest z marmuru, w mundurze admiralskim, wspierający się na kotwicy; przy nim stoi *Herkules* z trójzębem w dłoni, pokazujący *Nelsona* dwom młodym kadetom morskim ubranym w spancerki, jako wzór do naśladowania. *Minerwa* pisze na pomniku:

„*Nil*, *Kopenhaga, Trafalgar.*“ *Mars* rozpłakany stoi po lewéj ręce, a należyta liczba *Trytonów* i *Najad* wylewa łzy u stóp *Nelsona*. Nie brakuje temu pomnikowi nic prócz *Wenery* z twarzą *Emmy Lyony*.

Nelson jest pochowanym w sklepieniach grobowych w trumnie, którą sobie był za życia z masztu okrętu francuzkiego *l'Orient* kazał zrobić. To myśl piękniejsza, jak owa mythologia pogańska w kościele chrześciańskim.

Dziwna rzecz, że się ortodoksya angielska tak czuła, tak drażliwa nie oburza na podobne sprzeczności, ale stracony jest żołądek ducha angielskiego, i to się objawia nietylko w téj, ale w innéj okoliczności, w tém samém miejscu przykro bijącéj w oczy.

Katedra Śgo Pawła do któréj mało kto uczęszcza na nabożeństwo, posiada jednakże wspaniały orszak osób duchownych poświęcających się części religijnéj, jakoto: jednego biskupa, dziekana, precentora, kanclerza i skarbnika, pięciu archidyakonów, dwudziestu kanoników, sześciu wikarych i znaczną liczbę pomniejszych sług bożych. Mniemałby kto, że to kościół katolicki, gdyby temu orszakowi nie towarzyszyły: pani biskupowa, dziekanowa, precentorowa, kanclerzowa, panie archidyakonowe, kanonice, wikarzyce, oraz bikupiętka, archidyakonięta, kanoniczęta i t. p.

Utrzymanie téj duchownéj siły kościoła (do którego się uzyskuje wstęp za opłatą) wynosi 2,640,000 złotych polskich rocznie.

Korzyści zaś wynikające z téj dobrze żywionéj potęgi duchownéj są nastepujące:

1° Biskup, dziekany, precentory, kanclerze i skarbnicy, archidyakony etc. wyglądają jak róże; 2° panie:

biskupowa, dziekanowa, archidyakonowa ubierają się bardzo gustownie; 3° biskupięta, archidyakonięta etc. bawią się najdoskonaléj.

Możeby kto mniemał, że obrazu tego koloryt jest przesadzony;—dla usprawiedliwienia się od możliwego zarzutu przytoczę tu zdanie rodaka sumiennego, jednego z największych przyjaciół Anglii, jakich mi się pomiędzy moimi rodakami zdarzyło poznać.

Nie mówię tu o owych amatorach koni angielskich i podziwiaczach entuzyastycznych przepychu arystokracyi angielskiéj, tych zdania nie przytoczę w méj książce, chyba dla żartu..

Rodak nasz mówi że: „wyznanie anglikańskie zachowało dla wygody sług kościoła nietylko biskupów i urzędy kościoła katolickiego, lecz nawet znaczną część obrządków kościelnych: zowie się dlatego *Episkopalném* i wewnętrznemi urządzeniami swemi różni się od wyznania *prezbiteryańskiego*, jakie jest panujące w Szkocyi, w którém wszyscy księża są sobie równi, a co rok zpośród swego grona obierają starszego, który zowie się *moderator*. Prawo rozdawania probostw, jak było za katolickich wieków, w większéj części należy i teraz do ważnych rodzin. Ponieważ do nich, w skutku bogatych ich uposażeń, przywiązane są najczęściéj znaczne dochody, kolatorowie zwykli je dawać komu z własnéj familii, pospolicie któremu z młodszych synów, albo uboższym dalekim krewnym. Ci panicze przyszedłszy do nich, ciągną z nich zyski nie pełniąc pospolicie obowiązków: przesiadują większy czas w stolicy, gdzie do wszystkiego, co wielki świat czyni, należą, albo dla większéj jeszcze wolności wyjeżdżają do Francyi lub Włoch, zostawia-

jąc owczarnię swoję jakiemu zastępcy, których zowią wikaremi i kuratorami, a którzy jak dalece źle są płatni, i jak dalece kaprysom swoich pryncypałów podlegać muszą, wiadomo będzie czytelnikom z romansu *Goldsmitha Wikaryusz Wakefeldu.*"

Jestto jedno z owych rażących nadużyć, jakich Anglia w swojéj wewnętrznéj organizacyi ma niemało, które przeto, że mają dawność za sobą, niotylko są cierpiane, lecz uważane za sprawiedliwe. Taki stan rzeczy nie zachęca wcale do pracowania z usilnością w winnicy pańskiéj, a mnoży skłonnych do światowych zabiegów i intryg, które powinnyby być dla sług kościoła obcemi. Jak teraz rzeczy się mają, wielu stara się dochrapać jak najrychléj intratnéj posady, aby potém zobojętniéć na wszystko. W żadnym téż kraju nie widziałem między duchowieństwem tyle gnuśności i ospalstwa, ile między anglikańskiém. Pełni ono swe obowiązki dlatego, że je pełnić musi, ale widocznie bez powołania i wyższego namaszczenia na tak wysokie stanowisko. Samo ich nabożeństwo, które w większéj części na odczytaniu liturgii (*Common prayer book*) się zasadza, jest tak dla nich wygodne, że nie wymaga najmniejszego wysilenia umysłowego, ani nawet pamięci, prócz cokolwiek czytania. Wieczne powtarzanie tych samych modlitw, acz bardzo pięknych, uczyniło ich z czasem zupełnie nieczułymi na ich treść i ducha. Ta sama odrętwiała obojętność przenosi się z liturgii do ich kazań, które także są bez duszy i czytane są zwykle z papieru; rzadko kto, jak księża szkoccy, mówi je z głowy i taki uchodzi już za znakomitego kaznodzieję.

Takowy brak ducha powołania między duchowieństwem, nadto niejednostajność wychowania teologów, i nawet zupełne jego zaniedbanie, że wielu z bakałarzów za przyczynieniem się możnych dostępuje kościelnych benefisów, sprawiły to, że pomimo znacznych przywilejów, jakie do panującego kościoła są przywiązane, wiele ludności od niego się odstrycha: co przy wrodzonéj człowiekowi chęci rozumienia wszystko lepiéj i przy nieograniczonéj wolności druku, wylęgło mnóstwo sekt religijnych, jakich w żadnym kraju i między żadnym innym narodem nie było dotąd przykładu. Na ocenienie, lub potępienie ich zasad trzebaby biegłego teologa: różnice między niemi zachodzące są liczne i subtelne. Najwięcéj odznaczające się i wydatne znamiona mają Metodyści, Kwakrzy, Unitaryusze i bracia Morawczycy; inne różnią się bardziéj w subtelnościach słów, niż w rzeczy, Tymto sektom odszczepionym, a nie wyznaniu anglikańskiemu, przypisywać należy ów zapał, jakim Anglia odznacza się w tym wieku przez rozszerzanie pisma świętego, zakładanie szkółek dla ubogich i różne instytucye dobroczynne. Pośród nich przechowują się gorliwość religijna i ciągłe dążenie do ulepszeń, czemu członkowie kościoła panującego często stawiają silny opór. Najwięcéj z sekty Metodystów i Kwakrów znajduje się w Ameryce północnéj; metodyzm jest tam prawie panującą religią. Utworcami sekty Metodystów byli: *Wesley* i *Whitefield*. Piérwszy mawiał czasem do 12,000 słuchaczów; kościoły nie były dość obszerne do ich objęcia. Ztąd poszedł zwyczaj kazania u nich pod gołém niebem, na polach, na ulicach, na rynkach; czasem występowali w świetnych zgromadzeniach pu-

blicznych zabaw, jako nieproszeni goście, karcąc złe obyczaje i bezbożność bawiących się.

Surowość religijna, nieubłagalność prawie téj sekty przyciągnęła do siebie wielu prawdziwie gorliwych chrześcian, ale téż i wielu mizantropów chętnie noszących maskę religijną pod którą im wolno okazywać bezkarnie nienawiść rodzajowi ludzkiemu. Mizantropia i hipokryzya wyrodziła Jezuityzm pietystów, ten zaś stara się doprowadzić protenstantyzm do tego, do czego inni katolicyzm doprowadzić usiłowali, tojest chce zrobić z religii wyłączny przywiléj dla siebie, jarzmem zaś intellektualném zrobić go dla drugich. I to wyrodziło wszystkie owe stowarzyszenia.

Słowem, Anglia dla wmówienia w świat że jest religijną wydaje więcéj, niżby wydawała, chcąc dowieść, że jest ludzką; postępuje, jak ów szarlatan, który chcąc utrzymać się na swém położeniu sztuczném, fałszywém, wywiera daleko więcéj usilności, niżby potrzebował do zdobycia sobie położenia prawdziwego, wygodnego.

Zrobiwszy wszystkie te reflexye pod samém sklepieniem niebotycznéj kopuły, opuśćmy ostatecznie piękną katedrę choć z żalem w sercu, że ta wspaniała budowa więcéj pysze ludzkiéj niż chwale boskiéj służy.

Nie wszystkich wielkich ludzi pomniki grobowe znajdują się w dwóch już opisanych starożytnych katedrach. Wiele znajduje się ich po innych kościołach. *Akenside*, autor pięknego poematu o rozkoszach wyobraźni ma pomnik w kościele Sgó Jakóba na ulicy *Piccadilly*.

Sterne, humorystyczny autor sentymentalnych podróży spoczywa w kościele Śgo Jerzego na ulicy *Hanover*.

Otway, autor tragedyi *Wenecya oswobodzona* leży pod sklepieniem kościoła Śgo Klemensa wzniesionego pierwotnie w roku 730. W ołtarzu tegoż samego starożytnego kościoła znajduje się portret Jakóba Edwarda *Stuart* (znanego lepiéj pod nazwiskiem kawalera *St. Georges* i pod nazwą *pretendenta*), jako téż jego małżonki księżniczki *Sobieskiéj*, wnuczki wielkiego *Jana* III.

Pretendent miał z nią dwóch synów; potomkowie ich jeszcze istnieją pod nazwiskiem *Sobieski—Stuart*. Poznałem jednego z nich, jest malarzem dość miernym w Glasgowie, lecz wydał dobre dzieło o historyi malarstwa w Anglii i Szkocyi.

Fletcher i *Massenger* dawni pisarze dramatyczni pochowani są w jednym wspólnym grobie w kościele Odkupiciela.

Bakon, *Locke* i *Alfred Wielki* spoczywają w Stowe niedaleko wspaniałego zamku książąt *Buckingham*.

Starożytny kościół Śgo Pankracego i cmentarz jego ostatni dały przytułek wielu sławnym cudzoziemcom wyznania rzymsko-katolickiego, naprzykład walecznemu *Paoli* wodzowi korsykańskiemu, potém arcybiskupowi Narbońskiemu, siedmiu biskupom francuzkim i mnóstwu innym Francuzom, którzy podczas rewolucyi szukali w Anglii schronienia. Najsławniejsze historyi tu znajdziesz imiona. Skromne tu mają pomniki, lecz i te zabezpieczają ich pamięć i pewną trwałość.

Tu także pochowano sławnego kawalera *Eon de Beaumont*, który podczas całego swego życia, tojest

przez lat ośmdziesiąt trzy intrygował Europę dwójznacznością swéj płci.

Dziwna jest biografia tego jestestwa; opowiem ją w krótkości.

Piękną miał twarz i ładną wysmukłą figurkę ów kawaler i to mu dawało łatwość udawania się za kobiétę. *Ludwik* XV, wysyłał go w missyi tajnéj, jako ambassadora, dla zawarcia stosunków przyjaźni. Umiał się podobać i *Ludwik* XV uzyskał wszystko, co żądał (1756).

Powróciwszy do Francyi ambassador przywdział znów suknie męzkie i odznaczył się jako waleczny oficer w siedmioletniéj wojnie przeciw Prusakom. Późniéj został wysłanym jako sekretarz ambassady i mężczyzna do Londynu, lecz tamże przebierając się za kobiétę w chwilach od zatrudnień wolnych stał się powodem tak częstych i gorszących przygód, że go rząd angielski kazał uwięzić i jako kobiétę złego życia wytransportować do Francyi. Tutaj przywdział znowu męzkie suknie, lecz *Ludwik* XV chcąc ocalić honor wielu dostojnym damom, nakazał kawalerowi *Beaumont* uważać się już na całe życie *„de par le Roi“* za kobiétę i nosić płci téj suknie. Późniéj za rewolucyi francuzkiéj emigrował do Londynu, gdzie umarł w roku 1810, nosząc ciągle kobiecy ubiór i zatrudniając się plotkami.

Pan *Gajllardet* wydał w r. 1836 pamiętnik kawalera *Eon* spisany według papierów znajdujących się w posiadaniu jego rodziny.

Nie opuszczajmy kościołów i cmentarzy bez zwiedzenia jeszcze jednego grobu, który właściwie przy wstępie na ziemię angielską staćby powinien, by

ostrzegał cudzoziemców zmuszonych błagać gościnności tego kraju.

Przy ciasnéj uliczce zwanéj *Dean-street*, za kratami przegradzającemi cmentarz kościoła Śtéj Anny od trotoaru ulicy, trzy kroki od przechodzących się po ulicy tłumów, stoi kamień grobowy bardzo skromny, a na nim wyraźnemi literami wyryte następujące słowa:

Below this place is interred
T H E O D O R E
King of Corsica
Who died in this parish
December XI, MDCCLVI
Immediatly after leaving
The King's bench prison
By the benefit of the act of insolvency.

Co znaczy po polsku: „pod tém miejscem jest pochowany król korsykański *Teodor*, który umarł w téj parafii d. 11 grudnia 1756 roku, zaraz po swém uwolnieniu z więzienia dłużników dobrodziejstwem aktu bankructwa.“

Tak się rzecz miała istotnie. Teodor baron de *Neuhof* urodzony w Metz był naprzód paziem księżnéj *Orleańskiéj*, potém oficerem w wojsku francuzkiém, późniéj jeszcze członkiem ambassady francuzkiéj w Szwecyi. Dręczony ambicyą a nie widząc dla siebie dość świetnego zawodu w Francyi wstąpił w służbę hiszpańską i został ambassadorem *Karola* VI we Florencyi. Korsyka usiłowała wówczas wydobyć się zpod panowania Genui. *Neuhof* umiał wmówić w Korsykańczyków że ich potrafi wybawić z trudnego położenia, zjednał sobie wielu przyjaciół

i został obwołany królem roku 1736, lecz już w rok potém zmuszonym był opuścić swe królestwo.

Dwa razy kusił się o odzyskanie korony, lecz napróżno. Skompromitowawszy się u dworów kontynentu szukał pozbawiony funduszów i przytułku w Anglii. Żył lat kilka na kredyt, odpłacił to hojnie siedmioletném więzieniem za długi. — Wypuszczono go *na mocy aktu bankructwa* trzy dni przed śmiercią, by nie umarł w więzieniu.

Delikatny jakiś filantrop angielski wystawił mu pomnik z napisem wyżéj wzmiankowanym, i na spodzie kamienia wyrznął mu jeszcze następującą naukę moralną wierszem:

The grave, great teacher! to a level brings
Heroes aud beggars, galley—slaves and kings!
But Theodore, this moral learned ere he dead;
Fate pour'd its lessons on his living head,
Bestow'd a kingdom, and denied him bread.

co znaczy po polsku:

„Czyś ty pan południa, czy też władca Wschodu,
Gdy nie masz szylingów musisz umrzéć z głodu.„

Tłumaczenie to wprawdzie jest wolném, bardzo wolném, lecz sens moralny zupełnie ten sam.

Czy nie mam racyi że pomnik ten powinienby stać na samym wstępie do Anglii?

ROZDZIAŁ XIII.

Geolog i filozof — Tęsknota — Szkocya — Zdanie Montecuculego — Pan Weiss — Katalog — Windsor — Kaplica — Order Podwiązki — Biedni rycerze — Grobowiec Kardynała Wolsey — Park windsorski — Slough — Pożegnanie — Marcin — Kapitan duński — Odjazd z Londynu.

Geolog sądzi z kwiatów które na powierzchni ziemi znajduje o metalach w środku niéj zawartych. Ja zaś przeciwnym systemem przypatruję się popiołom ludzi zmarłych i z nich zgaduję namiętności które żyjącemi władają. — W grobach angielskich widzę pychę, próżność i samolubstwo żyjących, — rzadko co innego.

Lecz czas porzucić świat ten podziemny i wrócić na powierzchnią ziemi.

Rozpoczęły się wakacye w uniwersytetach londyńskich. Najsławniejsi professorowie rozjechali się na ląd stały lub téż do wód morskich do *Brighton* i *Ramesgate*, lub do mineralnych do *Cheltenham*, *Ciftonu*, *Bath*, *Matloc*.

Wielka część mych znajomych opuściła Londyn.

Pan *W*. . . . nawet, z matką i córką wybierali się do *Bristol* na dwa miesiące.

I ja zacząłem się lękać nudów, spleenów i mizantropij angielskich epidemicznie panujących pomiędzy cudzoziemcami w téj porze roku tak pięknéj na świecie całym.

Tęskniłem oddawna do Szkocyi którą *Walter Scot* splótł z najmilszemi wspomnieniami méj piéwszéj młodości. Tęskniłem do Szkocyi jakby do ojczyny méj piérwszéj z książek czerpanéj poezyi, tęskniłem do morza i do gór, i do tych okazałych utworów Boga, które nikt bezkarnie nie podziwia, gdyż raz je zobaczywszy, każdy pragnie do nich wracać choć czasem. Zgiełk życia miejskiego, przymus obcowania z ludźmi różnemi namiętnościami pędzonemi, różną niedorzecznością, przewrotnością, nudnemi, sprawia mi wstręt jeśli trwa długo i jeśli nie jest od czasu do czasu przerywaną obcowaniem uroczystém i tkliwém z piękną przyrodą.

W jéj widoku czerpię siły kupiące me rozstrzelone myśli, dające mi nowe nadzieje, nową ochotę życia potrzebną mi na zniesienie widoku tego wszystkiego co się natury i prawdy wyrzekło, lub co nie miało odwagi pozostać im wierném.

Do Szkocyi tedy! tam gdzie na mnie czekają góry śniegiem pokryte, tam gdzie mi się śmieją zielone doliny, tam gdzie tak harmonijnie szumią sosny i dęby, tam gdzie huczą czystych wód potoki.

Lecz, aby podróżować, potrzeba koniecznie tego, co Montecuculi uważa za trzy piérwsze rzeczy niezbędne do prowadzenia wojny: potrzeba szylingów, bez których niéma Anglii, ani nawet Szkocyi.

Dla zdobycia ich podjąłem się pracy tak mozolnéj jak ułożenie dykcyonarza, podjąłem się zrobienia ka-

talogu historycznego instrumentów chirurgicznych będących w magazynie i muzeum pana *Weiss* fabrykanta instrumentów, nadzwyczajnie majętnego i tak zamiłowanego w swym zawodzie, że nietylko posiadał w magazynie swym wszystkie instrumenta potrzebne do stanu obecnego sztuki chirurgicznéj, lecz nawet pozakupował w różnych muzeach w całym świecie wszystkie instrumenta z mody wyszłe.

Szło więc tutaj o zrobienie katalogu wszystkich tych instrumentów z opisem ich kształtu, ich zalet i niedogodności, sposobu użycia, a nadto z wymienieniem czasu i okoliczności w których zostały wymyślone.

Pan *Weiss* był pod wielu względami bardzo znakomitym człowiekiem. Urodził się w Niemczech i w młodym jeszcze wieku przybył do Anglii pędzony tą miłością do obcych krajów z jaką Niemcy mają przywiléj się rodzić. Przybył, jako czeladnik ślusarski, a wyszedł na najpiérwszego fabrykanta instrumentów chirurgicznych Londynu, posiadającego do 10 milionów złotych polskich majątku.

Pod jednym względem mało był podobnym do swych rodaków: umiał używać swego mająku, lubił żyć dobrze i przyjmował swych przyjaciół gościnnie, a pomiędzy przyjaciołmi liczył wszystkie znakomitości chirurgiczne Londynu i wielu innych uczonych ludzi.

Będąc już od wielu lat przyzwyczajonym okupywać sobie każdą najmniejszą przyjemność wielkiém wysileniem, wziąłem się do pracy z wielką odwagą i rzadko trawiłem przy niéj mniéj, jak 15 godzin na dobę; takim sposobem musiała ona iść naprzód koniecznie.

Rzadko podczas tego czasu mogłem odwiedzać rodzinę *W.*, która jednakże pojmowała bardzo dobrze przyczyny rzadkości mych wizyt i powody usilności

méj pracy. Pan *W...* mówił mi raz: „Panu tak łatwo możnaby pomódz, gdyby pan mniéj był dumny i nie chciał własnéj swéj pracy być winien wszystko.“ — „Prawda, kochany panie, uznaję że tak jest, ale ta moja duma wystarczy na me szczęście chociażbym widział około mnie opływających w przepychu ludzi, których znam niezdolność.“

O przyszłości nie myślę, mało jéj się lęka człowiek będący pewnym, że się z swém sumieniém nie rozstanie ani na chwilę.

W wilią dnia poprzedzającego wyjazd rodziny *W.* do *Bristol* zostałem przez nią zaproszony na przejażdżkę do *Windsor*, który oddawna pragnąłem zwiedzić.

Byłoto już prawie w połowie miesiąca sierpnia; pogoda sprzyjała najpiękniejsza. *Miss Emily* widziałem w dniu tym piérwszy raz w sukni jasnéj. Ubraną była w gazę koloru palliowego. Najniebezpieczniejszy to kolor, tylko prawdziwie piękne brunetki obdarzone delikatną cerą wydadzą się dobrze w obłoku pallii. *Miss Emily* była zachwycającą dnia tego; mała jednakże napozór okoliczność do wysokiego mnie stopnia wzruszyła i na humor mój smutny wywarła skutek.—Oczekując ojca i córki przechadzałem się w ogrodzie, przyniosłem z sobą bukiet najpiękniejszych kwiatów i położyłem go na stoliku w altanie; widząc zaś *Miss Emily* zbliżającą się do altany i chcąc być świadkiem niepostrzeżonym wrażenia, jakie na niéj sprawi mój podarunek, ustąpiłem za krzew bluszczu olbrzymiego który maskował jednę ścianę altany.

Miss Em... nie spostrzegła mnie, lecz zaraz jéj wpadł w oczy piękny bukiet. Podjęła go z radością, podziwiała go z takiém naiwném serdeczném ulubieniem — raj

cały tkliwego szczęścia malował się na téj pięknéj anielskiéj twarzy.

Nareszcie wydobyła z bukietu piękną kamelię, zwróciła się do zwierciadła, iżby ją sobie włożyć we włosy.

Biała jak śnieg kamelia odbijała się jak gwiazda północna na czarném połyskującém tle włosów.

Patrzała jeszcze w zwierciadło, —patrzała jeszcze trzy chwile, trzy chwile nacechowane trzema różnemi uczuciami: zadziwieniem, radością, nakoniec rzewnym, tkliwym żalem.

„*What a pity it is*“ (jaka szkoda) że to nie potrwa długo“ i oczy łzą zaszły.

O kim mówiła? o kwiatku? Ach, ona nie żałowała kwiatka, lecz saméj siebie!

Odbiegłem jak najciszéj méj kryjówki z sercem przepełnioném żalem i zjawiłem się dopiero kilka minut późniéj ochłonąwszy z wzruszenia. Ślady łez znikły z jéj oczu. Starała się bawić mnie w tym dniu, była tak serdeczną, wesołą prawie.

Windsor starożytny królów Anglii zamek wzniesiony jeszcze przez *Wilhelma* zwycięzcę, pięć mil polskich od Londynu odległy, rozpościera się majestatycznie zajmując przeszło dwanaście włók gruntu, na szczycie dość wysokiéj góry, któréj stopy nurzają się w wodach *Tamizy*.

Na przeciwnym brzegu rzeki, w powabnéj dolinie *Elon* leży sławna szkoła tegoż nazwiska, gdzie najznakomitszych rodzin synowie odbierają wychowanie. Założył ją *Henryk* IV roku 1440.

Samo miasto *Windsor*, lubo piękne i zamożne, nie zawiera nic ciekawego, lecz sam zamek imponuje swą

massą i czaruje szczegółami architektonicznemi. Prawie każdy król Anglii poświęcał znaczne kapitały by rozprzestrzenić i ozdobić to ulubione królów siedlisko. Wszystko jest w kolosalnych rozmiarach: główny bastyon obszerny. jak cyrk wysoki, jak jedna z najwyższych wież świata (320). Na nim powiewa królewski sztandar angielski, wielki jak największy żagiel. Taras usypany niezmiernym kosztem, około wschodniéj strony zamku ma 2,000 stóp długości. Jestto najpiękniejsza promenada Europy ręką ludzką wzniesiona; z niéj widok na Londyn, na hrabstwa *Midlessex — Essex — Korts—Bucks — Berks—Oxford—Witli—Kemts—Surrey — Sussex,—Kent* i *Bedford.*

Cały zamek wygląda jak cytadella średnich wieków; tyle jest najeżony wysokiemi, zębatemi murami, wieżami i innemi wymysłami sztuki fortyfikacyjnéj.

W środku zamku mnóstwo pięknych podwojów, mianowicie wspaniały salon Śgo Jerzego długi na 120 stóp. W nim ustanowiony był order Podwiązki.

Znajduje się w nim tron królewski, nad nim unosi się niby w obłoku krzyż Śgo Jerzego patrona Anglii, naokoło obwiedziony podwiązką, któréj końce trzymają figlarne amorki z łukami i strzałami.

Na podwiązce zaś napis następujący: *hony soit qui mal y pense,* niech będzie przeklętym, który tu źle pomyśli.

Ciekawym komu téż przyjdzie na myśl coś mądrego na widok téj niedorzecznéj mieszaniny godeł światowości, pogaństwa i chrześciaństwa, tego burszowskiego wykrzyknika: niech będzie przeklętym, *pereat!*

Lecz Anglik nie widzi w tém nic zdrożnego choć poganami nazywa chrześcian przepędzającyh niedzielę

w niewinnéj zabawie. Każdy naród ma swą loikę. Nie zazdroszczę w tym względzie Anglikom.

W dziedzińcu zwanym niższy *lower court* stoi kaplica Ŝgo Jerzego, w niéj pasują na rycerzów Podwiązki, w niéj znajdują się tych rycerzów wspaniałe sjedzenia, ozdobione herbami i chorągwiami, podobne jak siedzenia rycerzów Kąpieli w kaplicy *Westminsterskiéj*.

Order Podwiązki, order Kąpieli, order Runa! jakie romansowe nazwy! *hony soit qui mal y pense!*

Najpiérwsi mocarze świata mają sobie za zaszczyt być kawalerami orderu Podwiązki. Królowa angielska jest wielkim mistrzem Podwiązki, nosi ją na lewém ramieniu a nie na nodze, kiedy występuje publicznie z dekoracyami.

Ze strony zachodniéj i południowéj dziedzińca znajdują się domy tak nazwanych *poor knigts of Windsor*. czyli biednych rycerzy *Windsorskich*. Także interesująca instytucya warta krótkiego opisu. Jestto rodzaj gwardyi do któréj przypuszczają tylko szlachtę średniego wieku i bezżenną, niemającą żadnego sposobu utrzymania się.

Zakon ten ustanowiony jest przez królową *Elżbietę*. Ona sama napisała jego ustawy, przepisała ubiór. Tak wielkie jest poszanowanie Anglików dla woli królewskiéj, że nie śmiano nic zmienić w ustawach i téjto okoliczności winniśmy możność porównania naszych mód z modami szesnastego wieku przy każdéj processyi królewskiéj i w dni galowe.

Biedni rycerze występują wówczas w opończach czerwonych z leopardem i jednorożcem wyhaftowanym na piersiach i plecach, w kaszkietach z piórami, w ob-

cisłych czerwonych spodniach, takichże pończochach etc. Bardzo interesujący widok istotnie dla kostumierów teatru.

Publiczność londyńska nazywa tych rycerzy *beef eaters*, nie wiem dlaczego, chyba, że wszyscy są dobréj tuszy i że z twarzy podobni do księżyców w pełni.

Podwoje królewskie obite są nader kosztownemi i pięknemi z *Gobelinami* kobiercami z *Persyi* i *Indyi*.— W pokoju sypialnym królowéj stoi mebel kosztujący 10,000 funtów szterlingów: tojest przeszło pół miliona złotych polskich. Tym meblem jest: „*the queens state bed*“ tojest łoże stanu królowéj.

Nie sposób wymienić niezliczonego mnóstwa arcydzieł sztuki malarskiéj, rzeźbiarskiéj i snycerskiéj zawartych w pokojach, przedsionkach i kaplicach.

W stronie wschodniéj kaplicy Śgo Jerzego stoi przepyszna budowla, którą wzniósł sobie jeszcze za życia kardynał *Wolsey* przeznaczając ją na swój grobowiec. Los atoli inaczéj chciał.

Kardynał wpadł w niełaskę u króla *Henryka* VIII i został wyzutym z swych dostojności. Kardynał powiedział sobie sam następującą moralną naukę umierając wkrótce potém: „*had I but served my god with alf the zeal I served my king, he would not have abandoned me so*“ gdybym Bogu memu choć połowę tak gorliwie służył jak panu memu, on nie byłby mnie tak opuścił. Umarł i pogrzebano go bez okazałości w opactwie *Leicester*, późniéj zaś przeniesiono do kościoła Śgo Pawła, com zapomniał nadmienić opisując tę świątynię.

Jakób II przemienił grobowiec kardynała w kaplicę katolicką; późniéj poszła ona w zupełne zaniedbanie,

aż nareszcie *Jerzy* III przeistoczył wielkim kosztem ten budynek w mauzoleum królewskie. Nic równie pięknego w tym guście nie widziałem nigdy.

Park *windsorski* ma do dwóch mil polskich objętości. Jedna główna alea długa na pół mili przebiega go wskróś zacząwszy od zamku aż na wzgórze, zkąd widok bardzo powabny. Kilku magnatów angielskich ma jeszcze obszerniejsze i jeszcze piękniejsze parki.

W *Slough* pod *Windsorem* jest obserwatoryum astronomiczne, przy którém *Herszel* był gwiaździarzem. Wystawił on największy dotąd znany *teleskop* długi na stóp czterdzieści, główna soczewka ma półtrzeciéj stopy średnicy.

Cały teleskop waży 4,000 fun. i stoi pod gołém niebem, gdyż trudnoby było objąć gmach ten budową. Pod nim jest zwierciadło, gdzie maluje się obraz rzeczy, na którą jest skierowany. Gwiazdy wydają się w nim trzy tysiące razy większe.

W przeciągu jednéj godziny *Herszel* naliczył ich do 80,000 przechodzących przed jego wzrokiem. — Odkrył on za pomocą niego wulkany na księżycu, pierścień otaczający *Urana* i sześć towarzyszących mu planet.

Podczas całéj wycieczki *Miss Emily* zachowała humor jednostajny i podziwiała wszystko, co natura lub człowiek stworzył pięknego z pewnym tkliwym zapałem. — Nieraz zapytywałem sam siebie, czy jéj nie przyświeca choć mały promień nadziei pozostania na tym świecie, który jeszcze tyle dla niéj miał uroku? *Miss Emily* odgadywała zdaje się moje myśli, mówiła bowiem: „jak tam pięknie musi być na tamtym świecie, kiedy już tutejszy tak ładnym znajdujemy.“

Pokaszliwała tego dnia więcéj jak zwyczajnie,— ślady nawet gorączki już się ukazywały wieczorem,— a przytém jednakże rozwijała się codziennie więcéj i piękniéj. Tak nadpsuta wewnątrz żądłem robaka róża rozkwita rychléj i rychléj więdnieje.

Pożegnałem się z nieszczęśliwą rodziną, za dwa miesiące mieliśmy być z powrotem; ja z północy, oni z południa.

Pracą mą, nareszcie dokonaną, zdobyłem sobie możność odświeżenia myśli i ducha w widoku wielkiéj natury; żałowałem, że Dr. *Dieffenbach* towarzyszyć mi nie mógł w wycieczce lecz to nie było możebném, wybierał on się na daléko większą podróż do *Nowéj Zelandyi* dokąd się udał istotnie kilka miesięcy późniéj jako lekarz i naturalista kolonii nowo założonéj, razem z kilkuset kolonistami na wielkim okręcie „*the Tory*“ wysłanym przez towarzystwo kolonialne pod prezydencyą księcia *Wellingtona.*

Imponująca konieczność nakłaniała mnie do oszczędności: dla téj przyczyny życzyłem sobie zawitać do Szkocyi, nie statkiem parowym, ani też dyliżansem, lecz statkiem kupieckim.

Zabrawszy mały tłomoczek rzeczy niezbędnie potrzebnych do podróży, któréj część umyśliłem odbyć piechotą, pożegnawszy przyjaciół z których wielu nie chwaliło wcale méj żądzy podróżowania, udałem się na *Mile-End* do agenta *duńskiego* na początku tego dziełka wzmiankowanego, w nadziei, że ten najłatwiéj będzie w stanie wyszukać mi statek dążący do Szkocyi.

Tu piérwszy raz od przyjazdu mego do Londynu sposobność miałem przekonać się o stanie zdrowia Marcina i jego wnuczki. Marcin już był wyrosł i do-

szedł wysokości owcy; już téż i instynkt niedźwiedzi zaczął się w nim rozwijać niepohamowanie. Właził na wszystkie drzewa, przekraczał wszystkie rzeczy i płoty, cudzéj własności ani myślał szanować, kurom odbierał życie, nawet na dzieci już się rzucać zaczął. Te wybryki zniewoliły pana *Nicolson* do trzymania go w dość głębokim dole umyślnie na to wykopanym. Od towarzystwa ludzkiego odłączony jeszcze większéj codziennie *Marcin* nabierał srogości, ale cóż było robić, kiedy nawet własnéj matki nie szanował i nieraz pokazywał gotowość poszarpania jéj w kawałki.

Kozę darowałem gospodarzowi z wdzięczności za dotychczasową opiekę dawaną Marcinowi. Los zaś ostatniego postanowiłem zabezpieczyć zaraz po powrocie ze Szkocyi.

Pomiędzy duńskiemi statkami do odejścia gotowemi nie było żadnego wprost do Szkocyi zmierzającego. Jeden jednakże dążył do *Belfast* do *Irlandyi*, w tym porcie miał się zatrzymać tylko dni kilka i natychmiast spieszyć do *Glazgowa*.

Kapitanowi tego okrętu, przyjacielowi mego poczciwego *Jens Jensena* znany byłem z reputacyi. Usłyszawszy o mém staraniu przybiegł sam do pana *Nicolson* i tak mi sławił swój bryg, tyle mnie prosił i nakłaniał, żem się nareszcie dał namówić do téj drogi dalekiéj, którą pewno nikt nie obrał by zajechać do blizkiéj Szkocyi. Pytałem o cenę miejsca: „żaden z przyjaciół *Jensena* nie śmiałby wziąć od pana ani grosza; a ja dla własnego zysku nie byłbym namawiał pana do téj podróży circumnawigacyjnéj, z któréj sobie obiecuję wiele przyjemności.“

Wątpić o szczerości ludzi tak nazwanych prostych byłoby tém samém, co ufać oświadczeniom ludzi tak nazwanych ucywilizowanych. Wiem, że pomiędzy prostakami znajdzie fałszywych a pomiędzy ucywilizowanemi szczerych;—lecz jedni i drudzy odróżniają się pewnemi charakterami, które człowiek szczerością się powodujący łatwo rozpozna.

Wiatr wieje z wschodu na zachód, my go tam schwytamy żaglami [illegible] kiedy będziemy na wysokości *Doweru*, a tymczasem popychani odpływem morza spieszmy [illegible] podziwiać jeszcze raz tę zmianę scen fantasmag[illegible], którą nigdy znękać się nie można; spiesz[illegible] nać na czas jakiś białe wyniosłe skały *Albionu* świecące w pomroce wieczornej, jak widma śmiertelném prześcieradłem okryte; i spieszmy tam, gdzie w zimnym powiewie Boreasza brzmią przenikające tony harfy *Ossyana*; tam gdzie na zielonéj murawie obok szmeru kaskady tętni tkliwa lutnia *Burusa*; tam gdzie przy wygodnym, iskrzącym się, pryskającym kominku, powieść narodowa *Walter Scota* czaruje ucho podróżnego.

KONIEC.